

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



2
(50) 2007

Nowy atak na kościół MM we Lwowie ♦ Siedemdziesięciolecie kapłaństwa O. Adama ♦ O Tadeuszu Chciuku ♦ O lwowskiej Weterynarii c.d. ♦ O rodzinach Bisanzów i Mściwujewskich ♦ Rozmowa z Adamem Macedońskim ♦ Wspomnienia z Podola, spod Gorganów i z Bukowiny

Oddajemy do rąk Czytelnika numer 50. N u m e r, ale nie z e s z y t, bo tych nazbierało się już 54. – Jak to? – zapyta ktoś. Po prostu: w pierwszym roku wydawnictwa (1995) jeden zeszyt miał podwójną numerację (3–4), więc zeszytów byłoby w istocie 49, ale doszło pięć zeszytów *specjalnych* („S”)¹. Rachunek prosty: razem wydaliśmy zeszytów 54.

Nie będzie więc żadnego jubileuszu, nadarza się jednak dobra okazja, by jeszcze raz podziękować tym, którzy umożliwili wszczęcie i kontynuację naszego kwartalnika. Wszystkich, którym się to należy, wymienialiśmy w różnych numerach i wydawnictwach towarzyszących. Pamięci stało się więc zadość, a o uczuciach wdzięczności zapewniamy raz jeszcze w imieniu Redakcji, a także Czytelników. Uprawniają nas do tego liczne sympatyczne listy, otrzymywane z Kraju, zza kordonu i zza granicy.

Kiedy dostajemy te listy, cieszymy się, że Czytelnicy zauważają szczególną linię naszego programu redakcyjnego, rozumieją ją i akceptują. A jaka jest ta linia? Oto naszą intencją jest prezentowanie i nieustanne udowadnianie nieznannej, zapomianej i coraz to negowanej polskości, więcej – prapolskości tamtej Ziemi, jej wielowiekowej i nieprzerwanie polskiej historii i kultury oraz – wraz z pozostałymi ziemiami wschodnimi – kolebki ogromnej części wybitnych Polaków. Nasze społeczeństwo *en bloc* jest coraz mniej tego świadome, bo nie tylko nikt tego nie uczy, ale nawet dopuszcza się do zakłamywania tych rozdziałów narodowej historii. Gorzej: nie widać owej świadomości u historyków (a przynajmniej pewnej ich części, nie wspominając nawet nauczycieli)², u polityków³, a tym bardziej u pewnej kategorii – pożałuj Boże – działaczy, którzy nierządno demonstrują swoją naiwność podbudowaną ignorancją (o złej woli nie wspominając).

Tym głównie celom służy na naszych łamach dobór artykułów, rozmów, biografii, haseł słownikowych, wspomnień dobrych i złych, a wreszcie wiadomości z tej i z tamtej strony kordonu. Interesuje nas cała historia, ale najbardziej zależy nam na przywoływaniu prehistorii i wczesnego średniowiecza⁴, a potem wieku dziewiętnastego, bo wobec tych właśnie okresów dziejowych powstaje najwięcej nieprawdy, godzącej w wizerunek polskości tamtej ziemi. Do realizacji tych celów wykorzystujemy opracowania nie tylko pisane specjalnie dla naszego kwartalnika – korzystamy często z publikacji w innych czasopismach (naukowych i popularnonaukowych), jeżeli wyjaśniają problemy dla nas ważne, a niedostępne normalnie dla naszych środowisk.

Sukcesywne pokonywanie trudności w zdobywaniu materiałów i obserwacja stanu świadomości społecznej, doprowadziły nas do idei placówki naukowej i informacyjnej, któraby podjęła trud badań i popularyzacji p o l s k i e g o dziedzictwa historii i kultury na kresach wschodnich – wszystkich ziem, które odwiecznie lub przez kilka wieków były związane z Rzeczpospolitą, wiele dobrego od Polski biorąc i wiele dobrego jej dając. Jest to przede wszystkim wschodnia p o ł o w a II RP (a w jej obrębie Małopolska Wschodnia) oraz inne ziemie, które od Rzeczypospolitej na zawsze odpadły skutkiem rozbiór³ z końcem XVIII wieku, przyczyniając się do budowy carskiego imperium i wszczęcia przez nie nacisku na całą Europę. Skutki tego – nie tylko my – odczuwamy dziś mocno.

Nie wolno więc zapominać o Ziemiach Wschodnich Rzeczypospolitej. Nie ma ku temu żadnego powodu, raczej przeciwnie: jest coraz więcej powodów, by o tym pamiętać. Cóż z tego, że nasze Kresy to okres historii zamknięty? Uczymy się w szkołach i interesujemy przez całe życie wieloma okresami dziejów świata, które o wiele dawniej odeszły w niebyt, lecz pozostała po nich pamięć, spuścizna, dobre i złe doświadczenia. Pamięć o wydarzeniach militarnych, politycznych, kulturalnych, artystycznych, o ludziach z nimi związanych, o zabytkach, które wizualnie tę przeszłość dokumentują.

Tym wszystkim świadomie zajmuje się nasz kwartalnik, a nauki tą drogą zdobyte przekazujemy przyszłemu Instytutowi do kontynuowania i rozwijania. Nie wolno tej idei zaprzepaścić⁵.

przyписы na III s. okładki

FELIETON JUBILEUSZOWY

*T*ak oto oddajemy w ręce Czytelników pięćdziesiąty numer naszego kwartalnika. Licząc, że wydajemy cztery numery na rok, jest to owoc ponad dwunastu lat pracy naszego zespołu redakcyjnego i tych, którzy przysyłali nam swoje artykuły i wspomnienia. A przede wszystkim ratowali od zapomnienia historię kresów wschodnich, opisując swoją pamięć o lwowskich ulicach, domach, kościołach, a także starali się oddać klimat tego naszego pełnego wdzięku, ukochanego przez nas miasta. To nie wszystko: włączali się w nasze wspomnienia historycy, profesorowie lwowskich uczelni, byli studenci, i to nie tylko ci, którzy we Lwowie mieszkali, ale także i ci, którzy przyjeżdżali z innych polskich miast, aby studiować na lwowskich uczelniach.

Jak wiadomo, historia Lwowa to także historia sześciu wieków wzajemnych wpływów pomiędzy Lwowem a Krakowem. Przypomnieliśmy miasta kresowe, takie jak Stanisławów i Tarnopol, Kołomyja czy Komarno. Wspominaliśmy kościelnych hierarchów, jak na przykład arcybiskupa Bilczewskiego. Staraliśmy się utrwalić nie tylko historię, także i piękno naszego miasta.

Czy i jak nam się to udało, osądzą nasi Czytelnicy. A myślę, że skorzystają także i ci, którzy będą ciekawi historii naszego kraju i jego całych kresów wschodnich. Mam nadzieję, że nasz wspólny wysiłek nie będzie zapomniany.

Barbara Czałczyńska

Przeczytane

Lwów był stolicą wielkiego kraju mającego charakter polski, siedzibą naczelnych władz państwowych i samorządowych, Sejmu krajowego i jego Wydziału, był zarazem (...) szkołą samodzielnego politycznego myślenia w duchu narodowym polskim. We Lwowie skupiało się życie oświatowe i towarzyskie całego kraju, a bywały i chwile, gdy Lwów promieniował jako stolica ideowa całej Polski.

Stanisław Głąbiński: *Wspomnienia polityczne*, Pelplin 1939, s. 162

Miasto to bardzo zyskiwało na porównaniu z Krakowem. Ludzie byli weselsi, żwawszi, procowitsi. Lubili zabawić się z fantazją. (...) Ogólna zamożność była też większa aniżeli w Krakowie. Mieszczanstwo dorabiało się fortun na handlu z bogatym ziemianstwem (...).

Alfred Wysocki: *Sprzed pół wieku*, Kraków 1956, s. 118

Lwów na kilka lat przed [pierwszą] wojną światową był dla mieszkańców Galicji małym Wiedniem. Tu były najwyższe władze krajowe, tu rezydował cesarski namiestnik, tu była jedyna politechnika polska, na którą ściągali liczne rzesze młodzieży z Królestwa, i uniwersytet, cieszący się w owych czasach sławą niepoślednią. Życie lwowskie (...) miało swoiste żywe tętno, środowiska rozpolitykowane, partie polityczne, dość dużą i nie na niskim poziomie prasę oraz ciekawe grupy literackie i artystyczne. Wszystko to krążyło jednak koło gmachu z ulicy Mikołaja (...), gdzie mieściła się Wszechnica Kazimierzowska. Na tej Wszechnicy bowiem skupiała się elita umysłowa, kierownicy myśli politycznej i naukowej.

Stanisław Lam: *Życie wśród wielu*, Warszawa 1968, s. 20–21

Cytaty przepisano z książki Danuty Adamczyk: *Polskie społeczne placówki wydawnicze we Lwowie w dobie autonomii galicyjskiej*, Kielce 1996.

70 LAT KAPŁAŃSTWA

Jubileusz Ojca Generała Adama Studzińskiego

Nasz Opiekun i Przyjaciel, bohater spod Monte Cassino, Honorowy Obywatel Miasta Krakowa, Ojciec Generał Adam Studziński w dniu 10 marca 2007 r. obchodził 70-lecie kapłaństwa. Uroczysta msza św. w kościele OO. Dominikanów zgromadziła tłumy wiernych. Jubilat koncelebrował Eucharystię z biskupem polowym Wojska Polskiego gen. dyw. Tadeuszem Płoskim oraz ks. infułatem Jerzym Brylą, delegatem Metropolity Krakowskiego. Uroczystość uświetniła Kompania Honorowa II Korpusu Zmechanizowanego WP oraz kombatanci i harcerze z pocztami sztandarowymi. Grała orkiestra wojskowa i śpiewał chór.

Odczytano list Ojca św. Benedykta XVI do Jubilata, adresy od Ryszarda Kaczorowskiego – ostatniego prezydenta Rządu Polskiego na Uchodźstwie, i od Pani Ireny Andersowej – wdowy po generale Władysławie Andersie. Minister Krupski wręczył Ojcu Adamowi szablę, a od krakowskich generałów dostał generalską rogatywkę. Biskup Płoski przedstawił niezwykle barwny życiorys Ojca Adama. Mimo takiego bogactwa osiągnięć Czcigodny Jubilat pozostał skromnym i pokornym Człowiekiem Bożym.

Po mszy św. dominikański Kapitularz zapełnił się tłumem osób, pragnących złożyć osobiste gratulacje Jubilatowi. W klasztornym krużgankach orkiestra wojskowa zagrała *Czerwone maki na Monte Cassino*. Przed wejściem do kościoła ustawiono samochód, którym Ojciec Generał jeździł na swoim szlaku bojowym. (MW)



Msza św. Wszystkie zdjęcia wykonał P. Bochenek



Ojciec Generał przyjmuje gratulacje i życzenia w Kapitularze dominikańskim



Spotkanie z Iwowiakami w Kapitularze

Jerzy M. Pilecki, Wrocław

OSTATNI EMISARIUSZ

Tadeusz Chciuk (Marek Celt) 4 misje przez 25 granic w 30 wcieleniach

Każda wojna wyzwała w ludziach obok najgorszych instynktów także przejawy najwyższego bohaterstwa, poświęcenia dla Ojczyzny i wierności szczytnym ideałom. Wybitnym przykładem takich cnót z okresu II wojny jest tytułowy bohater. Tablicę pamiątkową jemu poświęconą odsłonięto uroczystie w maju 2005 roku w bazylice pod wezwaniem św. Elżbiety we Wrocławiu. Poświęcenia dokonał po mszy św. ks. płk Januś Wątroba, dziekan Wojsk Lądowych, proboszcz Parafii Wojskowo-Cywilnej, który w okazjonalnej homilii wymienił czyn bohatera. Oprócz licznych gości główną rolę w ceremonii przeprowadzonej z honorami wojskowymi odegrała wdowa Ewa Celt z Monachium, której towarzyszyli dwaj synowie przybyli z USA. Fundatorem tablicy i organizatorem uroczystości było Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej.

Tadeusz Chciuk, urodzony w Drohobyczu w 1916 roku w rodzinie o bogatych tradycjach patriotycznych, był maturzystą z 1935 r. tamtejszego gimnazjum im. W. Jagiełły. W 1939 r. był już prawnikiem po Uniwersytecie Lwowskim, muzykiem, poetą, sportowcem, działaczem kilku organizacji społecznych, a szczególnie harcerstwa (jako podhacmistrz), sympatykiem PSL, ochotnikiem WP, szczęśliwie zakochanym w młodziutkiej drohobyckiej harcerce Ewie Lovell.

W kilka tygodni po wrześniu 1939 rozpoczął w Drohobyczu harcerską konspirację i organizację przerzutów na Węgry ochotników do Wojska Polskiego lub osób narażonych na represje okupantów. Sam, zagrożony aresztowaniem przez NKWD po wcześniejszej próbie zakończonej zatrzymaniem i sprytnym uwolnieniem, w styczniu 1940 r. przedostał się na Węgry i zgłosił w Budapeszcie do dyspozycji tamtejszej polskiej placówki wojskowej. Dwukrotnie został wysłany jako kurier na teren Małopolski

Wschodniej z zadaniem nawiązywania kontaktów z miejscową konspiracją, udzielenia jej pomocy i wytycznych działania, organizacji siatki przerzutów, przy okazji przynosząc wiadomości i wsparcie dla wielu rodzin. Działalność białokuriersko-przerutową – jedyny wówczas efektywny sposób walki z okupantem, opisał po wojnie w książce *Biali Kurierzy* (pierwodruk 1986), jako pierwszy składając hołd jej zapomnianym bohaterom i ofiarom. Był wśród nich Władzio Ossowski, zwany „królem białych kurierów”, cudownie ocalony i odnaleziony w 1989 roku.

W maju 1940 Tadeusz Chciuk był już we Francji, a po jej klęsce wkrótce przedostał się do Anglii. Ukończył tu szkołę podchorążych artylerii, został jej instruktorem, zgłosił się na przeszkolenie do służby cichociemnych i w nocy 27/28 grudnia 1941 wylądował spadochronem w kraju, w rejonie Łowicza (operacja „Jacket”). Po raz pierwszy wystąpił wówczas jako Marek Celt, sygnalizując że C...T... obejmuje E...L... Pierwsze kroki szesściu „zrzutków”, ostre starcie z Niemcami i śmierć dwóch kolegów opisał z dużym talentem narracyjnym w książce *Koncert. Opowiadanie Cichociemnego* (pierwodruk 1945), podobnie jak *Biali Kurierzy*, wielokrotnie wznawianej. Jako emisariusz premiera Rządu RP gen. Władysława Sikorskiego przeprowadził na terenie GG rozmowy z wieloma działaczami różnych odłamów konspiracji i w czwercu 1941 roku wyruszył w drogę powrotną. Różne przeszkody sprawiły, że po wielu dramatycznych



Tadeusz Chciuk w czasie wojny



przygodach wylądował w centralnej Anglii dopiero po roku. Trasa powrotu prowadziła go przez Słowację, Węgry, Chorwację, Włochy, Szwajcarię, Francję, Hiszpanię (więzienie i obóz), Gibraltar i Portugalię. Musiał występować w różnych wcieleniach, m.in. jako węgierski ksiądz lub angielski pilot. W książce *Raport z podziemia – 1942*, wydanej w 1990 r., opisał sytuację w kraju, według sprawozdania opracowanego w 1943 r., z konieczności z dużym opóźnieniem, dołączając historię drogi powrotnej. Ta seria dramatycznych przygód śmiało mogłaby stać się scenariuszem filmu przygodowego.

Doświadczenia kurierskie Celta wykorzystano w Londynie powierzając mu przygotowanie kandydatów do podobnej działalności, a jesienią 1943 r. zaangażowano do pracy w zespole tajnej polskiej rozgłośni radiowej „Świt”, bardzo skutecznie udającej wobec Niemców, że pracuje na terenie kraju. Po raz drugi wylądował w Polsce, tym razem samolotem z Brindisi (operacja „Salamander”), w rejonie Mińska Mazowieckiego (4 IV 1944), jako osobisty emisariusz premiera Rządu RP Mikołajczyka, przedstawiciel Naczelnego Komitetu Harcerskiego i opiekun innego emisariusza Rządu, dra Józefa Retingera. Po przeszło 3 miesiącach powrócił samolotem wraz z podopiecznym przez Włochy do Anglii, w ramach sławnej akcji „Most III”. Z lądowiska k. Brzeska zabrał wówczas (25/26 VII 1944 r.) największą w dziejach podziemia pocztę od Delegatury Rządu oraz Tomasza Arciszewskiego, desygnowanego na następcę Prezydenta RP. Tym samym transportem leciały bezcenne dla aliantów plany i części niemieckiej rakiety V2, zdobyte przez wywiad AK. Bezpośrednio po wylądowaniu we Włoszech zo-

stał przewieziony do Rabatu (Maroko) na spotkanie z delegacją rządową na rozmowy w Moskwie, a następnie złożył Premierowi w Londynie szczegółowy raport, krytyczny wobec elit Polski Podziemnej. Wkrótce też, dla potrzeb anglojęzycznych czytelników, zrelacjonował problematykę życia i walki społeczeństwa polskiego pod terrorem okupacyjnym w wydanej w Londynie w 1945 r. książce *By Parachute to Warsaw*, nie opublikowanej w wersji polskiej.

Jeszcze w ostatnich latach życia trudził się przygotowaniem do druku dawno rozpoczętej książki o tej wyprawie pod roboczym tytułem *W podziemiu przed powstaniem*, która oprócz treści sprawozdania dla Premiera miała zawierać opis przygód podczas tej misji i szczególnie dramatycznych wydarzeń przy odlocie. Niestety praca pozostaje dotychczas niezakończona, chociaż kilka osób podejmowało już takie zadanie. Podczas wszystkich czterech misji działał też we Lwowie, a w dwóch – na terenie okupacji niemieckiej, także w Krakowie.

W grudniu 1945 r. Tadeusz Chciuk znów wylądował w Polsce z Londynu, jako sekretarz misji ds. demobilu przekazującej do zniszczonego kraju duży asortyment różnego rodzaju materiałów i sprzętu alianckiego, a nawet liczne mosty szybkiego montażu. Wkrótce jednak „upomniał się” o niego UB i pod zarzutem szpiegowania został na początku 1946 r. aresztowany razem ze świeżo poślubioną żoną. Po dwóch miesiącach silne interwencje z Zachodu doprowadziły do ich uwolnienia, ale ciągłe zagrożenie represjami skłoniło Chciuka w końcu września 1948 roku, wraz z żoną i kilkumiesięczną córeczką, do ryzykownej ucieczki z Krakowa przez Czechosłowację i Austrię do Paryża. Tam, aby zapewnić byt rodzinie, powiększonej o syna, podejmował różne prace, również fizyczne, ale pomimo trudnych warunków materialnych działał społecznie, m.in. w PSL i harcerstwie. Dopiero w lutym 1952 r. poparcie Mikołajczyka pozwoliło mu na podjęcie pracy w sekcji Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium. Spełniał tam różne obowiązki, jako Michał Lasota był popularnym komentatorem politycznym w audycjach dla wsi polskiej, a w ostatnich latach przed przejściem na emeryturę w 1983 r. był zastępcą dyrektora rozgłośni. Cały czas szeroko udzie-

łał się społecznie, a w 1988 r. został prezesem PSL na uchodźstwie.

W międzyczasie urodziła mu się para kolejnych dzieci, a żona też pracowała w RWE. Po 1989 r. parokrotnie przyjeżdżał do Polski, w tym w 1991 r. na sławne spotkanie z cudownie odnalezionym małym Władkiem Ossowskim, Królem Białych Kurierów. W 1992 r. z grupą działaczy Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej odwiedził strony rodzinne. Stan zdrowia silnie jednak ograniczał jego aktywność. Zmarł w Monachium 10 kwietnia 2001 r. i pochowany został z honorami wojskowymi w Panteonie Żołnierzy Polski Walczącej na warszawskich Powązkach.

Otrzymał wiele odznaczeń i orderów, w tym dwukrotnie Krzyż Walecznych (1942), Order Virtuti Militari (1943), Order św. Graala (1970), Krzyż Armii Krajowej (1973), Krzyż Kampanii Wrześniowej (1985), Krzyż Komandorski Orderu Polonia Restituta (1994), Harcerski Srebrny Krzyż Zasługi (1996), Krzyż Batalionów Chłopskich (1998). W 2004 r. został uhonorowany tablicą pamiątkową w Panteonie Chłopów Polskich w Kałowie, natomiast w 2005 r. w Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie otwarto poświęconą mu specjalną wystawę pod hasłem *Ostatni emisariusz Tadeusz Chciuk*. Budząc duże zainteresowanie, była ona prezentowana w 2006 r. także we Wrocławiu, Wałbrzychu, Łowiczu i Siedlcach, a kilka dalszych miast czeka w kolejce.

Starszy z braci Chciuków – Władysław, od 1939 r. walczył jako pilot w Polsce, Francji i Anglii, a najmłodszy – Andrzej, po przygodach wojennych, dał się poznać jako autor 10 książek. Najmilsze z nich dla kresowian to pisane częściowo „bałakiem” drohobycko-lwowski wspomnienia *Atlantyda* i *Ziemia Księżycowa*.

Jako uproszczone podsumowanie drogi życiowej Tadeusza Chciuka może też posłużyć informacja, że sześć razy był aresztowany w pięciu różnych państwach, że musiał w różny sposób przekraczać nielegalnie 25 razy granice międzypaństwowe (nie licząc przelotów tuż nad liniami frontów i nad wrogimi terytoriami), występował co najmniej w 30 różnych wcieleniach. Jest jedynym bohaterem Polski Walczącej, który był cztery razy kurierem lub emisariuszem, jedynym, który szczęśliwie powrócił z dwóch misji cichociemnego, i jedynym z dwóch dwukrotnie lądujących w okupowanym kraju. Absolutny rekordzista w najlepszym tego słowa znaczeniu. Pozostał *semper fidelis* ide-

ąłom swej młodości, a w czasie najtrudniejszych misji i do końca życia korzystał z każdej okazji dla głębszego poznania kultury i historii miejsc, w których się znajdował. Był więc człowiekiem typu renesansowego – *nilhil homini a me alienum esse puto* – ale przede wszystkim zasłużył na miano Skrzeskuskiego naszych czasów. Walczył różnymi broniąmi: orężem, słowem, czynem lub piórem, kolejno ze wszystkimi wrogami ojczyzny, poczynając od Ukraińców we wrześniu 1939 r. w Stanisławowie, a kończąc na PRL-u do 1989 roku.

Dziwić się tylko można, że Tadeusz Chciuk, jako wyjątkowy pod wieloma względami bohater walki w służbie Ojczyzny, nie został uhonorowany Orderem Orła Białego, a jego działalność, tak ciekawa i obfitująca w dramatyczne momenty, nie stała się dotychczas kanwą dla pełnometrażowego scenariusza filmowego, z wątkami: biokurierским oraz... miłości i wierności z przeszkodami. Zasługuje też w pełni na to, aby być patronem szkoły, ulicy, obiektu kulturalnego, drużyny harcerskiej lub podobnej jednostki.

Ze wspomnianą wstępnie uroczystością odsłonięcia tablicy pamiątkowej Tadeusza Chciuka we Wrocławiu związana była publikacja przez Wydawnictwo LTW nowego wydania *Białych Kurierów*, uzupełnionego aktualizującymi przypisami o losach 22 bohaterów tej książki. Wcześniej, w 2000 r., staraniem tego samego edytora ukazało się pierwsze krajowe wydanie *Koncertu* i w tym samym roku wznowienia *Atlantydy* i *Ziemi Księżycowej* Andrzeja Chciuka. W grudniu 2006 r. to samo Wydawnictwo LTW opublikowało długo oczekiwaną relację Marka Celta z jego drugiej misji na terenie niemieckiej okupacji: *Z Retingerm do Warszawy i z powrotem. Raport z Podziemia 1944*, przygotowaną do druku przez krakowskiego historyka dra Wojciecha Frazika. ▶



Tablica pamiątkowa ku czci Tadeusza Chciuka-Celta we Wrocławiu

Helena Żołnierzowa

KAMIONKA STRUMIŁOWA 1941

Oto garść zapamiętanych szczegółów dotyczących zagłady przez NKWD ludzi w więzieniu w Kamionce Strumiłowej przed wkroczeniem Niemców w roku 1941.

W niedzielę 29 czerwca 1941 – w dzień św. św. Piotra i Pawła – uciekli z Kamionki sowioci i bez walki weszli Niemcy. I wtedy w podziemiach sądu odkryto świeżo zmasakrowane zwłoki wielu mężczyzn. Po identyfikacji 3 lipca odbył się wspólny pogrzeb ofiar bestialskiego mordu przy udziale księży rzymsko- i grekokatolickich, bo większość ofiar stanowili Ukraińcy. Polaków sowioci już dostatecznie wyniszczyli w latach 1939–40.

W dniu pogrzebu Niemcy przy udziale marginesu społecznego dokonali pierwszego pogromu Żydów jako zemstę za ten mord.

Byłam na pogrzebie i wbiła mi się w pamięć liczba 21 trumien złożonych do wspólnej mogiły. Znajoma natomiast utrzymuje, że trumien było 16.

A oto zapamiętane przeze mnie nazwiska:

1. **Tadeusz Choina** – 19 lat. W maju przed wybuchem wojny zdał maturę. Był synem profesora naszego gimnazjum i nauczycielki. Mieli ładny dom i trochę pola. Wspaniali, skromni ludzie. To były wszystkie „przestępstwa”, za które ojca zabrali sowioci zaraz po wkroczeniu – wraz z całą polską inteligencją. Matkę z dwójką młodszych dzieci wywieźli do Kazachstanu. Tadek w noc wywózki był

u krewnych, a potem ponad rok się ukrywał. Gdy całej rodzinie zagrożono, a niektórych aresztowano, Tadek zgłosił się do NKWD tydzień przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej. Nie wytrzymał osaczenia swego i krewnych. Wdzieliśmy go ostami raz przed śmiercią w oknie NKWD na pierwszym piętrze.

2. **Drugim Polakiem** był **Jazienicki** (imienia nie pamiętam), lat około 30, przedwojenny policjant.
3. **Jurkowski** – przedwojenny policjant.
4. **Semenowicz**, lat około 30, z żandarmerii wojskowej.
Reszta zamordowanych to Ukraińcy:
 1. **Melnik** – nauczyciel dziesięcioletki, biolog.
 2. **Dwóch braci Kosarewiczów**.
 3. **Dwóch braci Mulkiwiczów**. Trzeci ich brat przebywał od 1920 roku w Moskwie na wysokim stanowisku.
 4. **Dwóch braci Łukaszewskich**. Młodszy z nich mógł mieć około 20 lat. Znajomi twierdzą, że zginęło trzech braci, ale jeden o innym nazwisku, z innego ojca.
 5. **Łysko** – nie jestem pewna nazwiska (przezywali go Ciąg) – młody, zamożny gospodarz z przedmieścia.

Podobno wśród zamordowanych było dwóch Rosjan w wojskowych mundurach.

Wszystkie zwłoki były zmasakrowane, poobcinane uszy, powyrwane paznokcie, popodpalane pięty.

Niedawno odwiedziła Kamionkę moja znajoma i trafiła na pogrzeb ośmiu ofiar z okresu 1939–41, odkrytych ostatnio w podziemiach sądu w Kamionce. Tu o identyfikacji nie było już mowy. Były to szkielety ośmiu ludzi.

Do wrocławskiej uroczystości nawiązał też 25-minutowy film TV „Polonia”, emitowany w dniach 11 i 12 IX '05, pt. *Biały Kurier Karpat*.

Powyzszy skrócony biogram opiera się na tekście sprawdzonym przez jego bohatera w 1996 r. („Osiemdziesięciolecie Tadeusza Chciuka” – „Ziemia Drohobycka” 10/1997) oraz na dalszych kontaktach z nim samym lub z jego małżonką. Autor jest przewodniczącym Komisji Historycznej Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej.

JERZY M. PILECKI, ur. 1923 w Inowrocławiu, do 1940 mieszkał w Lwowie i Drohobyczu. W latach 1940–46 w więzieniach i łagrach sowieckich (Workuta i inne). Po repatriacji we Wrocławiu, studia chemiczne na tamt. Politechnice. Pracował w przetwórstwie metali kolorowych i w Centr. Ośrodka Bad.- Proj. Górnictwa Odkrywkowego. Od 1990 działacz Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej (wiceprezes ZG), redaktor nacz. czasopisma „Ziemia Drohobycka”, przew. Komisji Historycznej.

Wacław Fastnacht

Feliks West

W ubiegłym roku przypadły dwie znamienne rocznice: 160-lecie urodzin i 60-lecie śmierci zasłużonego wydawcy i księgarza w Brodach – Feliksa Wiktora Westa. Do przeżycia pełnych stu lat zabrakło mu zaledwie kilku miesięcy. Był uznanym, cenionym nestorem polskiego księgarstwa, zasłużonym społecznikiem i patriotą.

Urodził się w Wirawie na Słowacji w 1846 roku. Naukę pobierał w szkole realnej w Samborze, po czym, za namową nauczyciela, rodzice oddali młodego Feliksa do księgarni Jana Rosenheima w Samborze na naukę zawodu księgarza. Zapewne ten młody praktykant nie przewidywał wówczas, że przepracuje w tym zawodzie 76 lat. Gdy Rosenheim sprzedał księgarnię w Samborze znanemu księgarzowi lwowskiemu K.K. Wildowi, sam zaś przeniósł się z rodziną do Brodów, gdzie uprzednio otworzył nową księgarnię (przy ulicy Złotej 17), West oczywiście pojechał wraz z nim. Był to rok 1864, chciał więc wstąpić w szeregi powstańców (miał 18 lat), ale po pierwsze było to już po klęsce pod Radziwiłowem, po drugie nie mógł, bo był „na służbie” u swego pryncypała. Wiele lat później opisał dość szczegółowo sytuację powstańców w Brodach i opiekę, jaką miejscowa ludność roztoczyła nad nimi, aby uchronić przed represjami władz austriackich.

W latach 1871–1878 West dwukrotnie praktykował we Lwowie u Wilda (łącznie 5 lat), aby doksztalić się zawodowo w tej

wzorowo, na wysokim poziomie prowadzonej księgarni i szeroko poznać całokształt prac księgarskich. Po powrocie do Brodów w kwietniu 1878 r. podjął znowu pracę u J. Rosenheima. Ożenił się z jego córką Felicją (miał wtedy 33 lata), w roku 1882 przejął zaś od teścia księgarnię, a w roku 1888 drukarnię (odpłatnie).

Księgarnia Westa prowadziła działalność w szerokim asortymencie z wielu dziedzin, przede wszystkim podręczników i lektur szkolnych. Były tam oczywiście książki z własnych nakładów, ale też nowości wydawnicze z kraju i zagranicy. Stąd były przemycane dzieła wieszczów narodowych i druki patriotyczne na teren Kongresówki. W księgarni prowadzono też czasopisma krajowe i zagraniczne, ponadto nuty, struny, przybory do pisania i rysunków. W prowadzeniu księgarni pomagał Westowi jego starszy syn Feliks junior (1880–1929), który uprzednio praktykował w Krakowie i Warszawie. W latach 1904–1914 doprowadzili do rozwoju księgarni, będącej wówczas w znakomitej sytuacji zawodowej i finansowej. Księgarnia uczestniczyła w wystawach książki we Lwowie, Poznaniu, Wilnie i Warszawie, a także z granicą: w Madrycie zdobyła złoty medal.

W 1907 r. West rozpoczął wysyłkę do składnicy książek polskich w Nowym Jorku. Ta działalność była poświęcona zaspokajaniu potrzeb czytelniczych emigracji w Stanach Zjednoczonych. Składnicę założył i prowadził Jakub Vorzimmer, księgarz pochodzący ze Lwowa. Niestety, wysyłka książek



do Nowego Jorku trwała tylko do wybuchu pierwszej wojny światowej.

W 1908 roku otworzył skład swoich wydawnictw w księgarni E. Wendego w Warszawie. W latach 1912–1914 funkcjonowała też filia brodzkiej księgarni we Lwowie przy ul. Koralnickskiej 6.

West sukcesywnie aż do roku 1914 unowocześniał nabytą drukarnię, wymieniał maszyny starego typu na nowe. Stosował skład ręczny, bo to decydowało o pięknie książki. Miał na miejscu laboratorium chemigrafii, aby ilustracje i reprodukcje były wykonywane na miejscu. Na droższe publikacje kupował papier we Lwowie i za granicą.

Własna drukarnia pozwoliła Westowi rozwinąć bogatą działalność wydawniczą. W całym okresie tej działalności (około 25 lat) ukazały się 634 pozycje, przede wszystkim z literatury pięknej, a ponadto z historii, krytyki literackiej, filozofii, teologii, sztuki i prawa. W prowadzeniu drukarni pomógł Westowi jego młodszy syn Wilhelm (1884–1920), który od roku 1907 był jej kierownikiem technicznym. Wcześniej ukończył on Akademię Handlową w Wiedniu, potem w Lipsku i Augsburgu, dokształcił się w drukarstwie i dzięki temu przyczynił się do stałego rozwoju brodzkiej drukarni.

Największą zasługą Westa w dziedzinie edytorskiej były serie wydawnicze. Wprawdzie nie wszystkie były udane, ale ważniejsze z nich to:

– *Powiadki Ojczyste dla Młodzieży Szkolnej Polskiej* (1891–92), pod redakcją F. Schindlera, oparte na powieściach I.J. Kraszewskiego. Każdy tomik kosztował 50 centów, były więc dostępne dla młodzieży.

– *Nasi Wielcy Pisarze* (1911) – wydano 7 tomów pod redakcją J. Kallenbacha. Zawierają wszystkie dzieła A. Mickiewicza. Krytyka literacka oceniła tę serię bardzo wysoko. Seria miała potem pięć wydań. Egzemplarze tańsze były drukowane po 3000 egz., droższe po 2000 egz., najdroższe – dla miłośników książki, dla koneserów (i dla snobów też!) na papierze japońskim – po 500 egz. Karty tytułowe były zdobione winiętami o wzorach renesansowych, a także w modnej wówczas secesji o płynnych liniach. Nie wiadomo dlaczego West nie kontynuował tej serii, choć w planie miał dzieła A. Fredry.

– *Epos. Najznakomitsze poemata epickie wszystkich krajów i narodów w streszczeniach*

i wyciągach (1908–12) – pod redakcją Antoniego Langego, przebywającego wówczas przeważnie w Paryżu. Serię zaplanowano na 30 tomów, ale ukazało się tylko 5; jej kontynuowaniu przeszkodził wybuch I wojny światowej. Wydano: *Enuma Elisz* (starobabil.), *Pentaur* (egip.), *Ramayanę* (staroind.), *Mahabharatę* (ind.), *Iliadę*. Niektórzy historycy literatury twierdzili, że w *Eposie* ujawnił się szczyt kunsztu edytorskiego oficyny Westa.

– *Arcydziała Polskich i Obcych Pisarzy* (1902–1914) – wydano 84 tomiki. I. Chrzanowski określił to wydanie: wzorowe, a dla sprawy nauczania historii literatury ojczystej nie tylko pożyteczne, ale wręcz niezbędne. Do współpracy przy tym wydawnictwie West pozyskał takich historyków literatury jak: P. Chmielowski, K. Wojciechowski, J. Kallenbach i szereg innych. W tej serii West zapoczątkował literackie opracowanie każdego dzieła, zawarte we wstępach. Miało to dostarczać miłośnikom literatury i jej szkolnym użytkownikom – nauczycielom i uczniom – polskich tekstów w „obudowie” historyczno-literackiej. Te opracowania obejmowały: biografię autora, genezę i ocenę utworu, kompozycję literacką, objaśnienia językowe, charakterystyki osób, wartości ideowe i bibliografię. Taki schemat opracowań literackich przejęła potem w latach powojennych Biblioteka Narodowa – odpowiednio go rozwijając.

Produkcja drukarni Westa wyszła ponad przeciętny poziom innych prowincjonalnych oficyn. West sam prowadził sprawy wydawnicze, sam sterował polityką wydawniczą, nawiązywał kontakty z autorami, decydował o formie typograficznej dzieła, jak i o przyjęciu lub odrzuceniu rękopisu. Jego działalność odznaczała się wycuciem potrzeb i chłonnością rynku.

Ogromna zasługa działalności wydawniczej Westa w okresie zaborów polegała na jego postawie. Inicjując drukowanie wartościowych, ale tanich książek, o dużym nakładzie, rozbudził zainteresowanie książką i ułatwił ich kupowanie nawet najuboższym, a przede wszystkim uczniom.

West był także gorliwym społecznikiem. W latach 80. XIX wieku czynnie przysłużył się do powstania w Brodach Stowarzyszenia Rękodzielników „Gwiazda”, Towarzystwa Szkoły Ludowej, Towarzystwa „Młodzież Polska”, Gniazda PTG Sokół. W latach 1895–98 był inicjatorem i sekretarzem Komitetu Budowy Pomnika Józefa Korzeniowskiego (urodzonego w Brodach) aż do odsłonięcia pomnika. Dzięki inicjatywie i usilnym stara-



niom Westa (i kilku innych działaczy) ck Gimnazjum im. Rudolfa w Brodach, uczące młodzież w języku niemieckim, otrzymało prawa nauczania w języku polskim, do roku 1913 zostało całkowicie spolszczone. W latach 1884–1928 był członkiem Rady Miejskiej, w tym także wiceburmistrzem, zaś w latach 1890–1926 – radcą Izby Przemysłowo-Handlowej we Lwowie oraz wiceprezesem i prezesem Izby.

W środowisku księgarskim również piastował wysokie stanowiska. W roku 1918 na Zjeździe Księgarzy Wschodniej Galicji założono Związek Dzielnicowy Księgarstwa Polskiego we Lwowie, którego został prezesem. W 1924 r., z okazji 60-lecia jego pracy księgarskiej, Związek Księgarzy Polskich mianował Westa członkiem honorowym. Od 1931 r. był członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek. W roku 1907 otrzymał Złoty Krzyż Zasługi za swą działalność księgarsko-wydawniczą od Rady Szkolnej Krajowej we Lwowie. Odznaczenie to ma swoją znamieną wymowę, skoro Rada ta była jak gdyby ministerium szkolnictwa dla całej Galicji.

W roku 1913 urządzono Westowi uroczysty jubileusz 50-lecia pracy księgarsko-wydawniczej. W swoim pamiętniku zapisał tak: *Rok 1913 był dla księgarni mojej bardzo znamienym. Pięćdziesiąt lat minęło, kiedy obrałem ten piękny zawód i bez przerw pracowałem. Otrzymałem pisma od prawie wszystkich Instytucji Naukowych w Kraju, od autorów i uczonych otrzymałem mnóstwo listów pełnych życzeń i uznania. Był to rok dla mnie pełen radości!... Po tym wspa-*

niałym roku nastąpił rok 1914, rok w którym rozpoczęły się kłęski moje!

Istotnie. Wojna zniszczyła cały jego 50-letni dorobek. W roku 1916, gdy nastąpiła druga inwazja rosyjska, West wyjechał ze starszym synem do Lwowa. Wtedy żołdacy rosyjscy rozmontowali i wywieźli na wschód całą drukarnię, zrabowali zapasy papieru, którego było ok. 5 wagonów, zniszczyli część nakładów. To, co West i syn powiększali i unowocześniali przez wiele lat, zostało w ciągu tygodnia zrabowane. W 1917 r. wrócił do Brodów i uruchomił księgarnię z resztek zapasu, ale: *1 listopada 1918 r. Rusini zajęli Wschodnią Część Kraju. Rozpoczęły się rządy gwałtów, nadużyć i represji. Byłem na czarnej liście do aresztowania – synowie wpłynęli na mnie, abym wyjechał z Brodów – zapisał w swym pamiętniku. Wyjechał do Chyrowa do krewnych.*

W lipcu 1920 r. armia Budionnego zajęła Brody. Izaak Babel służył w tej armii i był przypadkowym świadkiem rabunku księgarni Westa. W swoim *Dzienniku 1920* tak to opisał: *31.7.20 Brody... Przed odjazdem taczanka czeka od rana na ul. Złotej, godzina w księgarni. Są tu wszystkie wspaniałe, nie rozcięte jeszcze wydania, albumy. Zachód, oto Zachód i rycerska Polska, wypisy, historia wszystkich Bolesławów i wydaje mi się czemuś, że to jest piękne. Polska – w łśniących szatach na zwiędłym ciele. Grzebię w kupie książek jak wariat, biegnę do pótek, a tu już potok, już grabią jacyś wstrętne, młodzi ludzie o marsowym wyglądem – komisja do spraw łupów. Odrywam się od*

książek z rozpaczą. Tak więc w czasie pierwszej wojny światowej drukarnia i księgarnia Westa zostały unicestwione. West wrócił do Brodów we wrześniu 1920 roku.

W międzywojennym dwudziestoleciu West otworzył i prowadził tylko księgarnię. W roku 1925 zorganizowano we Lwowie wystawę książki polskiej, na której jego księgarnia zaprezentowała z sukcesem 56 swoich najlepszych i najwartościowszych książek. W tym samym roku utworzył u siebie skład główny na Wołyń wydawnictw „Książnicy Atlas” i Ossolineum.

Całe dwudziestolecie było jednak dla Westa trudnym okresem. Był już od dawna wdowcem, a do tego w tym czasie zmarli jego obydwa synowie. Skutki światowego kryzysu gospodarczego dotknęły także i jego. Popadł w trudną sytuację finansową i w dotkliwie zadłużenia. W 1936 – aby częściowo spłacić długi – sprzedał ze swojej prywatnej biblioteki komplet *Bibliografii Polskiej XIX stulecia* Estreichera. Będąc już 90-letnim starcem – pomimo tak trudnych warunków – prowadził jednak wzorowo i z pietyzmem swoją księgarnię, która aż do wybuchu drugiej wojny światowej była w Brodach powszechnie cenionym przybytkiem oświaty i kultury.

W roku 1938 z okazji 75-lecia pracy księgarskiej Rada Miejska w Brodach nadała Westowi tytuł honorowego obywatela miasta i nazwała jedną z ulic jego imieniem. Tutaj przypomina się pewna anegdota związana z tym wydarzeniem. W tym właśnie czasie władze skarbowe zagroziły Westowi, że za zaległe podatki mogą zająć jego kamienicę. Pewien dowcipny brodzianin puścił wtedy w obieg następujący wierszyk:

*Darowaliście mi ulicę,
a zabrali kamienicę,
us...m się na taki gest,
z poważaniem Feliks West.*

Ten nieprzychylny wierszyk obrazuje wszakże smutne sprzeczności losów, w jakich przyszło wtedy żyć temu niezwykłemu człowiekowi. W roku 1933 otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi, a w roku 1935 Złoty. W roku 1938 Order Polonia Restituta I klasy i w tymże samym roku Złoty Wawrzyn Akademicki za zasługi dla dobra literatury, przyznany na wniosek Polskiej Akademii Literatury.

Druga wojna światowa przyniosła całkowite zniszczenie księgarni Westa. W dniu 20 grudnia 1939 r. sowiecka władza w Brodach zażądała opróżnienia lokalu księgarni do następnego dnia. Było to niemożliwe do wykonania, więc sowieci wywieźli książki i całe wyposażenie księgarni poza miasto i spalili. Przez cały okres wojny West utrzymywał się tylko z zapomóg Związku Księgarzy Polskich i księży parafialnych w Brodach.

W tym miejscu należy wspomnieć jeden znamieny epizod z tego czasu. W latach 1920–1930 West utrzymywał stałe kontakty z niemieckim księgarzem L. Kittlerem z Lipska, który przysyłał mu w komis najcenniejsze wydawnictwa klasyki niemieckiej literatury. W dniu wybuchu wojny pozostało z tego niespłacone saldo obciążające Westa na 234 marki. W końcu maja 1940 r. Niemiec przysłał Westowi list (napisany w uprzejmym tonie) z prośbą o zapłacenie tego salda. Otóż Polska została rozdarta przez dwóch nastpników-grabieżców, a ten pisze, że *u Pana znowu zaistniały uregulowane stosunki*. Przykład niemieckiej perfidii!

West musiał znosić przez cały okres wojny skrajną biedę. Pozostał sam, bo również siostra prowadząca mu gospodarstwo zmarła, a do tego stopniowo tracił wzrok i słuch. W roku 1939 liczył 93 lata.

W marcu 1944 Niemcy zamierzali stwóżyć z Brodów silny punkt oporu i zarządzili ewakuację całej ludności na zachód. West przybył wtedy do Lwowa, gdzie zaopiekowali się nim księgarze, przede wszystkim Aleksander Krawczyński, należący wówczas do konspiracyjnej Tymczasowej Rady Księgarskiej. W maju 1944 roku West pod opieką osoby towarzyszącej wyjechał ze Lwowa do swojego wnuka Andrzeja Westa, który wówczas mieszkał i pracował w leśnictwie w Klęczanach koło Nowego Sącza. W sierpniu tego roku West przeniósł się do Nowego Sącza. Przez półtora roku korzystał z zapomóg Krakowskiego Oddziału Związku Księgarzy Polskich. Zmarł 18 stycznia 1946 roku i został pochowany na nowosądeckim cmentarzu. Żył 99 lat i 137 dni.

W miejscu, gdzie był jego grób, Koło Brodzian umieściło tablicę dla upamiętnienia życia, zasług i śmierci tego Wielkiego Patrioty (patrz strona poprzednia).

Co dalej z zabytkami polskiej kultury

Odnaleźliśmy egzemplarz tygodnika „Ład” nr 2/93, czyli sprzed ponad 14 lat (nie ukazuje się od wielu lat). Jest tam artykuł podpisany przez prof. dra Ryszarda Brykowskiego pt. *Polsko-ukraińska umowa*, traktujący o uzgodnieniach między Polską a Ukrainą (SSR, jeszcze sowiecką republiką) z roku 1989 w kwestii ratowania zabytków architektury po tej i po tamtej stronie granicy.

Strona ukraińska podyktowała 15 obiektów, przy czym są to wyłącznie cerkwie – 12 drewnianych, 2 murowane i dzwonnice. Strona polska wymieniła 20 różnych obiektów, a to (wytluszczony druk oznacza teren Małopolski Wschodniej i Wołyń):

1. Berdyczów (obw. żytomierski) – pokarmelicki zespół klasztorny, XVI–XVIII w.
2. Bohorodczany – poddominikański zespół klasztorny, 1742–1764
3. Brzeżany – zamek, a szczególnie kaplica zamkowa, XVI w.
4. Dąbrowica (Wołyń) – kościół parafialny, 1695–1702
5. Drohobycz – kościół parafialny, XV–XVI w.
6. Hodowica – kościół parafialny, 1751–1758
7. Husiatyn – kościół parafialny, 1610
8. Kołomyja – kościół parafialny, 2. poł. XVIII w.
9. Łatyczów (obw. płoskirowski) – kościół 1606–1638 i 1724
10. Łuck (Wołyń) – pojezuicki zespół klasztorny, 1606–1610
11. Mikulińce – kościół parafialny, XVIII w.
12. Nawaria – kościół parafialny, 1626
13. Żótkiew – fara, XVII–XVIII w.
14. Nowy Milatyn – kościół parafialny, 1780–1790
15. Waręż – kościół parafialny, 1689–1693
16. Ołyka (Wołyń) – kościół parafialny, 1635–1640
17. Podhorce – założenie pałacowe z XVII w. wraz z kościołem, 1756
18. Podkamień – poddominikański zespół klasztorny, XVII–XVIII w.



19. Połonne (obw. płoskirowski) – kościół, 1607
20. Sambor – kościół parafialny, 1688–1693

Autor artykułu zastrzegł, a także reprezentujących, że jest to lista jedynie wstępnego rejestru polskich zabytków, niemniej dziwi brak w niej późnogotyckiego kościoła w Podhajcach (wali się!), kościoła w Zbarażu, zamku w Pomorzanach (ruina w stanie schyłkowym).

O pomstę do nieba woła fakt, iż do dnia dzisiejszego nie zrobiono nic w Hodowicy – nie ma tam już sklepień, podobnie w Podhajcach, Jazłowcu, Warężu. Stan zamku w Pomorzanach to tragedia. W Brzeżanach zaczęto zaledwie ratować kaplicę Sieniawskich, a reszta kościoła – nie mówiąc o zamku, który walił się na naszych oczach w ostatnich kilkunastu latach?

Z drugiej strony na przedstawionej liście figuruje kilka obiektów, którym technicznie (na razie) nic nie zagrażało, a także reprezentujących klasę nie dorównującą Brzeżanom, Hodowicy lub zamkowi w Podhorcach. Rozsądek i zawodowa uczciwość nakazywałyby więc decydom przyjęcie odpowiedniej kolejności.

Radzi byśmy wiedzieć, jaki jest stan uzgodnień dziś, po 14 latach?

Kościół w Podhajcach, 1994. Czy te gotyckie żebra jeszcze istnieją?

Alfred Senze

Z tamtych lat, z tamtych dni (2)

Wspomnienia z Akademii Medycyny Weterynaryjnej w okresie okupacji sowieckiej we Lwowie

W pierwszych dniach po zajęciu uczelni przez sowiektów, kręcili się po niej ciągle żołnierze NKWD, pilnie notując stan narkotyków oraz środków znieczulających i oszłamiających. Dotyczyło to przede wszystkim klinik i apteki weterynaryjnej, znajdującej się w Katedrze Farmakologii. W miarę upływu czasu zniknęło pospolite łożadactwo, a ich miejsca zajmowali lepiej ubrani z wyczyszczonymi butami, złani wręcz perfumami, które czuć było na daleką odległość. Znikali więc przedstawiciele tego niedoścignionego Kraju Rad, co tylko wiecznie pytali o „czasy” lub palili papierosy kręcone w gazetach „Prawda”, wetkniętych w końcówki cygara, ciągle powtarzając: *Polaczki to chytry naród; zakrutysz dym nie idiot, odkrutysz dym idiot*. Zabrali nam także z naszej kliniki bojca, z którym często znając dobrze język rosyjski rozmawiał doc. Moraw. *Słuszaj – pytał – mnogo u was oruża (dużo u was broni)? O mnogo, mnogo. A mnogo u was ikry (kawioru)? U nas bolsze ikry kak oruża. On rastyt na wsiakij kusty osobenno w werchu (on rośnie na każdym krzaku, szczególnie w górach)*. Ten wisielczy humor nie usuwał jednak ogólnego przygnębienia panującego na uczelni. Nie można było przejść obojętnie nad wbitym nożem w plecy dogorywającej Rzeczypospolitej. Raniły nas bardzo słowa rzucane pod naszym adresem tak na ulicy, jak i na uczelni: *Polszy niet, nauczysia ukraińskiego jazyka*. Niektórzy studenci ukraińscy zadawali pytania lub udzielali odpowiedzi z pełną prowokacją tylko w języku ukraińskim.

Muszę tutaj podkreślić godne zachowanie się doc. Grzyckiego, który z Polakami rozmawiał tylko w języku polskim, przyznając się jeszcze przed wojną do narodowości ukraińskiej. Prowadził on ze swoją żoną naukę dobrych manier towarzyskiego zachowania się na ulicy i w domu państwa Czinczenko. Poprosił go o to dyr. Czinczenko z żoną. Pierwszym zaskakującym nas znakiem tych lekcji było zdejmowanie czapki i uścisk dłoni przy podejmowaniu rozmowy. Widać było, że sprawia mu to największą przyjemność. Po kilku miesiącach

szkolenia państwo Czinczenko wydali w domu, ale tylko dla profesorów i docentów, wspaniały obiad. Według doc. Morawa tak pod względem kulinarnym, jak kulturalno-towarzystwem spotkanie było na najwyższym poziomie. Dyr. Czinczenko uciekł potem z Niemcami i osiedlił się w Kanadzie. Jego zaś list, przysłany do Rady Wydziału we Wrocławiu, dowodził, że istotnie lekcje udzielone przez doc. Grzyckiego spełniły swój cel: *Ja jestem teraz taki szczęśliwy, jakimi wy kiedyś byliście, a Wy jesteście teraz tacy szczęśliwi, jakim ja kiedyś byłem, ale ja Wam życzę, ażebyście byli tacy szczęśliwi, jakim ja teraz jestem*.

W tej istniejącej na uczelni sytuacji nie rozumieliśmy, dlaczego prof. Skowroński prowadził wykłady w języku ukraińskim. Wprawdzie chodziło o okres poprzedzający już wojnę niemiecko-sowiecką, to jednak często dyskutowaliśmy na ten temat snując różne domysły. Był przecież Polakiem, oświadczając to publicznie w czasie przedstawiania swego życiorysu na ogólnym zebraniu związku zawodowego. Złożyliśmy mniemali, że chciał tym ocalić od parcelacji swoją małą posiadłość z ziemią pod Kołomyją. Przygnębienie wśród Polaków narastało także na skutek włączenia naszych Ziemi do Ukrainy, sfalszowanymi wyborami, a wręcz dobijały nas sukcesy militarne Niemców. Żyliśmy więc w skrajnej rozpacz, karmieni wiadomościami radia londyńskiego (*Bum, bum, bum, bum*) oraz krążącymi ulotkami. Na uczelni, zgodnie z zasadą obowiązującą w AK, istniał tzw. kiosk jako punkt rozdzielania ulotek pomiędzy najbardziej zaufanych. Przy rozmaitych krążących w nich egzemplarzach widzieliśmy jedynie nasz ratunek w zetknięciu się tych dwóch kolosów. Do tego było daleko, a każdy dzień przynosił nowe osobiste tragedie. W tym wszystkim nie docenialiśmy zupełnie ZSRR, traktując go jako kolosa na glinianych nogach, którego jednak chytry łeb przechytrzył swoich alianckich przyjaciół.

Zima zbliżała się szybkimi krokami. Brak opału daje się dotkliwie odczuć. Za fortepian dostają dwie mizerne furki porąbanego drzewa, a za kożuch ojca kol. Panczy przywozi

trzy worki węgla. Palimy co trzeci lub czwarty dzień. Pozbierane na Persenkówce ziemniaki są całkowicie zmarznięte – jak kamienie. Rezygnujemy z ich przydziału, opłacając jednak koszt ich przywozu. Podobnie jest z żywnością, za którą ustawiają się długie kolejki, czasem bez efektu lub z nieoczekiwanym zakończeniem. Nieraz stoimy przez całą noc na zmianę z poszczególnymi członkami rodziny za cukrem. Sprzedaż na głowę w zależności od sklepu wynosiła od 100 do 250 dag. Często zaś zakończeniem takiego wyczekiwania był przyjazd milicji sowieckiej bezpośrednio przed otwarciem sklepu i zabranie całego zapasu cukru z magazynu.

Wobec ogromnej ilości uciekinierów z centralnej Polski w czasie działań wojennych z Niemcami – przez NKWD zostaje otwarty we Lwowie punkt rejestracyjny, celem umożliwienia im powrotu do rodzin. Istnieją *przecież* dwie Polski – jedna przykryta przez sierp i młot, druga przez czarną swastykę. Zorganizowane przez NKWD transporty jadą jednak w zupełnie przeciwnym kierunku, a po kilku miesiącach od wywożonych, docierają wieści z dalekich rubieży ZSRR. Docierają błagalne prośby o dostarczenie żywności i ciepłej odzieży. Pierwsze sygnały z Kraju Rad są minorowe. Wynika z tego, że więzieni są w głąb Rosji w makabrycznych warunkach o chłódzie i głodzie. Tylko nielegalną drogą, ucieczką przez zieloną granicę można wyrwać się z tego piekła. Ale i tutaj czyha na uciekinierów szereg niebezpieczeństw. Umawiamy się – ja, kol.

Zbyszycy i Dulian (asystent Anatomii), że uciekamy na Węgry czekając na umówiony sygnał z Kosowa. Przez Węgry zamierzamy dostać się na Zachód. Nerwowo nie wytrzymuje tego wyczekiwania kol. Zbyszycy i przediera się przez granicę w okolicy Rawy Ruskiej. Udaje się mu, a my wciąż czekamy. Po otrzymaniu wiadomości od rodziny z Kołomyi, że tzw. „murovani” przewodnicy prowadzą uciekinierów wprost w ręce granicznego NKWD, rezygnujemy z Wandokantym z tej eskapady. Od Duliana otrzymujemy po kilku miesiącach wiadomość z dalekiego Kazachstanu, że zatrudniony jest przy wyrębie lasu. Prosi o słoninę i ciepłe skarpety. Jak dotąd jest zdrowy i obżera wraz z współwięźniami kości pozostawione przez pilnujące ich psy do śnieżnej białości. Jest zdania, że jest to najdoskonalsza metoda maceracji kości, którą wykorzystać należy w obecnych warunkach pracy zakładu anatomii w kraju. Wysyłamy natychmiast dwie paczki bez żadnej odpowiedzi.

Z początkiem listopada uczelnia nasza przeżywa głęboką rodzinną tragedię prof. Banta. Już z końcem października rozsiewane są pogłoski niewiadomego pochodzenia, że Polacy przeciwko władzy radzieckiej przygotowują zbrojne powstanie, gromadząc broń w grobowcach. W tych czasach grobowce były małymi nadziemnymi kapliczkami o wejściu zasłoniętym potężnymi płytami z mosiężnymi uchwytyami. Przed samymi Świętami Zmarłych wszystkie grobowce na Cmentarzu Łyczakowskim i Janowiskim zostają dokładnie przeszukane przez NKWD, ale nie zawsze – z powodu ich dużej liczby – dokładnie zamknięte.

NA PLACÓWCE

**Niezależne pismo regionalne
obozu niepodległościowego na Podhalu**

Nasi Czytelnicy znają ten periodyk, ponieważ wielokrotnie relacjonowaliśmy zamieszczane w każdym jego numerze artykuły poświęcone Kresom. Oczywiście głównym tematem tego pisma są sprawy podhalańskie, tatrzańskie, zakopiańskie, góralskie, zawsze dla nas ciekawe. Z drugiej strony Redakcja „Na Placówce” przysporzyła także naszemu kwartalnikowi szereg czytelników na Podhalu.

Redakcja „Na Placówce” zaprasza do prenumeraty, którą można zamówić korespondencyjnie poprzez wpłatę na konto:

KP POB, 34-500 Zakopane,
Plac Niepodległości 6
nr 16 1060 0076 0000 3200 0077 4089
z dopiskiem: „prenumerata”

Więcej informacji:

www.porozumienieorlabialego.zakopane.org.pl

Roczny koszt prenumeraty – 25 zł (w tym porto), cena pojedynczego numeru 3,50 zł.

W najnowszym numerze (1/2007) znaleźliśmy m.in. obszerny artykuł o Kamieńcu Podolskim i Chocimiu, z pięknymi zdjęciami, a zarazem zawiadomienie o wycieczce w dniach 17–20 maja br. Wyjazd z Zakopanego, trasa prowadzi przez Lwów, Jazłowiec, Kamieniec Podolski, Chocim, Zaleszczyki, powrót przez Lwów do Zakopanego. Cena wycieczki: 380 zł + 20 USD. Zgłoszenia przez tel./fax: 018 / 201-29-77.

Mały 6-letni syn prof. Banta uczestnicząc w paleniu świec przy grobowcu potyka się, odruchowo łapie za mosiężny uchwyt płyty i na oczach wszystkich zgromadzonych zostaje przygnieciony potężną marmurową płytą. Zrozpaczony ojciec niesie nieprzytomne dziecko do znajdującej się w pobliżu kliniki prof. Grucy, w której wkrótce umiera. Tragedia towarzyszyła profesorowi do końca życia. Przecież w pierwszych dniach działań wojennych był z rodziną we Włoszech. Mógł nie wrócić, a jednak wrócił, bo tak nakazywał mu patriotyczny obowiązek. A potem nawet dwukrotna próba adopcji osieroconych cudzych dzieci nie powiodła się.

Mówią, że nieszczęścia chodzą parami. Zbliża się kolejna rocznica Rewolucji Październikowej, obchodzona zawsze w listopadzie. Idzie i nasza uczelnia w łunie czerwonych sztandarów po bardzo dokładnym sprawdzeniu listy obecności. Idziemy ulicą Kochanowskiego w kierunku Opery, gdzie czeka na nas trybuna z łowcami polskich faszystów – sowieckich prominentów. Niektórzy z nas w tym pochodzie zaszczytzeni zostają niesieniem podobizn wodzów rewolucji: Engelsa, Marksa, Lenina i Stalina. Niesie ją także kilkadziesiąt metrów, wprawiając w ruch wirowy jak kuchenną matawkę dr Maślak i odstawia pod jednym z drzew ul. Kochanowskiego. Prawie natychmiast kilku nieznanym mężczyznom z chodnika dogania pochód i usiłuje broniącemu się dr. Maślakowi wręczyć powtórnie ten emblemat ludobójcy Stalina. Uchylając się przed tym „zaszczytem”, zostaje wyprowadzony z pochodu i widzimy go po raz ostatni w naszym gronie. Daje o sobie dopiero znać kilka lat później z Włoch, w których korzysta z gościny jako żołnierz gen. Andersa. Nie przypuszczał nigdy, jaki spotka go los.

Coraz częściej zaczynają się po ulicach i domach mieszkalnych łapanki, a ich szczyt we Lwowie osiągnięty zostaje w lutym 1940 r. Wywożeni są mieszkańcy całych bloków i domów. W pierwszej kolejności chodzi o rodziny wojskowych, policjantów, sądownictwa, właścicieli nieruchomości, sklepów, a także księży. Denuncjacja oraz chęć posiadania lepszego mieszkania odgrywają tu ogromną rolę. Potem ma znaczenie nie wykaz imienny, ale zgodność dotycząca ilości. Z domu i mieszkania nie pozwala się im nic zabrać, a na ich oczach dokonuje się rabunku najcenniejszych rzeczy. Zbudzeni w nocy, nie przewidując tego rodzaju akcji, w delikatnej nocnej bieliźnie, przy dużych mrozach,

wypychani są na wojskowe ciężarówki i wywożeni na towarowe dworce kolejowe. Tam po kilkadziesiąt sztuk wciskani są *par force* do nieoczyszczonych po zwierzętach wozów.

Tak też dostaje się wielu naszych kolegów: Szmidt z wysoko ciężarną żoną (później dyrektor w Opolu), Dubrawski, Szeremeta, Żołnierczyk, Flak, Wierzbicki, miejski lekarz wet. Grzywak i wielu, wielu innych, których zawodna pamięć nie jest w stanie tu umieścić. Wszyscy wymienieni i inni przechodzą prawdziwą gehennę, często nie dojeżdżając do miejsc swojego rzekomego przeznaczenia. Zwłoki umrzyków czy noworodków wyrzucane są brutalnie przez ochronę sowiecką z jadącego pociągu lub na miejscu pierwszego przypadkowego postoju. Czasem celowo, jeszcze przed wtłoczeniem do wozów, rozdzielano małżeństwa lub izolowano od własnych dzieci. Stąd też nikt się nie przyznaje do rodziny. Przy jakiegokolwiek opieszałości pojmami są bici kolbami karabinów, a przy fizycznym oporze rozstrzeliwani na miejscu lub trzymani godzinami na mrozie. Na takie niespodziewane piekło ludzie zaczynają się teraz przygotowywać. Wychodząc na ulicę, zwłaszcza w porze wieczornej, nosimy ze sobą małe płócienne woreczki zawierające żelazną porcję: suszony chleb, 25 dag cukru, ciepłe skarpety, mydło i kawał słoniny oraz zaadresowany do rodziny list ze znacznikiem. Takie chlebaki robią przykre wrażenie podczas większych zgromadzeń, np. podczas mszy św. w Katedrze. Inne kościoły zostają zamknięte i przystosowane do potrzeb komuny. Do katedry chodzą nie tylko Polacy, ale i Rusini, Ukraińcy, a nawet przybysze radzieccy. Trzykrotny krzyż, jaki kreślą na piersiach, dowodzi o odżywianiu ich przynależności do rodziny chrześcijańskiej. Piękny gotycki kościół św. Elżbiety staje się magazynem zboża, u św. Anny jest zbiór kas biletowych do tramwajów i autobusów, a następnie sklep meblowy. Inne służą jako dom kultury dla rozbawionej ateistycznej młodzieży i żołdaków z ich małżonkami lub służą do różnych wymyślnych celów, np. portal kościoła i klasztoru przy Domagaliczów zostaje usunięty i zostaje zaadaptowany na główne wejście do Parku Stryjskiego.

Ogólnie obowiązująca zasada ostrożności przed łapankami zaczyna teraz w sąsiedztwie klinik przybierać nowe formy. Na moich nocnych dyżurach odbywanych w ambulatorio-

rium chirurgicznym dla małych zwierząt zaczynają się pojawiać nowi mieszkańcy. Do pierwszych należy małżeństwo M. Skurskich, studentów AMWet. Ponoć tak spędzili swoją pierwszą noc poślubną. Przyprawdzają innych z najbliższych ulic. Widocznie kredyt zaufania, jakim mnie darzą, jest duży, bo ilość „torbaczy” stale wzrasta. Obszerny pokój dyżurki staje się wkrótce za mały. Przenoszę więc część bywalców nocnej udręki do dużego pomieszczenia ambulatoryjnego kliniki położniczej dla małych zwierząt. W pierwszym ambulatorium, dobrze opalanym, obozują kobiety ciężarne i osoby starsze, w drugim, zimniejszym – „torbacze” młodszy. Niektórzy z nich przychodzą z kotkami lub małymi psiakami. Cenę ich życia traktują więc na równi ze swoim. Obowiązuje rygor bezwzględnej ciszy i zakaz palenia papierosów. Najczęściej siedzą na własnych składanych krzeselkach lub stołach ambulatoryjnych. Wielu – na linoleum podłogi w oparciu o ścianę ma to swoje etatowe miejsce. Schadzki te rozpoczynały się zwykle między godz. 19 a 20 i trwały do 6 rano. Tej godziny nie można było przekroczyć, ponieważ około 7 przychodzili woźni i rozpalali w piecach. Do mnie należało wietrzenie pomieszczeń i sprawdzanie, czy nie pozostawiono rzeczy osobistych.

W związku z nasileniem się łapanek, zgłaszam chęć pełnienia dodatkowych dyżurów do 4 razy w tygodniu. Dyżury nocne były bezpłatne i rozdzielane między ordynatorów Interny, Położnictwa i Chirurgii. Na moją propozycję godzą się chętnie inni ordynatorzy, a zdziwionemu dyr. Czinczence tłumaczę swój krok niemożnością opalania mojego mieszkania. Dla uzupełnienia dodam, że po wyrzuceniu nas przez Sowietów z domów

kolejowych w grudniu 1939 r. rozdzieliłem się z rodziną i zamieszkałem przy ul. Grochowskiej 28 wraz z trzema ukrywającymi się zawodowymi oficerami WP. Otrzymując przez AK fałszywe papiery, zostali nauczycielami w szkole podstawowej przy ul. Potockiego. Moja częsta nocna nieobecność była im bardzo na rękę, bo zamiast na podłodze na zmianę wykorzystywali moje łóżko. Tak więc w okresie ostrej zimy w lutym, marcu, a nawet w początkach kwietnia 1940 r. służyłem swoim nocnym przybyśsom okupacji sowieckiej klinicznymi pomieszczeniami. Dzięki temu wielu z nich uniknęło podróży w krainę polarnych niedźwiedzi lub przymusowej gimnastyki przy wyrębie lasów w Kazachstanie. Wracając zaś rankiem z mojego wspólnego dyżuru wielu z nich zastawało swoje mieszkanie puste, ograbione i zapieczętowane, a sąsiedzi przestraszeni, zapłakani i zmaltretowani informowali ich, co wydarzyło się tej nocy. Przyznam szczerze, że i ja byłem już tym wszystkim zmęczony psychicznie i fizycznie, witając radośnie nadchodzącą wiosnę i wyraźnie zmniejszającą się liczbę łapanek. Sam zresztą jeszcze przez długi czas byłem „torbaczem”, nosząc płócienną torebkę z opisaną wyżej zawartością. W miejsce jej żywnościowej zawartości wynosiłem potem grudki węgla i szczapy drewna. Tak przygotowywali mnie do następnej zimy moi dwaj zaufani laboranci – Mryc i Kraczkowski (Kruk).

Nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie, co przeżyliśmy w okresie tzw. wolnych wyborów i przeprowadzonego głosowania za przyłączeniem naszych Wschodnich Ziem do Ukrainy. Wierzyliśmy, naiwniacy, we własne siły, pomoc naszych sojuszników, a nawet prawną sprawiedliwość niedoścignionej Konstytucji ZSRR. Według naszych obliczeń

PROŚBA

Jestem studentem historii sztuki i wiceprezesem Koła Naukowego Studentów Historii Sztuki na Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. W kwietniu organizuję wyjazd naukowy do Lwowa i jako temat referatu, który piszę, wybrałem Wystawę Krajową we Lwowie w 1894 r. Mam już kilka pozycji w bibliografii, jednak poszukuję dalszych ciekawych materiałów – książek czy artykułów, na podany temat. Bardzo pomocne byłyby też wszelakie materiały graficzne – plany czy zdjęcia archiwalne.

Za każdą pomoc i sugestie byłbym bardzo wdzięczny, gdyż temat historii sztuki oraz historii i kultury Lwowa jest niezwykle interesujący.

Piotr Zdybał
piotr.zdybal@op.pl

Informujemy, że w naszym kwartalniku nr 2/05 ukazały się dwa artykuły na przedmiotowy temat:
– Jacek Purchla, *W stulecie Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie 1894 roku*
– Jurij Birijulow (Lwów), *Chodząc po Wystawie*

i jednej zdobytej na Zamarstynowie skrzyni z kartami do głosowania wynikało, że ponad 75% głosowało przeciwko włączeniu Lwowa do Zachodniej Ukrainy. Ale następnego dnia, kiedy ogłoszono całemu światu, że 98,7% głosowało za przyłączeniem Lwowa do Zachodniej Ukrainy, mieliśmy dalszy dowód niedoścignionego fałszerstwa. To fałszerstwo świętuje iluminacja Lwowa i uliczne zabawy z udziałem tych wszystkich, którzy w nowych warunkach układali sobie nowe i łatwe życie.

W tych warunkach my młodzi spotykamy się raz w tygodniu u prof. Klisieckiego, zaś dwa razy w tygodniu odwiedzamy doc. Żulińskiego i dr. Cisowskiego w Zakładzie Anatomii Patologicznej, a także często doc. Szwabowicza na Farmakologii. Tam komentujemy zbierane wiadomości z radia Londyn oraz dostarczanych ulotek. Dobijają nas zupełnie militarne sukcesy armii niemieckiej: 19 kwietnia 1940 r. wkracza ona do Danii, 10 maja do Belgii, Holandii i Luksemburga. Belgia po krótkich walkach poddaje się 22 maja 1940 r., a 9 czerwca Norwegia. W dniu 14 czerwca 1940 r. Niemcy wkraczają do Paryża i rozpoczynają okupację Francji. Mimo zmniejszenia liczby łapanek zaostrza się kurs przeciwko Polakom. Wiąże się to z odbytymi w marcu 1940 r. w Krakowie 3-tygodniowymi obradami specjalnych przedstawicieli NKWD i gestapo. Na obradach tych ujednoczone zostają wspólne metody zwalczania konspiracji Polaków na ziemiach okupowanych przez armie – sowieckie i niemieckie. Zaostrzamy więc kontrolę przekazywania ulotek tylko w bezwzględnie pewne ręce. Otrzymane na uczelni działki absorbują teraz nasz wolny czas i łagodzą psychiczne załamania. Posadzone ziemniaki okazują się prawdziwym dobrodziejstwem, pozwalającym przetrwać kolejną zimę.

Od czasu do czasu udają się na zmianę na Cmentarz Obrońców Lwowa, spotykając się z pierwszymi widomymi znakami działania wandalii zacierających ślady zwycięskiego polskiego oręża nad komuną. Jest już uszkodzony główny cokół i umieszczone niecenzuralne napisy. Usuwamy je, a dwukrotnie prowadzimy otwartą bitwę kamieniami z dorosłymi chuliganami. Delegacja nasza w Dzielnicowej Komendzie Milicji gdzie przedstawiamy profanację grobów żołnierzy napotyka na całkowite niezrozumienie i uśmiech na twarzy. Jedyne skrawek ziemi na Cmen-

tarzu Łyczakowskim utrzymany w nienagannej czystości to groby powstańców z 1863 roku przeciwko caratowi.

Raz w miesiącu dostępuję prawdziwego zaszczytu i proszony jestem przez prof. Moraczewskiego do jego mieszkania prywatnego. Częstojuje nas specjalnie przez siebie sporządzoną herbatą. Bywalcami są także koledzy: Eliasiewicz, Wandokanty, Tarasiewicz, R. Skurski, Terlecki, doc. Grzycki i kilku nieznanych Ukraińców i Rusinów. Śmiało można powiedzieć, że prof. Moraczewski był wspaniałym znawcą dzieł Puszkina, a różne interpretacje jego utworów pozwalały w takich chwilach zapomnieć o czarnych myślach towarzyszących nam w normalnych dniach rozmyślań o naszym losie. Często nawiązywał również do Mickiewicza czy Słowackiego. Wtedy chyliłem głowę, ukrywając rumieniec wstydu przed zdemaskowaniem własnych wiadomości wyniesionych z gimnazjum. Pokój, w którym nas przyjmował, dostrajał do atmosfery muzealnej ilością dywanów, obrazów, porcelany i obecnego księgozbioru. Natomiast nie wszystkim odpowiadała herbata, ale obecni zgodnie chwalili jej smak i aromat. Wtedy oznaką zadowolenia gospodarza był przyjemny płuśmiech i głaskanie dostojnej, siwej i długiej brody. Jedyne drugi domownik, duży owczarek podhalański, leżąc u stóp swojego mistrza, wydawał od czasu do czasu subtelne pomrukiwania. Z delikatności rezygnowaliśmy z propozycji repety herbaty, ale z prawdziwą zachłannością rzucaliśmy się na winogrona. Ich obecność świadczyła o kontaktach gospodarza z sowieckimi dygnitarzami. Dla nikogo nie było zresztą żadną tajemnicą, że wykorzystywali oni wielką wiedzę internistyczną profesora, przyjeżdżając nawet z dalekich stron – z Kijowa i Charkowa. Wszyscy wiedzieli, że jeszcze w okresie przedwojennym należał on w Szwajcarii do grona znakomych diagnostów i terapeutów. Jego recepty – szczególnie w zakresie chorób wątroby – przetrwały nawet do dzisiejszych czasów. Winogrona znikały więc błyskawicznie, a ostatnie grona przeznaczal profesor zawsze swemu leżącemu pupilowi.

W tak to różnych warunkach życia upływał nam czas. Swoją wiedzę specjalistyczną poszerzaliśmy o literaturę zgromadzoną

dokończenie na s. 45

Z Adamem Macedońskim

rozmawia Janusz M. Paluch



Proszę opowiedzieć o swoim dzieciństwie, które spędził pan we Lwowie...

Pierwsze wspomnienia łączą się z ul. Zamarstynowską. Tam była dzielnica żydowska, gdzie ojciec wynajmował duże mieszkanie za niewielkie pieniądze. Obok były olbrzymie lodziarnie, które na wystawach miały koła drewniane pomalowane jaskrawymi kolorami w pasy i one cały czas się kręciły, bo sprzężone były z urządzeniami do produkcji lodów. A lody były pyszne, nigdy w życiu nie jadłem smaczniejszych! Niedaleko produkowany był moszcz z jabłek i śliwek... A wokół kręcili się Żydzi w chałatach... Wcześniej, jak mi siostra przypomina, mieszkaliśmy przy ul. Dominikańskiej 6, gdzie się urodziłem. Ochrzczony zostałem u Dominikanów, a więc chyba w dobrym miejscu... Z Zamarstynowa przeprowadziliśmy się na ul. Franciszkańską 12, gdzie mieszkaliśmy na parterze w dwupokojowym mieszkaniu, z zasobną spiżarnią... Mama kisiała wspaniałą kapustę. Każdego roku jesienią ze Złoczowa, skąd pochodził

mój ojciec, przywozili kapustę, marchew, orzechy i ziemniaki. U Macedońskich w Złoczowie sad był jak las! Stamtąd, z ul. Franciszkańskiej, chodziliśmy na spacer na Wysoki Zamek. Potem przeprowadziliśmy się na ul. Dobrzańskiego na Górny Łyczaków. Numer był od Łyczakowskiej 229, a wejście było od Dobrzańskiego 1. Tam też przeżyłem wejście Sowietów do Lwowa. Potem była nauka niby w tej samej, ale jakże innej szkole. Głównym językiem był ukraiński. Przed wojną w polskiej szkole też uczyliśmy się języka ukraińskiego, ale jako drugiego. Tam przeżyłem też zdarzenie, typowe dla szkoły sowieckiej. To był grudniowy dzień św. Mikołaja. Nasza wychowawczyni, Ukrainka Tuszyńska, zapytała nas: – Kochane dzieci, jaki dzisiaj mamy dzień? Wszyscy chórem odpowiedzieli: – Świętego Mikołaja! – A kto to jest? – zapytała. Przynosi prezenty! A przyniósł wam coś? No nie, bo to dopiero w nocy! No to pomódlcie się do świętego Mikołaja, to może wam coś przyniesie... I kazała nam mówić jakiś tekst. Myśleliśmy, że to taki żart, że zaraz wejdzie ktoś przebrany za świętego Mikołaja i od szkoły da nam jakieś prezenty... Pomodliliśmy się, a ona pyta: No i co? I nic, cisza... Przyniósł wam coś? Nie! To teraz pomódlcie się do ojca Józefa Stalina... No to my mówiliśmy: Bątko Stalin, przynies nam podarunki... Po chwili wszedł przystojny żołnierz, chyba z NKWD, elegancko ubrany, ogolony, pachnący perfumami. Za nim wniesione zostały kosze pełne cukierków i czekolad firm Hazeta i Piaseckiego... Czyli nasze, polskie. Między sobą mówiliśmy, że pokradli... Moim kościołem był kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej, ten najnowocześniejszy wówczas we Lwowie. Przez pierwszy okres okupacji sowieckiej było tam takie dyskretne duszpasterstwo dzieci. Chodziłem tam razem ze Zbyszkim Szeremetą... To jedyna postać, jaka z tamtych czasów utkwiała mi w pamięci. Młodzi księża uczyli nas patriotycznych i religijnych piosenek. Tak więc walka o zagrożoną polskość zaczęła się u zarania II wojny światowej. Chodziłem tam aż do Wielkanocy 1940 r., czyli do momentu opuszczenia przez nas Lwowa. Baliśmy się sami wychodzić z domów. Rosyjskie dzieci były inne niż my, pewne siebie, bezczelne, wręcz przerażały nas! Maluchy pięcioletnie puszczały takie



wiązanki przekleństw, że najgorsze batiary lwowskie nie były im w stanie dorównać! Świat Rosjan był koszmarny! Opowiadano przerażające historie o okrutnych mordach na księżkach, aż włos na głowie się jeżył. Dzieci sowieckie, przeklinając, odbierały nam sanki czy narty. Panował wśród nas strach, który nas paraliżował, i czuliśmy się bezsilni. Zresztą nie tylko my się baliśmy. Pamiętam, że mężczyźni brudzili sobie ręce i robili wszystko, żeby zdobyć odgnioty. Kuzyn mojej mamy z Kołomyi, który był w Polsce policjantem, za darmo najmował się do pracy przy zrzućaniu węgla, żeby tylko na rękach zrobiły mu się odgnioty! Wreszcie nie golili się, żeby wyglądać jak najbrudniej, bo to ratowało życie. Rosjanie, jak zatrzymywali kogoś na ulicy i nie potrafił się wykupić wódką, a miał delikatne ręce, to od razu do niego strzelali. Wszyscy ładnie i czysto ubrani, do tego z zadbanymi rękami byli od razu podejrzanyymi – panowie polscy!

Nie zdążył Pan nachłonać się Lwowa i Kresów, aczkolwiek na każdym kroku przyznaje się Pan do swego rodzinnego miasta nad Pełwią. O tym, że był Pan we Lwowie, opowiadał również Czytelnikom naszego pisma artysta malarz Stefan Berdak. Jakie były pańskie powroty do Lwowa?

Do 1992 r. Lwów tylko mi się śnił. Systematycznie co parę tygodni przemierzałem ulice Franciszkańską i Łyczakowską. Tęskniłem do Lwowa. Tu w Krakowie nauczyłem się bić, bo miałem wyraźny akcent i mówili do mnie „ty, Ukrainiec!”. Ja mam krew ruską, bo moja babka była Rusinką. Ale Ukraińcy są dla mnie czymś innym niż Rusini... Jeszcze w Liceum Plastycznym, kiedy po-

padłem w konflikt z dyrekcją szkoły, moje lwowskie pochodzenie uratowało mnie przed wyrzuceniem. Wybroniłi mnie nauczyciele z Kresów, którzy tłumaczyli, że pochodzę ze Lwowa, że wciąż tęsknię i czekam na powrót do swego miasta... Cały czas Kresowiaci trzymali się razem, zresztą do tej pory wyraźnie dostrzec można różnice w kulturze Polaków miejscowych i tych pochodzących z Kresów. A do Lwowa pojechałem w 1992 r.

z wystawą katyńską. I to była euforia! Lwów nadal jest piękny, tyle tylko, że to jest piękno poszargane. Wygląda tak jak piękna kobieta, tyle że pobita, pokrwawiona. Patrzyłem na jego architekturę i coś mi przeszkadzało. Po chwili dopiero zorientowałem się, że liternictwo – cyrylica – kompletnie nie pasuje do zachodnioeuropejskiej architektury! Mój Lwów miał czyste ulice, pachniał na wiosnę bzem, wypełniony był zielenią, pachniał świeżością... Kiedy poszedłem na ul. Franciszkańską, to zdębiałem... Kiedyś były tam szerokie chodniki oddzielone od ulicy trawnikami z ozdobnymi krzewami. Teraz są szerokie jezdnie, ale nie ma zieleni. Na rogu Franciszkańskiej i Łyczakowskiej była piękna studnia artezyjska, z której lała się woda. Dzisiaj tylko na jezdni pozostał po niej ślad. Mimo to żyłem przez tych parę dni we Lwowie w euforii. Wszedłem do tej kamienicy, gdzie mieszkaliśmy, dawniej tam było tak czysto na schodach. Dozorca mył codziennie schody. W tej chwili jest to ohydna, brudna kamienica. W naszym mieszkaniu, które miało dwa pokoje z kuchnią i służówką, mieszczą się teraz trzy oddzielne mieszkania! Trzy rodziny w mieszkaniu, na które przed wojną stać było biednego policjanta! Mój ojciec był tylko starszym posterunkowym, ale pensja starczała na utrzymanie mieszkania i przyzwoite życie w mieście. Człowieka na starość ciągnie do miejsc dzieciństwa. Chciałbym jeszcze tam pojechać, odwiedzić dom dziadków w Złoczowie, podziękować kobiecie – Ukraince, która opiekuje się grobami mojej rodziny...

Podczas przygotowań do rozmowy z Panem olbrzymie wrażenie wywarła na mnie

świadomość, że właściwie od 1945 roku pracował Pan w organizacjach podziemnych, prowadzących walkę na rzecz wolności i patriotycznego myślenia przez Polaków. Wpadłem wręcz w panikę, że przecież Pan ma tyle do opowiedzenia, a miejsce jest ograniczone...

W moim wieku każdy ma chyba wiele do opowiedzenia...

Nie sądzę.

Z mojej teczki w Instytucie Pamięci Narodowej najwięcej materiałów dostałem z okresu, kiedy założyłem w Muzeum Etnograficznym na palcu Wolnica Studio Folk-songu... To było całe dziesięciolecie pracy, począwszy od 1969 r., i od razu wzbudziło u wiadomych służb zainteresowanie i niepokój: co ten Macedoński przez śpiewanie piosenek ludowych i pieśni narodowych chce uzyskać?! Analizy szły do Warszawy. Zatrudniony był cały sztab ludzi, by rozszyfrować zagrożenie wynikające z tego, że się młodzież spotyka. To był gorący okres, bo ledwie rok minął od marcowych rozruchów studenckich i najazdu na Czechosłowację. Założono mi wtedy podsłuch, do czego musiało być zatrudnionych kilka samochodów i sztab ludzi. Pilnowali mnie jak szedłem do matki, obserwacją niemal na okrągło, z kim się Macedoński spotyka etc. Teraz, gdy czytaliśmy z żoną i kolegami te ubekie opracowania, to pękaliśmy ze śmiechu. Ale kiedy miałem świadomość, że mam na karku służby bezpieczeństwa, do śmiechu mi nie było. A raporty były bardzo szczegółowe... „Wszedł do sklepu spożywczego PSS Społem o godz. takiej i takiej, wyszedł o godzinie” – i znowu, co do minuty podany czas – „z paczką długości 40 cm pod pachą, owiniętą w papier, wszedł do tramwaju, tam spotkał dziewczynę”, tu pada zupełnie mi dziś już nieznanne nazwisko i dokładne informacje, czym się zajmowała ona i jej rodzice. Kiedy ona wysiadła z tramwaju, to ktoś drugi szedł za nią... To mnie przeraża i zadziwia, że w tamtych czasach wszystko było podejrzane i nawet śpiewanie ludowych pieśni stanowiło potencjalną groźbę dla jedności obozu państw socjalistycznych i bytu ludowej państwowości polskiej.

Dla Pana doświadczenia ze służbami bezpieczeństwa zaczęły się jednak znacznie wcześniej. W 1945 roku mieszkał pan już w Krako-

wie i był uczniem liceum im. Witkowskiego, gdzie był pan czynnym uczestnikiem...

Narodowego Ruchu Oporu (NRO). Zwerbował mnie do tej organizacji starszy ode mnie chłopak, który podrywał moją siostrę. Podlegaliśmy tzw. nowemu AK, czyli Ruchowi Oporu Armii Krajowej. To był okres idealizacji partyzantki i dla takiego chłopaka jak ja – miałem wtedy 15 lat – to był zawrót głowy, że mogę należeć do podziemia. W czasie przysięgi dostałem pseudonim „Mściwój”, który sam sobie wymyśliłem po przeczytaniu „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza, i zastrzegłem, żebym nie musiał zabijać. Prośba została uwzględniona i skierowano mnie do wywiadu. Pierwszym moim zadaniem było opracowanie przejścia od ulicy Krakowskiej do Starowiślniej, oczywiście podwórkami, piwnicami lub strycharzami. W 1946 r. była wpadka. Zamknęli wszystkich starszych kolegów, a ja i Leszek Włodek z Dębniak uciekliśmy bezpiecznie. Wieczorem do naszego mieszkania przyszła matka mojego dowódcy, Jurka Gregorskiego ps. „Wilk”, która poinformowała, że „Wilka” zamknęło UB do aresztu, i powiedziała, że dla swojego bezpieczeństwa powinienem uciec. Tak też zrobiłem. Pojechałem na tzw. „ziemię odzyskaną”, gdzie mieszkał brat mojej matki z rodziną. Na wsi pomagałem przy żniwach i wydawało mi się, że jestem już bezpieczny. W październiku przyjechał po mnie ojciec, bo nikt mnie nie poszukiwał. Trzeba było też wrócić do szkoły. Do Krakowa przyjechaliśmy późną nocą. Ledwie zdążyliśmy przed godziną policyjną, a „szpera” zaczynała się o 23.00. Położyliśmy się spać. Rano budzi mnie jakichś dwóch, nieco starszych ode mnie typów. W płaszczach, kołnierze podniesione, kapelusze... Już wiedziałem, o co chodzi. Ktoś doniósł, że wróciłem, albo dom przez cały ten czas był obserwowany! Zacząłem się ubierać, a moi rodzice, którzy w czasie wojny byli w podziemiu – ojciec miał pseudonim „Węch” i był w oddziale AK w rejonie Bielska Białej, zaczęli ich zagadywać. Ojciec częstował ich papierosami, matka pytała, czy mogę się umyć i ubrać, zjeść śniadanie. Też zaproponowała im kawę i chyba ta kawa ich skusiła... Ja poszedłem do kuchni, w której były drzwi na ganek. Byłem tylko w swetrze i spodniach. Matka wcisnęła mi zwitek banknotów do kieszeni i kazała uciekać do wujka



Barana, który był krawcem i mieszkał na Kazimierzu. Siostra wieczorem przyniosła mi tam kurtkę i jakieś dokumenty. I wyjechałem na wieś, skąd dopiero co przyjechałem! Tam mieszkali ludzie z rejonu Tarnopola i Zbaraża – niedorżnięci przez Ukraińców Polacy i Ukraińcy, którzy woleli być Polakami. Z Krakowa któryś z moich kolegów przywiózł mi harmonię i na tej wiosce założyłem kapelę. Graliśmy po weselach i chrzcinach, nasłuchałem się piosenek, widziałem niesamowite bijatyki. Chłopcy z Kresów byli bardzo impulsywni, dużo pili. Miejscowi, którzy nie zostali wywiezieni jako Niemcy, byli powolnymi, spokojnymi blondynami. Chodzili ubrani w obcisłe marynarki. A ci ze wschodu byli czarni, przystojni i zawsze w płaszczach, nawet w lecie.... Tak samo dziewczyny. I te bijatyki były oczywiście o dziewczyny. Miejscowi zaczęli podrywać Kresowiakom dziewczyny... Pewnego dnia, zimą, podczas takiej bijatyki na weselu rozewrali mi harmonię. A następnego dnia pod dom, gdzie mieszkałem, podjeżdża czarny samochód, z którego wysiada wojskowy i cywil. Przerażone kuzynki zaczęły namawiać mnie, żebym uciekał, bo przecież idą mnie aresztować. Ale w zimie, w śniegu, nie miałem szans. Wchodzi facet i mówi: – Macedoński, ja wiem, że ty się tu ukrywasz, nic ci nie grozi, tylko musisz zagrać na weselu mojej córki. – Czyli oni wszystko wiedzieli! Na wsi bardzo trudno ukryć się przybyszowi z zewnątrz. Ale oni wszyscy byli z tych samych stron i wiedzieli, że jadą na tym samym wózku, a kto wie, może on też był w podziemiu?! Jego żołnierze skleili mi instrument. Najciekawsze było to, że ksiądz proboszcz, który przyjechał z mieszkańcami wsi Bere-

zowicy koło Tarnopola, kierował podziemną organizacją. Od razu domyślił się, dlaczego ja mieszkam u rodziny, i zaangażował mnie do plakatowania wsi Grobniki. To chyba była powtórka tego głosowania „trzy razy tak”... Oczywiście my plakatowaliśmy „trzy razy nie”. W końcu na wiosnę, w marcu, jak ogłoszono amnestię, przyjechał po mnie ojciec i zabrał do Krakowa. „Wilk” był już na wolności, mogliśmy więc uzgodnić, co można powiedzieć, aby skorzystać z amnestii.

A potem był pamiętny krakowski 3 Maja 1946 r.

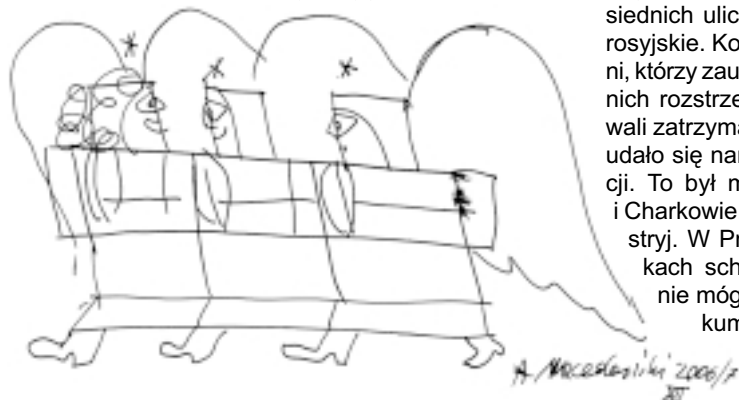
Tak. Rano, żeby zdążyć do szkoły, zawsze wskakiwałem do tramwaju, do „jedynki” – jechała Grodzką pod kościół Mariacki, potem pod bramą Floriańską do dworca PKP. 3 maja ubrałem się elegancko, bo zapowiedzieli nam w szkole, że będzie apel. Dyrektor i nauczyciele to byli patrioci, którzy cudem uratowali życie w Oświęcimiu lub przeszli przez rzeź ukraińską na Wołyniu. Ja do drugiej klasy gimnazjalnej wtedy chodziłem. Biegając przez Rynek zauważyłem dużo starszej młodzieży w czapkach Bratniaka. Pod pałacem Potockich, gdzie była komendantura wojsk radzieckich, jakiś żołnierz zamiatał chodnik. Nie działo się więc nic szczególnego. W szkole prof. Florkiewicz – od wychowania fizycznego – kazał mi prowadzić apel. Domyślał się pewnie, że jestem w podziemiu. Jakoś ten początek apelu mi nie wyszedł, nie miałem przecież żadnego doświadczenia. Szczęśliwie prowadzenie apelu przejął Jerzy Ciesielski, ten sam, którego proces beatyfikacyjny trwa. On był bardzo wysoki, energiczny, wysportowany i kończył już liceum. Odśpiewaliśmy hymn narodowy i pieśń „Witaj, majowa jutrzeńko”. Dyrektor rozwiązał apel i kazał iść do domów. Kiedy szedłem do Rynku, przy kościele św. Anny zauważyłem, że żołnierze z automatami przegradzają przejście, nie przepuszczają ludzi do Rynku ani z Rynku. Dlatego wszyscy kierowali się plantami pod Collegium Novum, gdzie było dużo ludzi i konne patroly wojskowe KBW. Poszliśmy ulicą Piłsudskiego, skandując „Polska tylko dla Polaków”. Na Błoniach, przy kamieniu upamiętniającym rewiew uląńską z 1936 r., złożyliśmy naszą AK-owską przysięgę. Wróciłem na Rynek, bo ciekawiło mnie, co się tam dzieje. Tam wskoczyłem do tramwaju

nr 1, który zatrzymał się przy Franciszkańskiej. Okazało się, że Franciszkańską toczyła się olbrzymia manifestacja, w której skandowano nazwy utraconych polskich miast „Wilno – Lwów! Wilno – Lwów!”. Jak ja to usłyszałem, a przecież parę lat temu wyjechałem ze Lwowa, dołączyłem do manifestujących. Przepychałem się do przodu. Pod początką pochód się zatrzymał na chwilę i wszyscy skandowali: „Począta z nami! Straż pożarna z nami!” Potem poszliśmy pod siedzibę PSL-u w okolicach dworca PKP. Tam wszyscy wołali „Mikołajczyk! Mikołajczyk!”, a także „Ruscy do domu!” itp. Pochód szedł dalej i nagle doszło do niesamowitego wydarzenia. Tłum kogoś niósł na ramionach, to był żołnierz amerykański, wokół okrzyki: „Ameryka! Ameryka!” Okazało się, że w Krakowie przebywała wtedy delegacja żołnierzy amerykańskich. Być może tylko dlatego nie spacyfikowali tego pochodu, prawdziwej erupcji polskiego patriotyzmu. Ale jednak na wysokości ulicy Karmelickiej doszło do dramatycznego incydentu. W czóło pochodu z pełnym impetem wjechał samochód ze strzelającymi z karabinu maszynowego w powietrze żołnierzami rosyjskimi. Zaczęliśmy uciekać w kierunku placu Szczepańskiego. Tam miała miejsce dziwna scena: do wysokiego studenta, który niósł narodową flagę, podbiegł krępy, młody robotnik, wyrwał mu flagę i zaczął uciekać. Okazało się, że był to socjalista, który uciekł do siedziby PPS-u na pl. Szczepańskim. Nie wiem jednak, dlaczego porwał ten sztandar!? W tym czasie od ul. Floriańskiej pojawiła się duża grupa żołnierzy polskich – inwalidów wojennych, obwieszonych medalami, którzy pewnie dopiero teraz dotarli na pochód... Kiedy dojechałem na Kazimierz, w domu trwały przygotowania do obia-

du. Nikt tam nie wiedział o tym, co się działo w Krakowie. Na drugi dzień w szkole pojawiły się ulotki informujące, że wielu naszych starszych kolegów zostało aresztowanych. Ulotki wzywały do strajku. I rzeczywiście, solidaryzując się z zatrzymanymi, nikt nie wszedł do klas, poszliśmy do domu. Kiedy ten protest się skończył, wszyscy od początku musieli zapisywać się do szkoły. Wszyscy zostali ponownie przyjęci.

Dość ostro wchodził Pan w nową rzeczywistość Polski powojennej...

Tak, ale proszę nie zapominać, że ja i moja rodzina mieliśmy już wojenne doświadczenia. W 1940 r. uciekaliśmy ze Lwowa. Mój ojciec był we Lwowie policjantem. W 1939 r. brał udział w obronie Lwowa przed Niemcami. A potem do naszego miasta weszli Rosjanie. To było okropne. Najpierw było czuć okropny smród, a potem wchodził w tych szpiczastych czapkach, pijani, podpierający się wielkimi karabinami, płaszcz do samej ziemi, postrzępione, wielu zamiast butów miało jakieś łapcie. Dopiero po nich wjechali inni, z wyglądu normalniejsi ludzie, to byli oficerowie NKWD. Oni przyjechali z żonami, które wyglądały jak lwowskie prostytutki, wymalowane, w czerwonych beretach... Ojciec się ukrywał. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. i wiedział, że będą aresztowania, szykować, rozstrzelania. Kazał nam się wykowoć do ucieczki. Kiedyś opowiadał, jak na Zielonej Rogatce we wrześniu 1939 r. Rosjanie rozstrzelali policjantów, którym po wkroczeniu nakazali się tam zebrać. Mieli im wymieniać dokumenty, przyjmować ich do pracy... Ojciec czuł, że kryje się za tym jakiś podstęp. Poszedł na miejsce tego spotkania wcześniej i zauważył, że ulica była ślepa, a w sąsiednich uliczkach zgromadziło się wojsko rosyjskie. Kogo mógł, ostrzegł, a inni, naiwni, którzy zaufali Rosjanom, zostali tam przez nich rozstrzelani. Nas też kilka razy usiłovali zatrzymać. W końcu w kwietniu 1940 r. udało się nam wyrwać z sowieckiej okupacji. To był miesiąc rozstrzelań w Katyniu i Charkowie. Wtedy zginął tam również mój stryj. W Przemyślu tułaliśmy się po kłatkach schodowych. Ojciec się ukrywał, nie mógł nam pomóc. Matka miała dokument, że urodziła się pod Mielcem. Nie przyznała się, że



mieszkaliśmy we Lwowie. Dostaliśmy przepustkę i możliwość pozostania pod niemiecką okupacją. Mama wszystko, co się dało, sprzedała we Lwowie za bezcen! Zapłacano jej srebrnymi polskimi monetami, które zatopiła w smalcu, ale to się nie uchroniło przed ruskimi. Zabrali nam wszystko! Ale jak przeszliśmy ten most na Sanie i zobaczyłem czystych żołnierzy niemieckich, ogolonych, trzeźwych, czyste ulice, to wtedy sobie pomyślałem, że chyba do raju się dostaliśmy... Zostawiliśmy piekło, wrzaski, strzały, brud, kolejki do sklepów. W Przemysłu nas wykąpano, odwieszono i skierowano na kilka dni do jakiegoś klasztoru. Z Czerwonego Krzyża dostaliśmy karty na przejazd. Czulo się organizację, no i otaczali nas Polacy, którzy pracowali pod nadzorem Niemców, nie Rosjanie. 3 maja 1940 r. znaleźliśmy się w Krakowie. Mama miała tam kuzyna, do którego udała się po pomoc, ale on należał do partii komunistycznej i ze słowami: – My czekamy na armię czerwoną! – wypędził matkę z domu. Zamieszkał w Skawinie u wdowy z pięciorgiem dzieci, pani Ożogowej. Było nędznie. Chodziliśmy po wsiach, żeby sprzedać, co tam jeszcze zostało. Ale prawie zawsze słyszeliśmy: – My Ukraińcom nie sprzedamy żywności... Nie dało się ukryć, że jesteście w Kresów, tak bardzo zaciągaliśmy. Wczesną jesienią pojawił się ojciec, który zabrał nas do Krakowa. Pracował w granatowej policji i współpracował z podziemiem, z którym związał się jeszcze we Lwowie. Matka zajęła się handlem, a kiedy pojawiła się ze Lwowa pani Górnicka, pracowały razem. Ojciec pomagał Żydom. Wielu wywiózł poza Kraków. Wielu dzięki temu przeżyło wojnę. Kiedyś dostaliśmy z Izraela paczkę z pomarańczami, ale były już zepsute. Nie zgłaszałem się z tymi informacjami do Yad Vashem, bo tam przy obrazie naszego papieża jest jakiś nieprzyzwoity epitet. Jak zniknie, to wtedy pewnie do nich napiszę o swoim ojcu...

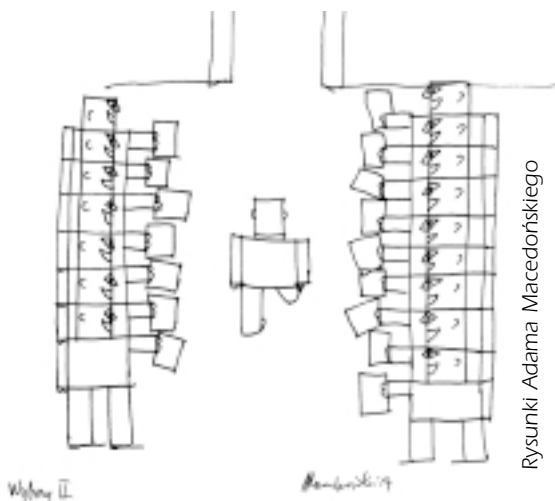
Jako artysta plastyk jest pan sentymentalny...

Chciałbym coś dla tych ludzi zrobić. Dla Polaków, Rusinów i Ukraińców. Ale przede wszystkim dla Polaków, bo to, co oni tam wycierpieli, to najlepiej określił ksiądz Peszkowski – golgota wschodu!

Gdy pada to określenie i nazwisko kapłana, to przychodzi na myśl Katyń. To pana zasługa, że o Katyniu mówi się, pamięta, wbrew tym wszystkim, którzy bardzo chcieli przypisać tę zbrodnię Niemcom i marzyli, aby wymazać tę nazwę z pamięci narodowej. Nie udało im się! Pan był współzałożycielem Instytutu Katyńskiego, „Biuletynu Katyńskiego” i w końcu organizacji Rodzin Katyńskich...

Ludzie z Kresów, których los rzucił do Krakowa, Warszawy, Poznania, Wrocławia, przybyli tu z wielką wiedzą o tym, co działo się na wschodzie. Oni wiedzieli o wywózkach na Syberię, o wywózkach do obozów śmierci. W naszym domu zawsze wiedzieliśmy, że naszego stryja Józefa zabil Rosjanie, a nie Niemcy. Mieliśmy cztery pocztówki wysłane przez niego ze Starobielska. I nagle w 1940 r. zamilkł. Miałem znacznie większą wiedzę na ten temat niż moi koledzy z Krakowa. Już w 1945 roku ktoś na mnie doniósł, że w domu u Macedońskich mówi się, że „Katyń zrobili Rosjanie”. Ta świadomość Katynia dręczyła mnie bardzo. Tak samo jak teraz dręczy mnie milczenie wokół rzezi dokonywanych na Polakach przez Ukraińców. Dlatego też trzymaliśmy się z Kresowiakami. Nie wszystko jednak mogliśmy mówić... Ot, przykład – byłem jednym z twórców Piwnicy pod Baranami, ale głupio mi było śmiać się i bawić w tej piwnicy, bo tam przecież była sowiecka katownia do 1947 r. Potwierdza to w swym pamiętniku dawny prezydent miasta Krakowa Waligóra. Przez wiele lat poszukiwałem kogoś, kto chciałby ze mną zbierać materiały dotyczące Katynia. Nie udawało mi się to ani w kręgach kościelnych, ani wśród kolegów. Wszyscy się bali albo uważali, że jestem prowokatorem! Dopiero w 1977 roku trafiłem na pana Stanisława Tora, pochodzącego z Wołynia. On przyciągnął do naszego grona Andrzeja Kostrzewskiego. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, czym nasza działalność w warunkach PRL pachnie. Dlatego też postanowiliśmy, że nie będziemy się spotykać za często, a poza tym nigdy w naszych mieszkaniach, tylko w kościołach i innych miejscach. A przede wszystkim musieliśmy omijać mieszkanie Andrzeja Kostrzewskiego, u którego znajdowało się nasze archiwum i redakcja „Biuletynu Katyńskiego”. Później dołączyli do nas Leszek Martini pochodzący z Drohobycza

i Kazimierz Godłowski, syn Włodzimierza Godłowskiego z Wilna, zabitego w Katyniu. Ustaliliśmy, że ujawniamy jedno nazwisko, aby ludzie mieli się z kim kontaktować. Zgodziłem się być tą osobą. Wiedzieliśmy, że w ten sposób nękać będą tylko mnie, by dowiedzieć się wszystkiego o naszej pracy i ludziach skupionych przy Instytucie Katyńskim. I udało się! Nasza taktyka była słuszną, wydaliśmy masę biuletynów i książek i nie byli w stanie nas zlikwidować. Wtedy nachodzili mnie różni przedstawiciele władzy, którzy specjalnie z Warszawy z ministerstwa spraw wewnętrznych przyjeżdżali tu, by spowodować, abyśmy przestali na temat Katynia mówić. Nakłaniali, żeby schować ten temat pod sukno, że jeszcze nie czas, że wiedzą doskonale o wszystkim, że przecież też są Polakami, ale to zepsuje dobre stosunki z Rosjanami. Przestrzegali, żeby nie robić głośnych wystąpień, a ja powtarzałem im, że tylko zbieram dokumentację, póki ludzie żyją. Przekonywałem, że nie występujemy przeciw ZSRR, a interesuje nas tylko zbrodnia dokonana na Polakach. To samo obserwuję teraz, gdy mówi się na temat rzezi na Polakach dokonanych przez Ukraińców, „że za wcześnie, że jeszcze nie teraz, bo popsuje to nasze wspaniałe stosunki z Ukrainą” etc. Ale takie podejście mają ci, którzy boją się ujawnić prawdę. Przecież ta prawda wcale nie musi być złą dla uczciwych Ukraińców. Tak jak w Rosji ujawnili się ludzie uczciwi, którzy pomagali i pomagają zdobywać i odkrywać dokumentację katyńską. To świadczy, że naród posiada elitę. Ale i na Ukrainie ujawniają się tacy ludzie, tylko my w Polsce musimy się domagać ujawnienia całej prawdy i ewentualnego ukarania – jeśli to możliwe – sprawców. W sprawie katyńskiej do dzisiaj jest wiele tajemnic niewyjaśnionych, np. lista białoruska, której nie chcą nam wydać. Wiadomo też, że w 1940 r. przy pomocy zabiegów dyplomatycznych wynegocjowano wyprowadzenie z Kozielska i Starobielska czwórki polskich arystokratów. Zostali przez Rosjan wypuszczeni z honorami. I przenieśli się do Rzymu i Londynu. Czyli Zachód wiedział. I rząd Sikorskiego też wiedział, że są w Rosji obozy jeńców. Dlaczego nic nie zrobili, aby sprawę nagłośnić? A sprawa była prosta. Rząd emigracyjny, nie mając swego przedstawiciela w Rosji, podpisuje umowy



Rysunki Adama Macedońskiego

w sprawie reprezentowania naszych interesów z innym państwem. Wtedy ambasador Francji czy Anglii miałby prawo zapytać o internowanych Polaków, ba – miał prawo wizytować ich obóz! Inna sprawa, czy zostałby dopuszczony... Ale tego rząd Sikorskiego nie zrobił. I to jest ta tajemnica – dlaczego? Czy ci uwolnieni nikomu nie przekazali informacji o tym, gdzie byli i co przeżyli, jak byli traktowani? Czy złożyli przysięgę, że nikomu nic nie powiedzą na temat obozów, z których zostali zwolnieni? Jeśli tak, to czy okoliczności wojenne nie zwalniały ich z tej przysięgi, aby uratować kolegów? Przecież to było ich obowiązkiem! Oni byli przede wszystkim żołnierzami! Winni przekazać całą wiedzę o obozach swym zwierzchnikom; o tym, gdzie są, kto się w nich znajduje, co powinno zaowocować ostrą interwencją dyplomatyczną. A to doprowadziłoby choćby do tego, że dotarłby tam Czerwony Krzyż. Przecież tzw. „drugi Kozielsk” na Litwie został cały uratowany, a to tylko dlatego, że Litwini wezwali Czerwony Krzyż, a ci dokonali spisu przetrzymywanych tam więźniów i Rosjanie nie mogli ich bezkarnie zlikwidować. Istnieje hipoteza, że więźni zostali zakwalifikowani jako „piłsudczycy”, a stosunek Sikorskiego do Piłsudskiego był nienawistny. Jeśli ta teza by się potwierdziła, to znowu – i to w takiej dramatycznej chwili – wychodzi z tego polskie piekło...

Kiedy dzisiaj opowiada Pan o pracy Instytutu, to brzmi to tak normalnie, jakby wszyscy

zgadzali się i akceptowali to, co Pan robił. A przecież działanie Instytutu Katyńskiego było w owym czasie nielegalne.

Rzeczywiście, dzisiaj wiele szczegółów wydaje się być śmiesznych, ale wtedy było to niebezpieczne i ryzykowne. Ze strony polskich służb to nawet się tak bardzo nie bałem, ale ze strony rosyjskiej rzeczywiście spodziewałem się wszystkiego. Przede wszystkim jednak bałem się o rodzinę. Wiedziałem, że będą za mną chodzić tak długo, aż odkryją, gdzie jest redakcja „Biuletynu Katyńskiego”, kto jeszcze należy do naszego grona itp. A my w każdym biuletynie podawaliśmy następujące miejsce wydania: Warszawa–Kraków–Wrocław–Poznań. Ja wtedy dużo jeździłem po Polsce i zawsze wiedziałem, że mam „ogon”. Do czasu stanu wojennego, do mojego internowania, wydaliśmy 28 biuletynów. Zdecydowaliśmy też, że biuletyny będą zminiaturyzowane do wielkości koperty, aby łatwiej i bez podejrzeń można je było rozsyłać za pomocą poczty. Pocieszające było jednak to, że nawet po stronie przeciwnika miałem sprzymierzeńców. Kiedy mnie kiedyś milicjant zamykał w więzieniu, powiedział ze współczuciem: – Ja wiem wszystko o Katyniu. Specjalnie dałem panu tę celę, suchą, nawet słycać jak ptaszek śpiewa... – A krakowski dziennikarz Olgierd Jędrzejczyk, kiedyś mnie spotkał i mówi: – Adam, ty się k... nic nie martw, bo nawet w KC masz przyjaciół przez ten Katyń. – Bo on z nimi pił i wiedział, co mówią przy wódce. Tak więc takie informacje nieco mnie uspokajały. Prześladowały mnie też milczące telefony. Nawet kiedy byłem we Francji, odbierałem głucho telefony. Zawsze kiedy słyszałem odech, to pytałem: – No powiedz w końcu, kim jesteś?! – I kiedyś, pewnie był pijany, bo odezwał się i odpowiedział: – Jestem nikt... – I do czasów, kiedy się ujawniliśmy, nie odkryli nas do końca. Nasza metoda zdała egzamin.

**Nawiązując do tego, co mówił Pan o zbrodniach popełnionych na Polakach na Wołyniu...
Może powinien powstać analogiczny instytut?**

Ja marzę o tym! Tylko nikt nie chce się za to zabrać. Ja już nie będę tego robił, bo jestem za stary. Poza tym chcę dokończyć sprawę katyńską. Zabrałem się za Katyń, bo mi było wstyd! Obawiałem się, że inni –

Amerykani czy Anglicy – się za to wezmą i wtedy Polska będzie miała plamę na honorze. Ktoś musiał to zrobić, widocznie miałem to być ja. Tak jak Ryszard Siwiec, który spalił się w 1968 r. w proteście przeciw agresji wojsk na Czechosłowację. Nikt tego nie zrobił, tylko on jeden zdobył się na odwagę! I on ma najwyższe odznaczenie czeskie, a w Krakowie nie ma nawet jego ulicy. Aby go uczcić, założyliśmy wspólnotę „Siwiec – Pallach”. Honor nie pozwala mi nic nie robić. Wiedziałem, że jak wydam trochę ulotek o Katyniu, to ludzie będą pamiętać. Teraz przydałoby się, aby ludzie przypomnieli sobie o męczennikach z Wołynia i Podola. To są prawdziwi męczennicy za wiarę, bo oni często ginęli w kościołach, broniąc ołtarza. W Krakowie tylko jedna Lucyna Kulińska ma odwagę pisać i mówić o tych sprawach. A gdzie są inni historycy czy dziennikarze?!

Jest obszerne opracowanie pani Ewy Siewmaszko i jej ojca o zbrodniach wołyńskich, ale to głos z Warszawy...

Tak. To wielka praca fundamentalna. Proszę jednak zważyć na to, że to jest mord na zwykłych ludziach, rolnikach, chłopach. Oni nie potrafią upomnieć się o pamięć po swoich wymordowanych. Tylko inteligencja potrafi się o siebie upomnieć, walczyć o pamięć o sobie. Trzeba więc im pomóc, trzeba to zrobić za nich. Ja myślałem, że może zajmie się tym kler, który stracił tam wielu księży, którzy bronili polskości i wiary. Oni nie podjęli tej walki o prawdę. Paru księży napisało pamiętniki, które niechętnie się wydaje. Tak samo było z książkami o Katyniu. Ile ja się nachodziłem i naprosiłem, żeby wydawać w podziemiu książki o Katyniu. Drukarze się bali! W przypadku druku dla „Solidarności” nie mieli żadnych obaw, dla Instytutu Katyńskiego – bali się. Tak samo teraz boją się zajmować sprawą ukraińską. To jakiś wstyd przecież! I hańba dla Polski!

Dziękuję panu za rozmowę.

ADAM MACEDOŃSKI, ur. 1931 we Lwowie, artysta malarz, grafik, dokumentalista, poeta. Działacz niepodległościowy. Założyciel i prezes Instytutu Katyńskiego w Polsce, współzałożyciel Chrześcijańskiej Wspólnoty Ludzi Pracy.

O Hance i jej rodzinie

WSPOMNIENIA CIĄG DALSZY

W poprzednim numerze zamieściliśmy wspomnienie prof. Leszka Wajdy o jego zmarłej żonie, Annie Mściwujewskiej-Wajdowej. Zgodnie z zapowiedzią, autor opowiada teraz o jej lwowskiej rodzinie i o środowisku, w którym żyła we Lwowie, o II wojnie i powojennym Krakowie.

Dziadek Anny, Gustaw Bisanz, urodził się w Kawczychkałach koło Stryja w 1848 r. Ukończył średnią szkołę realną we Lwowie i Instytut Techniczny Politechniki Lwowskiej. Był architektem, długoletnim profesorem Wydziału Architektury. Był pierwszym profesorem, który prowadził wykłady w języku polskim po wprowadzeniu tego języka przez rząd austriacki do uczelni lwowskich. Był bliskim współpracownikiem twórcy Politechniki Lwowskiej i jej wspaniałego gmachu, pierwszego rektora profesora Juliana Zachariewicza. Brał czynny udział w pracach projektowych i realizacyjnych gmachu Politechniki i jego dalszej rozbudowy.

Pierwszy swój dom postawił przy ulicy Lipowej tuż za gmachem Politechniki. Drugi dom, willę z ogrodem – przy ul. Potockiego 72, na rogu ul. Szymonowiczów, kiedy w tej dzielnicy powstawało osiedle domów profesorów Politechniki i Uniwersytetu, zapoczątkowane przez Juliana Zachariewicza budową własnej willi na ul. Strzała. Naprzeciw willi Bisanza stanął dom jego przyjaciela architekta Rawskiego. Dalej na ul. Potockiego mieszkał prof. Kowalczuk wykładający na Politechnice historię architektury. Na ul. Iszakowicza willa „Sulima” należała do artysty rzeźbiarza Antoniego Popiela, a przy ul. Wiśniowieckich w jednym z najstarszych budynków dzielnicy mieszkał Leonard Marconi, rzeźbiarz. Najbliższym sąsiadem willi prof. Bisanza były Siostry Karmelitanki, których klasztor odgradzał się wysokim murem przed oczami studentów mieszkających czasem w pokoiku na piętrze.



Prof. Gustaw Bisanz z rodziną, ok. 1910 r. Dziewczynka w środku to późniejsza żona Adama Mściwujewskiego

Prof. Gustaw Bisanz przez całe swoje życie związany był z Politechniką Lwowską. Przeszedł całą drabinę awansów, stopni naukowych, funkcji. Działał aktywnie w życiu organizacyjnym uczelni, ciągle pełnił jakieś funkcje: prodziekana Wydziału Architektury przez 7 lat, dziekana przez 9 lat, prorektora przez 3 lata i rektora Politechniki przez 2 lata. Miał przez to wpływ na kształt naukowego profilu uczelni, wyników naukowych i pozycji uczelni w Galicji i Polsce. Miał swój wkład w kształcenie nowych kadr architektów polskich, bo Politechnika Lwowska była jedyną w Galicji pod zaborem austriackim uczelnią wyższą posiadającą wydział architektury. Zmarł w r. 1913. Jego żona – babka Hanki ze strony matki – Maria Bisanzowa pochodziła z Krakowa ze znanej kupieckiej rodziny Grosse, posiadającej sklep z winami i herbatą w Rynku Głównym oraz winnice na Węgrzech.

Rodzina Mściwujewskich pochodziła ze szlachty zaściankowej z Łomżyńskiego. Wieś Mściwuje leży na północ od Łomży na drodze do Kolna. Mściwujewscy herbu Pnienia zawołania Cwalina wywodzili też na południe i pojawili się we Lwowie. Dziadek Hanki, Mieczysław, miał na Łyczakowie dom przy ulicy Mącznej. Babka Hanki, Maria z Gawlikowskich, pochodziła ze Lwowa, ale mieszkała w Krakowie przy ulicy św. Anny. Była śpiewaczką, prowadziła szkołę śpie-

wu. Liczni aktorzy krakowskich teatrów chodzili do niej „ustawiać głos”, między innymi znany aktor Jerzy Kaliszewski. Ojciec Hanki, Adam Mściwujewski, urodził się w 1898 r. W czasie I wojny światowej służył w armii austriackiej, walczył we Włoszech, tam dostał się do niewoli, z której wyciągnął go generał Haller organizujący polskie wojsko we Francji. W hallerowskiej armii był oficerem przy sztabie i głównym fotografem zdarzeń tej armii. Pobyt w Paryżu w szalonych latach powojennych też wpłynął na jego późniejsze decyzje co do kierunku studiów. Po I wojnie podjął studia na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej, a po dyplomie – działalność dydaktyczną. Do roku 1939 był już docentem, wykładał historię architektury. W czasie II wojny światowej, w latach 1939–41 pracował na uczelni, a w latach okupacji niemieckiej 1941–44 w biurze architektonicznym. W 1945 r. po przyjeździe do Krakowa działał jako profesor na tworzącym się Wydziale Architektury. Od 1947 r. miał także wykłady z historii architektury na Akademii Sztuk Pięknych – aż do lat sześćdziesiątych. Zmarł w roku 1965. Był wybitnym profesorem Politechniki o dużym autorytecie; szalenie opanowany, nigdy się nie emocjonował. Obie córki i ja byliśmy jego studentami. Wykłady miał proste i jasne, połączone z rysowaniem omawianego obiektu architektury, od najprostszej bryły i jej podziałów do zasady detalu. Na krakowskim Wydziale Architektury sala, w której wykładał, nosi jego imię.

Bliskie kontakty zawodowe i towarzyskie łączyły rodziny Bisanzów i Mściwujewskich z gronem znanych ludzi Lwowa. Do takich

należał prof. Leonard Marconi, artysta rzeźbiarz i architekt, również profesor Wydziału Architektury, którego dzieła trwają w Krakowie – pomnik Kościuszki na Wawelu, oraz we Lwowie – symboliczne rzeźby budynku Politechniki Lwowskiej i licznych budynków Lwowa; do tego grona należał też jego zięć i następca w nauczaniu rzeźby i rysunku przyszłych architektów Antoni Popiel, artysta rzeźbiarz, twórca pomnika Mickiewicza we Lwowie. Córkę Popielów Gabrieleę, po zbyt wczesnej śmierci obojga rodziców, babka Bisanzowa wzięła w opiekę jak własną trzecią córkę. Z kolei córki p. Gabrieli z Popielów Pohoreckiej, Anna i Józefina, były najlepszymi przyjaciółkami Hanki.

Rodzice Hanki też mieli liczne kontakty towarzyskie, przede wszystkim ze środowiskiem profesorskim. Do przyjaciół domu należał prof. Józef Różyski, architekt i rzeźbiarz, twórca pomnika żołnierzy francuskich na Cmentarzu Obrońców Lwowa, po wojnie w Krakowie profesor Akademii Sztuk Pięknych. I młodszy wiekiem „wieczny student” Stefan Du Chateau, po wojnie w Paryżu, wybitny francuski architekt, specjalista od konstrukcji stalowych. Nosił bliźniaczki na rękach, a one nazywały go „duchatym”. Liczne przyjaciółki miała matka Hanki jeszcze z pensji i czasów szkolnych, jak panna Nikorowicz, żona historyka sztuki Tadeusza Mańkowskiego. Wielka przyjaciąź łączyła ją z siostrami Kleinównami, których ojciec miał znany browar na Pohulance. P. Hala z Kleinów Bruchnalska miała syna Janusza, „Jańcia”, stuprocentowego lwowiaka, o niebywałym poczuciu humoru, z którym Hanka znała się od dzieciństwa, a po wojnie studiowali wszyscy w Krakowie na ASP.

A teraz nie tylko nasi synowie, ale i wnuki trzymają się razem, już czwarte pokolenie. Pełno było innych jeszcze dzieci profesorskich, wśród nich Hanka Klemensiewicz, Jaś Łopuszański i inni. Wiele osób, zwłaszcza dzieci, przychodziło bawić się w ogrodzie otaczającym willę. Ten ogród, pełen drzew, grządek, kwiatów, i ogrodnik, i dwa psy, odegrał ważną rolę w życiu Hanki. Wiele razy wracała

Willi rodziny Bisanzów we Lwowie u zbiegu ulic Potockiego i Szymanowiczów



do niego pamięcią. Obie bliźniaczki Hanka i Beata uczyły się w domu aż do piątej klasy. Potem chodziły do państwowej szkoły powszechnej im. Hetmana Żółkiewskiego na ul. Zadwórzeńska. Imię patrona szkoły obligowało lwowską szkołę do bywania w Żółkwi na rocznicowych obchodach i do kontaktów z tamtejszą szkołą.

Wakacje przedwojenne wspominała Hanka wiele razy. Często wyjeżdżano do Mizunia w Gorganach. Wędrówki po Bieszczadach, Gorganach, Czarnohorze, wspomnienia prawdziwych Huculów. Na wakacje jeżdżono gromadnie, grupą znajomych rodzin. Młodzi chodzili po górach albo grali w siatkówkę ze Staszkiem Skrowaczewskim, kiedy jeszcze nie myślał o światowej sławie.

W willi profesorowej Bisanzowej zawsze było pełno muzyki. Wszyscy grali. Ciotka Hanki Zuzanna Bisanz ukończyła konserwatorium lwowskie w klasie fortepianu. Była nauczycielką muzyki, prowadziła szkołę fortepianu i rytmiki. Chodziły do niej liczne dzieci profesorów, a w czasie wojny organizowano prywatne koncerty, na których występowali znani lwowscy muzycy, śpiewacy, pianiści. Matka Hanki miała uzdolnienia muzyczne, śpiewała. Niestety sytuacja materialna w latach po I wojnie światowej w latach dwudziestych zmusiła ją do zaniechania studiów wyższych i podjęcia pracy zarobkowej – pracowała jako sekretarka w jednej z francuskich firm naftowych.

W czasie wojny za okupacji niemieckiej matka Hanki działała żywo w ratowaniu Żydów wspólnie z księżmą z parafii św. Marii Magdaleny, wyrabiając metryki i dokumenty kościelne.

W czasie wojny za „pierwszych bolszewików” (1939–1941) połączono szkoły żeńskie i męskie, wprowadzono dziesięcioletkę i program szkół radzieckich. Hanka wraz z siostrą chodziły do dawnego XI Liceum przy ulicy Szymonowiczów, gdzie przeszły wszystkie skutki wojennych zmian: program radzieckiej szkoły średniej, nauczycielki Rosjanki nie mówiące po polsku, program języka rosyjskiego z analizą literacką twórczości wielkich rosyjskich poetów, np. Lermontowa, w sytuacji kiedy prawie nikt z uczniów nie znał cyrylicy. Ratowała sprawę sama nauczycielka Rosjanka, nie mogła bowiem postawić ocen niedostatecznych

całej klasie, najgorzej by się to dla niej skończyło. Ponieważ radziecki system szkolny pozwalał mieć niedostateczne oceny przez cały rok, ale końcowy egzamin ustny miał zasadniczy wpływ na promocję do następnej klasy, więc biedna Rosjanka podawała dokładnie, z czego uczniowie będą pytani, a oni, nie rozumiejąc prawie niczego, uczyli się odpowiednich fragmentów wiersza Lermontowa na pamięć. I tak się udawał egzamin. Nauczyciele polscy uczący w szkole o innym programie niekiedy dostawali rzeczy nie do wykonania. Nauczyciel języka łaćńskiego (łaciny nie było w programach radzieckich szkół) miał uczyć matematyki. Nic by z tego nie wyszło, gdyby nie gremialna pomoc zdolnych uczniów, przeważnie młodych Żydów, którzy daleko zaawansowani w wiedzę tego przedmiotu, prosto i jasno wyjaśniali całej klasie tajniki matematyki. I od nich Hanka nauczyła się rozumieć matematykę.

Wojna niemiecko-sowiecka w roku 1941 rozpoczęła się tragedią w środowisku profesorskim Lwowa. Mord profesorów i towarzyszących osób na Wulce w pierwszych dniach po wkroczeniu Niemców do Lwowa był daleko tragiczniejszy niż aresztowanie profesorów w Krakowie w początkach okupacji 1939 roku. Ponieważ po krakowskim aresztowaniu sławnych polskich profesorów Niemcy spotkali się z ostrym protestem naukowych środowisk europejskich, w tym włoskich, rozwiązali tę sprawę radykalnie we Lwowie. Jednej nocy aresztowali i rozstrzelali czołowych intelektualistów lwowskich, bez niby-zebrania, procesu, sądu. Wcześniejsze wymordowanie wszystkich więźniów na Łackiego i Brygidkach przez uciekających Rosjan pokazało beznadziejność sytuacji obu okupacji. Ponieważ Wzgórza Wulleckie w roku 1941 były niezabudowane i bez drzew, widać było egzekucję z domów na ulicy Nabelaka, gdzie mieszkało wielu



Prof. Adam Mściwujewski
(lata przedwojenne)

profesorów. Następnego ranka już cały Lwów wiedział o tej zbrodni. Potwierdzili to też aresztowani i przesłuchiwani w willi Kuznowicza woźni uniwersyteccy zwolnieni przez Niemców. Jedna z żon profesorów widziała egzekucję własnego męża, jego szczupłą sylwetkę w jasnym płaszczu. Wielu z zamordowanych profesorów było znajomymi Bisanzów i Mściwujewskich. Jeszcze po wojnie w Krakowie odwiedzała babkę i ciotkę Bisanzowe pani profesorowa Longchamps de Berier, której mąż i trzech synów zginęli na Wulce.

Lwów opuściła rodzina Mściwujewskich jesienią 1945 roku. Willę ich zajmował jakiś wyższy oficer armii radzieckiej. Umożliwił on prof. Mściwujewskiemu skorzystanie z wojskowych samochodów ciężarowych jadących bez ładunku ze Lwowa przez Kraków do radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech po wojenne zdobycze. To umożliwiło zabranie pewnej części mebli antycznych i innych cenniejszych rzeczy. Wędrowanie do Krakowa przez granicę, która już istniała w Przemyśle, nie obyło się bez przygód. Jedna z ciężarówek wpadła do rowu, przez co podróż przedłużyła się do nocy, a jazda nocą przy działających w tym terenie oddziałach UPA, atakujących nie tylko Polaków, lecz też Armię Czerwoną, nie była bezpieczna. Przejazd granicy musiał zostać opłacony gąsiorem spirytusu, wyprodukowanego na Wydziale Chemii Politechniki Lwowskiej.

W Krakowie zamieszkali u babki Marii Mściwujewskiej przy ul. św. Anny. Wkrótce przenieśli się na Wawel, gdzie prof. Mściwujewski został jednym z dyrektorów Zamku Królewskiego. Został też wykładowcą

historii architektury na tworzącym się Wydziale Architektury, zainicjowanym przez odnowiciela zamku wawelskiego, wybitnego krakowskiego architekta Adolfa Szyszko-Bohusza. Ojciec Hanki znał prof. Bohusza z okresu jego działalności na Politechnice Lwowskiej. Znał też nowego dyrektora zbiorów wawelskich, lwowskiego historyka sztuki Tadeusza Mańkowskiego, z którego żoną matka Hanki uczyła się na pensji.

Mieszkańcy wzgórza wawelskiego – dyrektorzy, naukowcy, księża, woźni, urzędnicy – tworzyli specyficzną społeczność jakby miasteczka w dużym mieście. Nawet po latach, kiedy robiliśmy na Wawelu wielkie wystawy *Sztuka Wazów, 300 lat Odsieczy Wiedeńskiej czy 1000 lat Wawelu*, Hankę przyjmowano jako „swojego człowieka” tak przez kustoszy, jak i personel – starych woźnych i pracowników obsługi. Hanka mieszkała na Wawelu do 1954 roku, tam też w Katedrze braliśmy ślub, dawał go nam przezacny wawelski proboszcz ksiądz Kazimierz Figlewicz*.

Dzieje rodziny mojej żony wpisują się w dzieje lwowskiego środowiska inteligencji. Wspominam o nich, gdyż pokazują one wkład w kulturę Lwowa poszczególnych rodzin, ludzi, grup zawodowych i towarzyskich. Tego nie zobaczymy w dzisiejszym Lwowie – została piękna architektura miasta, ludzie są inni. Więc ten klimat duchowy, intelektualny Lwowa próbujemy ocalić od zapomnienia.

* Ks. Kazimierz Figlewicz (1903–1983) proboszcz wawelski w latach powojennych, był wybitną postacią. Przez całą okupację samotnie, jako jedyny kapłan, miał zgodę Niemców na odprawianie mszy św. w pustej katedrze. Niemcy zawieźli go do Katynia i to zdarzenie bardzo wpłynęło na jego powojenne losy, zawsze był w cieniu.



LESZEK WAJDA, ur. 1927 w Suwałkach, tam spędził wczesne dzieciństwo; lata szkolne i matura w Radomiu. Studia (od 1948) na Wydziale Architektury Wnętrz ASP w Krakowie. Po dyplomie (1953) praca dydaktyczna na Akademii, aż do stopnia profesora, emerytura w 1997. Praca twórcza w zakresie architektury wnętrz i projektowania wystaw. Z żoną Anną tworzyli zespół autorski, projektując wystawy dla muzeów i instytucji kulturalnych w Krakowie i innych miastach.

Józef Juzwa

JANKO POKUTNIK Z ZALESZCZYK

Jedną z osobliwości przedwojennych Zaleszczyk była postać dziwnego człowieka, nieznanego nazwiska ani pochodzenia. Człowieka w łachmanach, o siwych włosach i długiej, gęstej brodzie, o którym mówiono po prostu „Janko Pokutnik”.

Ciekawa to postać. Wspominano, że przed I wojną światową usadowił się koło cerkwi greckokatolickiej, by następnie po wojnie przenieść się pod kościół św. Stanisława. Janko był dziwnym człowiekiem. Ubrany w łachmany, powiązane sznurkami szmaty, nie chciał przyjąć żadnego ubrania. Gdy ktoś ofiarował mu jakieś okrycie, rwał je na strzępki, wiązał sznurkami i tak się okrywał. Nocował w stodołach przy bydło. Żywił się z jałmużny. Przed II wojną rozprawdzał w kruchcie kościelnej prasę katolicką i dobrze się z tego wywiązywał. Miał swój tobołek z porwanymi szmatami. Choć nie wiadomo, jak się mył, nie był odrażający.

Podczas wojny często nocował w korytarzu probostwa. Pracowałem wówczas w kancelarii parafialnej i jako organista, więc często się z nim spotykałem. Nie był rozmowny. Na wielokrotne moje próby nawiązania jakiejś rozmowy odpowiadał albo „na co wam to” albo grzebał w swoich łachmanach wyjmując jakiś patyczek i mówił: „paniczku, może to się wam przyda”. Nawet księdzu na pytania „Janeczku, jak się nazywasz?” odpowiadał wymijająco.

Przed wojną Janko Pokutnik w piątki, gdy zapadał szabas, zapalał Żydom w kuchniach ogień. Podobnie w sobotę. Gdy 2 listopada 1939 roku proboszcz zaleszczycki ks. Józef Adamski, ostrzeżony przed aresztowaniem, opuszczał wczesnym ranem probostwo, natknął się na Janka Pokutnika – ten zapłakał.

Kim był Janko Pokutnik? Prawdopodobnie pochodził z Bukowiny, prawdopodobnie zabił swoją matkę i sam sobie wyznaczył pokutę. Ale to tylko prawdopodobnie. Mieszkańcy Zaleszczyk przyzwyczaili się do tej postaci, a przyjezdni, zwłaszcza w lecie, nie unikali go.



Nigdy nie wzbudzał żadnej sensacji. Był po prostu codziennością Zaleszczyk. Niechętnie fotografował się z obcymi, którzy o to zabiegali. Jego postać uwiecznił artysta-malarz S. Jarocki, uzyskując za ten portret I nagrodę na Wystawie Krajowej w Poznaniu w 1929 roku.

Janko Pokutnik zmarł podczas okupacji niemieckiej (dokładnej daty nie pamiętam). Razem z kościelnym, panem Saneckim, zdjęliśmy z niego łachmany. Okazał się wysokim mężczyzną wzrostu ok. 180 cm. Zawiniętego w płótno i w trumnie pochował ks. A. Urbański – na cmentarzu po lewej stronie, za kostnicą.

Jako pracownik kancelarii parafialnej wpisałem w księdze metrykalnej zgonów: *Janko Pokutnik* – prawdopodobnie Jan Ilczatyn, lat ok. 80, innych danych brak.

ERRATA

W *Rozmowie* w CL 1/07 popełniliśmy przykry błąd: w notce biograficznej na końcu tekstu podano mylnie nazwisko naszej Rozmówczyni: *Piątkowska*, zamiast **Piotrowska**. Bardzo serdecznie przepraszamy przede wszystkim Panią Ewę Piotrowską, a także Czytelników. Szczęśliwie w dwóch innych miejscach błąd ten się nie powtórzył.

Transport na zachód

w listopadowy poranek całe Kresy
załadowano w bydłące wagony

najpierw Podole o hardym czole
poszarpanym jarami w których
polscy rycerze mieli stanice

po nim bogatą Ruś Czerwoną
zamożną w miasta
i zamki strzegące przed Tatarami
kupieckich szlaków

później żyzny Wołyń
z licznymi wioskami i zaściankami
których mieszkańcy co roku
rzucali ziarno w tłusty czarnoziem

po nim senne Polesie
pełne lasów i bagnistych borów
będących schronieniem tak dla ludzi
jak i dzikich zwierząt

następnie śpiewną Białoruś
z jej malowanymi płotami
z gankami drewnianych domów
przepięknych w swej prostocie

na końcu dumną Litwę
i Niemen szeroko rozlany
co w swych zakolach
zamykał historii całe wieki

to wszystko odjechało w nieznane
bez nadziei na powrót
bez słowa na pożegnanie



Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski

Sonet wysiedleńców

w Słobódce Dolnej nie ma już domów
po same piwnice rozebrano je
w pięćdziesiątych latach

cegły na koszary w Podhajcach
zabrało wojsko
dachówki i deski wzięli chłopi

czereśniowe sady całkiem zdziczały
psy odeszły koty zostały
szerokie zagony czarnoziemiu
pokryły chwasty

dawni gospodarze przyjeżdżają ukradkiem
ziemię zabraną do chusteczek
wraz z różańcem
zabiorą ze sobą do czyścica i nieba

Dziedzictwo

otrzymałem w spadku ormiańską duszę
lwowski akcent kresowy patriotyzm
ukraińską tęsknotę za Bogiem

białoruski dworek protoplasty Marcina
i jego przyjaźń z żydowskim rabinem

trwogę przed tatarskim zagonem
ślady po rosyjskiej nahajce

obóz przejściowy na wołoskiej ziemi
wspomnienie węgierskich honwedów

to całe dziedzictwo bogate i trudne
pomoże mi być Polakiem

co żyjąc w łacińskiej kulturze
zachowa obywatelstwo Wschodniej Europy

*Powyższe utwory pochodzą z tomiku „Wiersze”
(Kraków 2006). Inne wiersze tego samego autora
oraz notkę biograficzną zamieściliśmy w GL 2/2000.*

Franciszek Jaworski

KORTUMÓWKA

Niniejsze opowiadanie zaczerpnięte z książki pt. „Lwów stary i wczorajszy” (Lwów 1910).

Jedna salwa i druga, kilka odosobnionych strzałów, chwila ciszy, potem huk pociągu pędzącego po wysokim nasypie ku głównemu dworcowi, a za chwilę znowu strzały pękają w gradowych i fanfarach. Echo odbija się od Domu Inwalidów, uderza o nasyp kolejowy, o wzgórze Kleparowa, po lesie idzie i psich dołach hycłowskiej góry, a ginie aż gdzieś na cmentarzu janowskim.

I jeszcze głos trąby sunie po Kortumowej dolinie, zmienionej dziś w wojskową strzelnicę. Alarmujący, przeciągły sygnał, hasło rozpoczęcia strzelaniny i drugi *abschlag*¹, który ją kończy.

Ale na Kortumowej Górze to niewinna strzelanina – *ubungsschiessen*², do wielkiej tarczy i do mniejszych niebieskich celów, wykrojonych w formie żołnierza z francuską kepi, który ma markować nieprzyjaciela Austrii...

Bardzo jest piękne zresztą to miejsce, gdzie się odbywa grzechot manlicherowskich karabinów. Gdy się w myśli odrzuci te drewniane baraki strzelnicowe, te doły, w których się chowa obsługa tarcz, numery, oznaczające odległość celów, to pozostała reszta złożyłaby się na isticie sielankowe ustronie, zasmęcone pierwszym żółtym liściem, co z drzew jego padnie, leśną ciszą, która po wzgórkach pnie się aż na sam szczyt Kortumówki, a przedjesienną martwość po sobie zostawia długim cieniem, co się po ścieżynach kładzie i w zadumane mary rozwija.

Gdyby tak żołnierzy stąd usunąć, tor kolejowy rzucić hen aż za Kleparów, a zostawić na powrót czerechowe, kleparowskie ogrody, powiązać je ze wspomnieniem staro-lwowskiej mieszczańskiej gospodarki, która wzgórzom Kleparowa pszeniczny plon wydzieriała, rznąc w poprzek nich zagony, i korzeniami dębów je umacniając, zabrać stąd śmietnik Lwowa nad Pełtwią od zamartynowskiej strony – gdyby tak jeszcze wy-

łatać te szczyby, co je kamieniołom poczynił, wysypać psie doły, usunąć przekłete wspomnienie stogów słomianych, co przed laty tutaj sponęły, razem ze swymi mieszkańcami: wielkomijskim, bezdomnym proletariatem, który w nich szukał kryjówki...

Gdyby tak! ...

Ale żołnierzy tu bardzo dużo. Dla nich Cyprian Godebski rzeźbił kamienne części Domu Inwalidów, magistrat im wielkie koższary wystawił z gipsowymi hełmami na szczycie, a stary biurokrata Kortum nie myślał pewnie, że dla nich Kortumówkę hoduje. Czerechy kleparowskie, znowu po formie... wywłaszczono pod tor kolejowy. Komisja reambulacyjna brodzkiej ongi kolei płaciła po 120 guldenów za jedno drzewko. Ale co to było dla właścicieli, którym takie drzewko rodziło czerechy wielkości włoskiego orzecha, słynne nawet na stołach w Paryżu i na całą, bez przesady, Europę.

Z turkotem pierwszego pociągu z Podzamcza na dworzec główny, jakby ręką odjął. Czerechy kleparowskie skarlały, a sztuka ogrodnicza już nigdy tej lwowskiej osobliwości wskrziesić nie zdołała. Powiadają, że im dym maszyn parowych zaszkodził – kto je wie zresztą. Zostały jednak ciekawie rznięte zagony na wzgórzach, które może jeszcze w piętnastym wieku mieszczanin lwowski Andrzej Klepper uprawiał, pozostał śmietnik nad Pełtwią i pozostał dworek na Kortumówce.

Pałacyk to był, widać dawniej, w stylu francuskim, z mansardami i rokokowymi ozdobami. Dzisiaj siedlisko warty żołnierskiej i skład wojskowych narzędzi. Na frontonie tablica marmurowa z napisem, podług Horacego:

*...modus agri non ita magnus...*³

O nic więcej bogów nie proszę, jak o strzęp ziemi nie tak bardzo wielki, gdzie ogród, opodal domu krynica zaszemrze, a nad tym wszystkim lasu płacheć szczyplawy...

Trudno rzeczywiście o napis, któryby bardziej odpowiadał rzeczywistości, tak jak ten na Kortumówce. Widać, że ongi właściciel aż dosłownie zastosował się do słów Horacego i wzorował na nim swój strzęp ziemi i ogród.

Ale równocześnie ten napis na domu, którym militarizm owładnął, brzmi jak szydercza ironia i – dziwne losu zrządenie –

brzmiał tak samo w chwili, kiedy go *gubernialrath*⁴ Ernst von Kortum zawieszal na swoim domu.

Bo zanim ten radca gubernialny, ojciec biurokracji galicyjskiej, stał się zwolennikiem owej horacjuszowskiej maksymy poprzestawania na małym, musiał przedtem przejść wszystkie szczeble losu i kariery, musiał najpierw zdziwiać w swojej złości, żądzy panowania, niecofającej się przed paszkwilem. Ernst von Kortum był jednym z tych awanturnych typów, w jakie obfitował koniec osiemnastego wieku. Urodzony w Bielsku na Śląsku, tułał się po Cieszynie i Królewcu, był radcą dworu w rządzie państwa szlezwicko-holsztyńskiego, potem przez lat dziesiątek przybocznym sekretarzem króla polskiego Stanisława Augusta, skąd wprost poszedł w służbę rządu austriackiego do Galicji. Tu był referentem spraw uniwersyteckich i dyrektorem salin

galicyjskich, radcą dworu, masonem, gburowatym w obejściu hofratem, a przy tym wszystkim człowiekiem olbrzymiej wiedzy i zdolności prawniczej.

W chwili, gdy za krótkich rządów Leopolda II zaświtała społeczeństwu polskiemu w Galicji nadzieja swobód konstytucyjnych i odrębnej, krajowej autonomii, wystąpił Kortum z bezimiennym paszkwilem w Jassach w r. 1790 wydanym pt. *Magna charta von Galizien*⁵, gdzie w sposób niesłychanie zjadliwy napadł na rządowe plany reformy, oczerniając bezwstydnie całe społeczeństwo, jako rzekomo niegodne samorządu. Paszkwil ten zrobił wówczas olbrzymie wrażenie i stał się punktem wyjścia dla całej późniejszej biurokracji galicyjskiej, która kłamiwym, niejednokrotnie oszczerczym przedstawianiem stosunków krajowych gruntowała własny swój wpływ i przewagę. Był ponadto Kortum autorem dzieła o Żydach i tak zapiekłym antysemitą, że nawet na dziedziniec jego domostwa był starozakonny wstęp wzbroniony.



Dworek na Kortumówce

Syt zysków i kariery osiadł hofrat na starsze lata na uroczym folwarku, który od niego wziął nazwę Kortumówki. Sam właściciel nazwał go *Friderikenhof*, od swojej żony, której po śmierci nie chciał pochować na żadnym cmentarzu, ale urządził jej mauzoleum w ogrodzie, właśnie na Kortumówce, nie przypuszczając chyba, że kiedyś rozlegający się tu codziennie huk strzałów karabinowych wieczny jej odpoczynek zakłócać będzie.

Wówczas jednak była Kortumówka prawdziwie pańską i ślicznie utrzymywaną siedzibą. Pałacyk o powyższym napisie z Horacego otoczony był murowanymi budynkami gospodarskimi, a przed nim ku górze ścielił się wspaniały ogród owocowy oraz spacerowy, wraz z małą winnicą, oranżerią i domkiem ogrodnika. Właścicielowi nawet nie potrzebował ogrodnika hofrat, oddając się sam z prawdziwą pasją sztuce ogrod-

niczej i pracując własnoręcznie około tego ogrodu. I rzeczywiście doprowadził go do tego stanu, że w samym sadzie naliczono po jego śmierci 2233 drzew owocowych. Ponadto należało do folwarku kilkanaście morgów pola, które obrabiali czterej chłopcy pańszczyźniani. W lasku na samym szczycie wzgórza stała altana, skąd stary hofrat przeglądał się czarującemu widokowi na miasto i skąd też patrzył na grobowiec swej żony, otoczony z całą ówczesną symboliczną melancholią sosnami, brzoźami i wierzbami płaczącymi.

Kortum umarł w 1811 r., a posiadłość jego poszła na licytację. Uroczą jednak Kortumówka była przez długie lata celem niedzielnych przechadzek mieszkańców Lwowa, a przez pewien czas stanowiła pole doświadczeń dla instytutu ogrodniczego.

Bywał tam między innymi także znany nam już bardzo dobrze miłośnik pięknych widoków z r. 1825, ale ten w gaiku Kortuma stracił jakoś swój zwykły kontenans. Być może, że akademicy z fajkami w ustach, uczący się tutaj lekcji, malec kujący przepi-

sy retoryczne dla szkół średnich i dwie panny klójące się żarliwie nastroiły go na ton mocno minorowy, a być też może, że zjadliwa krytyka poprzednich jego opisów, pomieszczona w warszawskich „Rozmaitościach”, dość, że braknie w opisie Kortumówki tego entuzjazmu, który cechował poprzednie opisy tego autora.

Mimo to musiał nasz autor uznać piękność stawku trzciną zarosłego, widoku z mostku, skąd widać w pięknej perspektywie mały folwark, jedną część Lwowa i kawał góry piaszczystej. Potem poszedł nader mozolną ścieżką do altanki na górze, ale uznał, że nie warto było dla niej tyle trudu podejmować, bo się wali i wkrótce do szczytu zniszczone. Ściany jej popisane były różnymi wierszami po części niesmacznymi, z których najlepiej się autorowi podobał ten, co głosił, że *szczęśliwą jest dusza, która kocha...*

Widok z altanki był istotnie przepyszny, bo z jednego okna dostrzec było można piękne nader widoki na wioski i lasek, z drugiego Lwów w całej swojej okazałości i góry piaszczyste, z trzeciego pięknie uporządkowane rzędy drzew, łąki i wzgórze, a z drzwi samych widać było świeżo skoszoną łąkę, góry skąpo zarosłe drzewami i znowu naszą miłą stolicę.

Wracając, zatrzymał się autor chwilę koło grobu właścicielki tego lasku, wznoszącym się wśród romantycznej doliny, a potem stanął także koło chat robotników pracujących nad łupaniem kamieni, chat podobnych raczej do mieszkania Hotentotów niżli do pomieszkań robotników Lwowa.

Koniec wszystkiemu położyła dopiero wojskowość, która według odrębnych zasad swojej estetyki pomalowała dworek na żółto, obróciwszy ogród na strzelnicę, zamknęła go raz na zawsze dla cywilów, zostawiając tylko Górę Stracenia, na której nowy się park zieleni – Teofila Wiśniowskiego.

PRZYPISY REDAKCJI

- ¹ w wolnym przekładzie: *ucięcie strzelanie ćwiczebne*
- ² w dosłownym przekładzie: *miarka pola nie tak wielka*; przekład poetycki (czyj?) poniżej
- ³ radca gubernialny
- ⁴ *Wielka Karta Galicji* – nawiązanie do „Magna Charta Libertatum”

Anna Piwowska

DO PARKU LUB NA PIWO

*Jak spędzał wolny czas
ludek lwowski przed stu laty*

Lwówianie kochali spacerować. Była to rozrywka najbardziej przystępna i częsta. Przechadzano się po parku Stryjskim (potem nazwanym Kilińskiego), parku Łyczakowskim, czyli Bartosza Głowackiego, i parku Strzeleckim; udawano się także poza rogatki miasta. Lwówianie mogli poszczycić się również pięknymi lasami. Zieleń okalająca miasto była obiektem zachwyty i podziwu przejezdnych. Chętnie udawano się na spacerować na Górę Zamkową (428 m), na której stał kiedyś zamek, a na przełomie wieków pozostały już tylko ruiny, na których z inicjatywy Franciszka Smolki, w 300 rocznicę Unii Lubelskiej – w 1869 r. – rozpoczęto usypywanie Kopca, tworząc tym samym nowe miejsce dla spacerowiczów. *Nie ma chyba na świecie miasta, na którego niemal wszystkie zakątki, ba – i bezpośrednie okolice, rozciągały się panorama tak rozległa jak ta, którą lwowianin obejmował ze szczytu kopca Unii Lubelskiej.*

We wschodniej stronie miasta znajdowała się Czartowska Skala (414 m n.p.m.), od południowego wschodu Lwów otaczała Pohulanka, gdzie jeszcze na początku XX wieku istniały piękne lasy, polanki, jary, niezabudowane wzgórze. Nazwana była przez lwowian Arkadią, ze względu na dzikość natury, a równie dzika była pobliska Cetnerówka. Terenem do górskich wycieczek była Lonżanówka, znana bardziej jako Kajzerwald.

W zakamarku parku Stryjskiego udawano się, aby pozbiierać myśli, pobyć trochę samemu. *Spacer po tych jarach był możliwy tylko dla wyrostków i ludzi szukających zupełnego odosobnienia dla zebrania myśli lub inicjatywy dla wyczynów literacko-artystycznych.* Tak było na początku, by potem obszar ten (...) z *bezużytecznego wertepu stał się najurodzajszym w Polsce.* Wspaniałe aleje, góry, doliny, bogata roślinność przyciągały. Obok tego parku w 1894 roku zorganizowano Wystawę Krajową, z okazji 100. rocznicy powstania kościuszkowskiego. Po obchodach rocznico-

wych plac powystawowy stał się miejscem spotkań mieszkańców galicyjskiej stolicy.

Oazą zieleni mieszczącą się przy ulicy Kurkowej był Ogród Strzelecki. *Leżał on u podnóża, na stokach i na grzbiecie Góry Wilczej, sąsiedował od północnego wschodu z ogrodem Sobieszczyzny i otwierał oku ze swego punktu szczytowego interesujący widok na kopiec Unii Lubelskiej (...). Dalej spiętrzyły się nad ulicą Kurkową ogrody późniejszej lecznicy Ubezpieczalni Społecznej, klasztorów Franciszkanek i Marianek. Wystarczyło dojść do końca ulicy i wkroczyć na Leśną, by pnącą się do góry ścieżką dosięgnąć rozległych wzgórz Kajzerwaldu, które towarzyszyły ulicy Łyczakowskiej w jej pochodzie na wschód, dosięgając Jałowca i Krzywczyc. Kto z Jałowca skierował się z powrotem ku miastu, mógł zażyć przyjemnego wypoczynku w parku Bartosza Głowackiego, gdzie miły cień i ochłodę niosły głównie brzozy i pachnące drzewa iglaste (...). Z parku Głowackiego droga do dalszej włości po Cetnerówce, a stąd po lesistej, malowniczo pogarbionej Pohulance (...)*

Od drugiej połowy XIX wieku na przedmieściach i obrzeżu miasta stały się popularne – na wzór wiedeński – ogródki miejskie, gdzie mile bawiono się pod gołym niebem, przy akompaniamencie orkiestry. Ich największa liczba znajdowała się na Łyczakowie i wokół Wysokiego Zamku. W tych podmiejskich ogródkach humorysty zabawiali gości.

Na każdej ulicy i przedmieściu, na parterach czynszowych kamienic, powstawały szynkownie, do których z wielką przyjemnością udawali się mieszkańcy Lwowa. W sali szynkowej najważniejszą rolę odgrywał szynkwas, czyli bufet. Każdy szynk posiadał pewną liczbę ław, krzesel i stołów pokrytych ceratą. Część klienteli konsumowała stojąc przy bufecie lub pod ścianą. Zamawiano najczęściej alkohol – wódkę i piwo. *Wejdz do środka, a ujrzysz stek brudu i niechlujstwa, wybite szyby, zatłakane szmatą, na które wstręt spojrzeć, (...) podłogę pełną śmieci i nieczystości, (...) kilka ław i nigdy nie umyty stół (...).*

Najbarwniejszą i najpopularniejszą dzielnicą Lwowa był Łyczaków. Cały Łyczaków tworzył jedną wielką rodzinę. Wspólnie bawiono się na rodzinnych imprezach: weselach, chrzcinach oraz w znanych szynkach, np. „ślepego Maćka” na górnym Łyczako-

wie, gdzie – jak napisał Mieczysław Opałek w swych wspomnieniach – (...) *wypadało często oddawać stolki i ławy do remontu. Zawsze pełne gości były szynkownie: „Pod Rakiem” i „U Weissmana”. W kamienicy Höflingów istniała szynkownia „pod Turkiem”, gdzie o każdej porze roku i nadarzającej się okazji tętniło życie towarzyskie. Można było także zajrzeć do ogródka „Pod Gołąbkim”, napić się piwa „u Kijaka” oraz w popularnym szynku Schönfelda.*

W ciasnych, dusznych lokalach na przedmieściu Żółkiewskim zabawa plebsu lwowskiego zmieniała się w picie na umór. Za rogatką żółkiewską tańczono „u Kisielki” i „u Fleischmana”. Na przedmieściu Stryjskim był ogródek „Na Żelaznej Wodzie”, „u Cieślewiczów” i na Zofiówce „u Jaworskiego”. Po drugiej stronie miasta, na ulicy Szerokiej, potem nazwanej Kopernika, przy browarze znajdował się słynny ogródek Prochaski.

Wokół Wysokiego Zamku istniała kumulacja ogródków. Od strony ul. Zamkowej był ogródek Florka. Tu oprócz zwykłej huśtawki, która była atrakcją tych miejsc, była huśtawka „rosyjska”, sięgająca na kilkanaście łokci wwyż. Ogródek ten dysponował także dużą karuzelą z drewnianymi końmi na łańcuchach. Tu właśnie w niedziele, dni wolne od pracy udawano się z dziećmi. Pod Zamkiem od innej strony, przy ulicy Teatyńskiej, była zwana przez mieszkańców „sala do tańca” u Jagermana. Często zabawy te po spożyciu dużej ilości alkoholu kończyły się smutno, dochodziło do bójek, kłótni, a nawet zbrodni. W ogródku „Pod Słowikami” przy placu Bernardyńskim (...) *bardzo często wpadało się o każdej porze, by „na kolanie” coś przegryźć i odpocząć w cieniu kasztanów.*

Najmniej ogródków znajdowało się przy ul. Gródeckiej, tam istniały tylko dwa ogródki:



Reklama lwowskiego piwa, lata 20. ub. wieku

„Pod Różą” i „Pod Capkiem”. A tak ten lokal opisał w swych wspomnieniach Mieczysław Opalek: *Zasiedliśmy przy kwadratowym stoliku, na który wniósł fertyczny Żydek w białym kabacie pękatą flaszkę, talerz z piernikami i nieduże szklaneczki. Napelniono je ciemnym pachnącym płynem, a był to słodziutki napój ze znanej miodosytni Blauta w Janowie. Właściciele podobnych lokali mogli liczyć na dużą liczbę gości, gdyż taka forma rozrywki była tania, a gospodarze dbali o klienta, zawsze mili i uśmiechnięci zachęcali do kosztowania piwa, kłaniając się w pas: *Moryc zetrzyj stół, Jakub zapal gaz, Adolf podaj krzesła.**

Najstarszą kawiarnią we Lwowie z okresu autonomii galicyjskiej była „Kawiarnia Dobrowolskiego”, zwana potocznie „Piekiełkiem”. Mieściła się przy ulicy Krakowskiej, przetrwała ponad 50 lat (1848–1902). Początkowo przychodzono by poczytać aktualną prasę, z biegiem czasu dominującą scenografią tego miejsca były szklanki latające w powietrzu, litry rozlanego piwa i walki „honorowe” na policzki. „Piekiełko” szybko stało się mordownią, gdzie w bardzo łatwy i szybki sposób można było doznać urazów cielesnych, złamać nos i znaleźć się z hukiem na ulicy. Z biegiem lat stała się zwykłą mordownią. Ów lokal był miejscem, gdzie po całonocnej wędrówce od szynku do szynku bawiący się Lwów trafiał na czarną gorącą kawę, która była ratunkiem i jedynym lekiem dla pijanych gości. Można tu było spotkać klientów z lwowskich restauracji, m.in. Zihna, Götza lub Stadmüllera. Lokal ten był otwarty całą dobę, zawsze pełen gwaru i huku. A tak wyglądał: *Pierwsza sala, długa niby wydęta kiszka, stanowiąca czytelną, a przechodząc wąską szyją i po kilku schodkach w salę bufetową nadawała całej kawiarni wrażenie korytarza, którego głowę stanowił bufet, najeżony butelkami, a ogon szeleścił czarnymi płachtami dzienników i jaskrawą ilustracją pierwszej stronnicy pism humorystycznych. Wśród błękitnych warstw dymu, drgających promieni lamp i odbiciem ścian lakierowanych, szumią tu przez pół wieku życie gwarne i krzykliwe, bez granic niby i miary, szerokie, jak rozbawiona ludzka natura (...)* Podczas takich spotkań żywo i z wielkim zaangażowaniem zbierający się tam lud dyskutował o sytuacji w mieście. Po wybudowaniu w 1894 roku trasy dla tramwajów elektrycznych dochodziło do ostrych komentarzy w szynkowniach. (...) *złorzeczono ojcom mia-*

sta, przy użyciu co najsoczystszych wyrazów. Pożary szewskiej pasji (...) gaszono kuffami lwowskiego piwa, a kreski znaczone kredą na szynkwasię przez szynkarza świadczyły, że tych piw „wychlano” dużo, oj, dużo!

Niezwykle korzystnym okresem dla właścicieli szynkowni i ogródków była pora maja i października, gdy do stolicy na czas jarmarku zjeżdżali się kupcy i handlarze z całej niemal Galicji. Jarmarki świętojurskie, które trwały tylko do lat osiemdziesiątych XIX wieku, były nie lada atrakcją. *Rojno i gwarno było w mieście już w przeddzień otwarcia jarmarku, choć właścicielom ich tętno biło na placu świętojurskim, (...)* Po całym dniu targów i sprzedaży chętnie wypoczywano w pobliskich szynkowniach i ogródkach, popijając piwo i zachwycając się wyrobami zakupionymi na jarmarku (garnki, ozdoby, kozuchy, buty). (...) *po zakupie pierników lub obwarzanków miło było ludziom starszym ułożyć zmęczone cielsko na trzeszczącym krześle lub twardej ławce, pokrzepić się piwem, kwaśnym mlekiem lub czystą.*

Spacer po uroczych miejscach, łyk piwa w szynkowni o śmiesznej nazwie to niewątpliwie miła forma spędzenia popołudnia we Lwowie przełomu wieków, gdzie chociaż na chwilę w miłym towarzystwie można było odpuścić i oderwać się od codziennych trosk.

LITERATURA

- Baranowski B., *Polska karczma. Restauracja. Kawiarnia*, Wrocław 1979
- Braiter B., *Dawny Lwów*, Lwów 1937
- Czuma M., Mazan L., *Austriackie gadanie, czyli Encyklopedia Galicyjska*, Kraków 1998
- Habela J., Kurzowa Z., *Lwowskie piosenki uliczne, kabaretowe i okolicznościowe do 1939*, Kraków 1989
- Jakubowska U., *Lwów na przełomie XIX i XX wieku. Przegląd środowisk prasotwórczych*, Warszawa 1991
- Jaworski F., *Lwów stary i wczorajszy. Szkice i opowiadania*, Lwów 1911, reprint, Kraków 1989
- Krajewski A., *Lwowskie przedmieścia. Obrazki i szkice sprzed pół wieku*. Biblioteka Lwowska, T.VIII, Lwów 1909
- Machowski S., *Bernardyński mijam plac*, Wrocław 1989
- Nahlik S.E., *Przesiane przez pamięć*, T. I, *W rodzinnym gnieździe*, Kraków 1987
- Opalek M., *O Lwowie i mojej młodości. Kartki z pamiętnika 1881–1901*, Wrocław 1987
- Schleyen K., *Lwowskie gawędy*, Londyn 1967
- Wasilewski S., *Lwów*, Seria: Cuda Polski, T. VI, Poznań 1931

Wanda Stengl

MOJE UKOCHANE PODOLE

*Gdyby orłem być, lot sokoli mieć,
Skrzydłem orlim lub sokolim
Unosić się nad Podolem,
Tamtym życiem żyć!*

– a na Podolu jest taka wioska, którą kocham, za którą tęsknię i niestety wiem, że już nigdy jej nie odwiedzę. Nazywa się Potupańówka. Tam się urodziłam, bo moi rodzice (lwowiacy) dostali tam pierwszą posadę nauczycielską. Mama miała wtedy 22 lata, a ojciec 23.

Co zastali na tej pierwszej posadzie? Była to wieś mała, szkoła czteroklasowa. Środkiem wsi ciągnęła się droga, którą – tak jak dziś pamiętam – można było przejść spokojnym krokiem w niecałe dwie godziny. Były jeszcze dwie małe boczne uliczki. Domy często po jednej stronie stały na pagórkach, czasem bardzo wysokich. Wynika to z tego, że był to teren Miodoborów, skały wapienne ciągnęły się długimi pasami. Ale to uroczo wyglądało: skały, u których stóp były pola uprawne, a potem ciągnęła się wieś, białe chaty pod słomianymi dachami.

Te chaty były jednoizbowe. Była sień, po jednej stronie duża izba, po drugiej mniejsza, niby spiżarnia. Tam przechowywano żywność: chleb, mleko w glinianych garnkach (hladuszczkach), czasem słonina wisiąca na drągu, niekiedy poźółkła ze starości, ale to właśnie miało smak. Na niedzielę gospodynie ucierały (męły) na żarnach pszenicę i z tej mąki robiły pierogi (ruskie), które omaszczaly tą poźółkłą słoniną. Pamiętam jak raz (kiedy miałam może 6–7 lat) przyszedł do sąsiadów w czasie biesiadowania i gospodyni dała mi do ręki takiego dużego pieroga (ciasto wykrawywały dużym garnuszkiem) – ach! Jakie to było pyszne, ta gruba mąka i ta słonina! Jadłam łakomie, aż mi po brodzie kapąło.

Na co dzień jedli tam ludzie bardzo skromnie. Na śniadanie zupa kartoflana (juszka) z chlebem, a wieczorem przeważnie barszcz

z kartoflami lub kaszą gryczaną. W ciągu dnia, kto był głodny, brał sobie pajdę czarnego chleba, w lecie z jabłkiem lub śliwkami, a w zimie z kawaleczkiem tej żółtej słoniny.

W czasie żniw to już było specjalne jedzenie, bo gospodynie robiły ser, w dużej misce mieszały go ze śmietaną, do tego wkrawały świeże ogórki, czarną rzodkiew i cebulę. Na co dzień śmietany się nie używało, bo przeważnie z tej jednej krowiny trzeba było ją uskładać i zrobić masło, aby je sprzedać na jarmarku i kupić jakieś drobiazgi do domu.

A jak była urządzona izba? W lewym rogu stało wysokie łóżko (pościel) przykryte weretą z konopnego płótna, często tkana w pasy z farbowanych przędzionych przez kobiety nici. Na końcu tej pościeli były poduchy, poskładane jedna na drugą. Często poszewki haftowano kolorowymi nićmi (czarne i czerwone). To łóżko, czyli pościel, było bardzo wysokie, bo pod nim było miejsce na różne potrzebne i niepotrzebne rzeczy. Naokoło izby były ławki, dość szerokie, bo na nich można było w nocy spać. Przy końcu izby stała skrzynia, w której były najcenniejsze rzeczy, a więc: ubrania, czyli odświętne spodnie, kaftany dziane z owczej wełny, kabaty, spódnice poskładane w fałdy, złożone na pół i mocno związane, książeczki do nabożeństwa, różańce i pieniądze, chociaż mało ich mieli.

Przy wejściu do izby, po prawej stronie w kącie, stała mała szafka, często z nadstawką. Ta szafka nazywała się kuczka. W niej trzymało się naczynia, czasem niedojedzone potrawy.

1/4 tej dużej izby zajmował piec piekarski i kuchnia, a nad tym piecem było świetne miejsce do spania na starym kozuchu. Spanie i leżenie na piecu to był przywilej babci lub dziadzia. Rodzice spali na łóżku, a dzieci na ławkach albo na ziemi na sieniaku lub po prostu na słomie. Podłogi jako takiej tam nie było. Była ubita ziemia wylepiona bardzo starannie gliną, co na każde święta było odnawiane. Do tej chaty z zewnątrz była przydana izba, w której było bardzo przyjemnie posiedzieć. Od drogi przy chacie był mały ogródek kwiatowy, zawsze czerwone piwonie, fioletowe pantofelki Matki Boskiej, mięta i rumianek.

A budynki gospodarskie? Było ich niewiele, bo to była uboga wieś. Ludzie mieli

tam skromne ilości pola, więc utrzymywali jedną, rzadko dwie krowy, dwa konie, bo tam nikt nie jeździł z jednym koniem w zaprzęgu – tylko Żydzi, kilka owiec, które wypasali na skałach. Był nawet taki Marcinio, który z gospodarstw zabierał codziennie owce z całej wsi i wieczór wracał z nimi. Owieczki zawsze oddziały się same od stada i szły do swojej stajenki. A ten Marcinio, jak szedł przez wieś, to wołał: „wiwci wyhanajcie”. Często dostawał od gospodyni kawałek chleba albo placek upieczony na kuchni, albo w lecie dwa jabłka.

[...]

Budynki gospodarskie były równie skromne jak chata, ale wszystko się dobrze mieściło, nawet czasem świnka była. A kury spały na bantach. Największa była stodoła. W niej składano zboże: żyto, trochę pszenicy, trochę jęczmienia i owsa dla koni. Pola tam gospodarze mieli mało: 3–4 morgi, a 5 to już był bogacz. Stodoła musiała być duża, bo w niej sami chłopcy cepami młócili zboże. Potem te ziarna przewiewali z plew, później w dużych „reszotach” jeszcze jakoś oczyszczali, tak że mieli pracę na całą zimę.

Trzeba jeszcze wspomnieć, że przy każdym gospodarstwie był ogród warzywny. Dużą jego część zajmowały konopie, czasem trochę lnu. Każda gospodyni lubiła mieć dużo tych konopi, bo z nich miała przede wszystkim płótno na koszule i „werety”, a z gorzej przedzionych worki. Oprócz tego z siemienia konopnego był pyszny olej. Miał zielonkawy kolor, zachęcający do jedzenia zapach i naprawdę był pyszny. Moja mama zawsze dostawała w prezencie taki olej. Pamiętam, jak dawała mi go na talerzyk, lekko soliła i w tym maczała chleb, też taki wiejski, czarny. Albo kiszoną kapustę przyprawiała tym olejem i cebulką. Trudno było oderwać się od takich przysmaków. A więc oprócz tych konopi, o których się rozpisalam, były grządki z warzywami: buraki, marchew, pietruszka, ogórki, czarna rzodkiew, cebula, czosnek, kapusta. Po grządkach był posiany koper. Krajem grządek były kwiatki, tzw. kupczaki – my to nazywamy śmierzdziszki (aksamitki – przyp. AS). Gospodynie umiały wykorzystać te warzywa:

kisły barszcz, ogórki i kapustę, zwłaszcza jedna, pamiętam do dziś, nazywała się Halka Krakowska, miała przepyszne ogórki kiszone i kapustę. Tych ogórków jak się raz najadłam i popiłam kwasem ogórkowym, to odchorowałam, mało mnie nie rozerwało.

* * *

MOJA UKOCHANA SZKOŁA

Teraz chcę pisać o mojej zapewne nieistniejącej już szkole, w której rodzice uczyli i mieszkali, w której się urodziłam. Moja ukochana szkoła! Jak zawsze tęsknię za tobą, za tym olbrzymim ogrodem warzywnym, za tym sadem, w którym mieliśmy prymitywny stół i ławki i tam w czasie wakacji jedliśmy śniadanie. Na te wspomnienia trudno mi powstrzymać się od łez. Jak tam było pięknie, jak dobrze, jak swojsko. A teraz? Nie ma rodziców, nie ma Połupanówki i nie ma tam Polski. Jest Ukraina.

Jaka była ta „moja” szkoła? Wybudowano ją na pagórku, tak że front był bardzo wysoki jak wysoki parter i tam była duża klasa (jedyna), a na równym terenie – już jako niski parter – było mieszkanie dla kierownika szkoły: dwa



Wanda Stengl

pokoje, kuchnia i spiżarnia. Okna do klasy były bardzo wysoko, a do mieszkania tak nisko, że w lecie, kiedy moja ulubiona krówcica wracała z pastwiska, to zaglądała do mnie – kiedy jeszcze spałam – przez te nisko otwarte okna. Podwórce było bardzo duże, stał tam budynek gospodarczy – drewniany i stajnia dla krówcicy, i dwie duże wysokie śliwy. Owoce miały krótkotrwałe, takie do zjedzenia zaraz. Nazywano je (za przeproszeniem) sralki. Ale były bardzo dobre i słodkie. Dalej ciągnął się duży, duży ogród warzywny, który mój ojciec wzorowo prowadził. Nasiona sprowadzał ze Lwowa od Riedla. Mieliśmy wszystkie jarzyny wysokiej klasy, a najwspanialszy był groch cukrowy. Piął się po wysokich tyczkach – ten gatunek nazywał się telefon. Jak przyjeżdżałam na wakacje, włożyłam w taką długą wysoką grządkę i zjadałam się tym pysznym, słodkim grochem. Nikt mnie tam nie znalazł.

* * *

Mój ojciec urodził się w Krakowie, ale gdy był małym chłopcem jego rodzice przenieśli się do Lwowa. Tam chodził do szkoły „powszechnej” (dziś podstawowej), a potem do seminarium nauczycielskiego. Uczył się bardzo dobrze, do dziś mam jego świadectwa szkolne. Interesowała go szczególnie historia i biologia.

Dlaczego o tym piszę – bo nieraz dziwię się, jak ojciec, który dorastał we Lwowie, umiał gospodarować na tak olbrzymim ogrodzie.

Napród był ogród warzywny, w którym ciągnęły się długie grządki przedzielone wąskimi ścieżkami, a na tych grządkach, jak już wspomniałam – wspaniały groch cukrowy (3 grządki), marchew (też cukrowa, nazywała się karotka), tak samo cebula, ogórki (wspaniałe; mama kisła je w beczce, były pyszne!), pomidory, które ojciec nauczył mnie przycinać i przywiązywać do krótkich tyczek. A też wspaniała była kapusta. Siedziały sobie na grządkach takie grube babulinki. Kapustę mieliśmy piękną i oczywiście pyszną, kiszoną, którą mama kisła na zimę. Czyli na zimę mieliśmy wszystkie jarzyny swoje, odpowiednio przechowywane w piwnicy. A jakie były zdrowe! Niczym nie kropione! Przez całe lato dwie dziewczyny pracowały w ogrodzie, plewiły, podlewały, okopywały, tak że ten ogród był na pokaz.

Ale to nie koniec! Na końcu tego warzywnego ogrodu był płytki rów, a nad nim dwie wiśnie, dziki bez i jeszcze jakieś krzewy, na pewno agrest i porzeczki. I za tym rowem był drugi bardzo duży ogród, na którym jeszcze parę grządek (buraki, czosnek, koper itp.), a większą część zużywało się na ziemniaki (kartofle), trochę buraków pastewnych dla krówci i zagon lucerny, też dla krówci.

I to jeszcze nie koniec!

Przed szkołą był kawałek ziemi (dość duży), niewykorzystany, więc mój ojciec po odpowiednich zabiegach uprawił tę ziemię i zrobił tam piękny ogródek kwiatowy. Zrobił różne klomby i na nich rosły przeróżne kwiaty. Nie będę ich wliczać, bo były wszystkie ogródkowe, wspomnę tylko o pięknych pełnych lewkoniach i strzępiastych astrach.

A przy drodze, na tym wysokim podmurowaniu, zrobił długą szeroką rabatkę i na niej zasiał maciejkę. W sierpniu jej zapach unosił się naokoło szkoły, a w noc księży-

cową, kiedy chłopci zwozili zboże, zatrzymywali przed szkołą konie i dziwili się, co tak pięknie pachnie. Teraz czasem w doniczce na balkonie sieję trochę maciejki, ale to się nie udaje. Nie ta ziemia, nie te nasiona – czasem zakwitnie parę kwiatków – wacham je i rozrzewniam się, wspominając tamte czasy.

Był jeszcze kawałek ziemi przed sadem. Po uprawieniu jej ojciec zasadził tam kukurydzą. Dla mnie w czasie wakacji ta kukurydza była niczym konopie w „Panu Tadeuszu”. Miałam małego brata i kiedy przyjeżdżałam na wakacje (chodziłam wtedy do gimnazjum we Lwowie), musiałam się nim zajmować, nie mogłam pójść bawić się z koleżankami, bo on zaraz ryczał. Więc czasem narwiałam sobie grochu, śliwek, wchodziłam do tej kukurydzy i miałam spokój. Było mi tam tak tajemniczo.

Każdy skrawek ziemi mój ojciec wykoryzował w tej mojej kochanej Połupanówce i często podziwiam go, jaki był pracowity i jakie miał pomysły.

* * *

A co było za naszymi ogrodami? Skończyłam już opisywać (i przy tym mile wspominać) teren, który należał do szkoły. Dalej było przepięknie. Odgródzone od naszych ogrodów płytkim rowem z zieloną trawą i różnymi kwitnącymi roślinami, ciągnęły się zagony uprawnych pól. Uprawiano tam żyto, trochę jęczmienia, trochę kartofli, czasem trochę lnu. Zboże tam rosło wspaniale. Ziemia była urodzajna (czarnoziem), żyto i pszenica były bardzo wysokie – mówiono, że jeździec na koniu może się tam ukryć. Te zagony ciągnęły się trochę pod górę, a na końcu była rozłożysta skała, należąca do Miodoborów. Dołem, wzdłuż tych zagonów, była ścieżka, którą chodziliśmy do kościoła. Po prawej stronie były gospodarskie ogrody warzywno, po lewej pola – i tak szło się ścieżką, która nazywała się „poza ogrody”; wychodziło się na drogę, która prowadziła do kościółka, i dalej poza wieś. Nad tą drogą widać się pas skał, a na końcu, na najwyższej, wybudowano kościółek. Mówiło się, że kościół stoi na „świętej górze”.

Teren na wybudowanie tego kościółka został wyrównany i otoczony murem z wapiennych kamieni. Zanim zaczęło się nabożeństwo, ludzie siedzieli na tym murze, szcze-

gólnie kobiety w barwnych strojach i to bardzo ładnie wyglądało.

U stóp tej „świętej góry” wybudowano plebanię. Wtedy, kiedy ją poznałam od wewnątrz, musiała już długo służyć księżom, ale była bardzo praktycznie zaplanowana. Był duży pokój dla księdza, duża jadalnia i po drugiej stronie przedpokoju trzeci pokój

dla ewentualnych, przyjezdnych gości. Tam mieszkali rodzice księdza. Wtedy, kiedy tam chodziłam, proboszczem był ksiądz Konstanty Turzański, wielki patriota, wygłaszał piękne kazania, często patriotyczne, za co na początku wojny został przez Ukraińców w okrutny sposób zamordowany.

W tym domu księdza najbardziej podobała mi się duża kuchnia i duża spiżarnia, w której przy ścianach stały regały, a na nich przeróżne pyszne rzeczy: słoiki z konfiturami owiązane papierem pergaminowym, słoje z korniszonami, koszyk z jajkami, wisiała wędzona kielbasa własnego wyrobu i wędzonka, na podłodze na deskach stały worki z mąką, kaszą itp. Bardzo lubiłam tam zaglądać, kiedy służąca po coś wchodziła.

* * *

O mojej ukochanej Połupanówce mogłabym jeszcze dużo pisać, ale czas nagli. Chcę jeszcze opisać dalsze losy mojej rodziny. To wszystko, o czym dotąd pisałam, działo się w latach 1920–1925. Dla mnie były to cudowne lata, bo w Połupanówce i bez bardzo przykrych przeżyć, ale przyszedł czas, kiedy mój ojciec za zasługi na polu społecznym i jako dobry organizator został przeniesiony do innej wsi, nazywała się Ostapie. Była to bardzo duża wieś, druga pod względem liczby mieszkańców w powiecie skałackim (woj. Tarnopol).

Nie było już tam tych pięknych ogrodów, bliskości pól i skał, ale dla mego ojca było dużo pracy. Przede wszystkim trzeba było zbudować nową szkołę, bo ta stara miała tylko dwie sale. Wybudowano szkołę piętrową o ośmiu dużych salach i czterech małych: kancelaria, biblioteka i kuchnia na zajęcia praktyczne. Jedną dużą salę zajął nauczyciel z rodziną, a mały pokój nauczycielka.



Kościół w Połupanówce

Jako szkoła siedmioklasowa miała 7 sił nauczycielskich. Niektórzy nauczyciele wynajmowali mieszkanie u chłopów, a mój ojciec miał mieszkanie służbowe w starej szkole.

Budowa szkoły pochłonęła dużo pracy i starań. Najgorsze było to, że często brakowało pieniędzy dla robotników albo na materiał budowlany.

Wtedy ojciec brał materiał budowlany na kredyt u Żydów w Skałacie. Kiedy nieraz był w mieście i spotkał takiego Żyda, któremu należały się pieniądze, to ten pytał ojca: „nu”?, a Ojciec odpowiadał: „nu, nu”. Ale po ciężkich staraniach wszystko spłacił i szkoła była gotowa.

Dzieci było bardzo dużo, tak że w każdej klasie czterdzieścioro albo i więcej.

Chcę teraz napisać parę słów o gronie nauczycielskim w tej szkole. Mój ojciec był kierownikiem, matka nauczycielką, poza tym Maria Fedorowicz z Zaleszczyk, Janina Wilczyńska ze Stanisławowa, Karol Buczko i jego żona mieli dom w Ostapiu, Janina Kotówna na bezpłatnej praktyce z Sambora. W międzyczasie trochę się to grono zmieniało, więc była też Marysia Niedożytko z Kołodziejówki, Michalina Woproszkiewicz, Antoni Kuś i inni.

W tym czasie i ja otrzymałam posadę również w Ostapiu. A jak to się stało?

W 1929 roku zdałam maturę w gimnazjum humanistycznym i wstąpiłam na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, na polonistykę.

Był to trudny okres powojenny i rodzicom było ciężko utrzymać mnie we Lwowie, dlatego ojciec poradził mi, żebym zrezygnowała z polonistyki i przeniosła się na PKN (Państwowe Kursy Nauczycielskie) we Lwowie. Był to roczny kurs dla absolwentów gimnazjalnych uzupełniający przedmioty pedagogiczne. Posłuchałam Ojca i bardzo dobrze na tym wyszłam, bo na dyplomie na nauczyciela miałam same bardzo dobre oceny i z kuratorium dostałam zawiadomienie o mianowaniu mnie nauczycielką w Ostapiu. Przy okazji inspektor szkolny powiedział ojcu, że swoją pracą zasłużył na to, żeby córkę mieć przy sobie.

Moja mama poszła wtedy na przyspieszoną emeryturę ze względu na stan zdrowia, a ja weszłam na jej miejsce. Zawód nauczycielki bardzo polubiłam. Kochałam dzieci, kochałam pracę, a miałam ją bardzo urozmaiconą, bo będąc w gimnazjum chodziłam równocześnie do szkoły muzycznej, gdzie nauczyłam się gry na skrzypcach, co mnie, jako nauczycielce bardzo się przydało. Będąc już nauczycielką, pojechałam w czasie wakacji do Lwowa na kurs dla „Dyrygentów i Reżyserów teatrów ludowych”...

* * *

Tyle swoich wspomnień zostawiła moja mama. Pisała je kiedy miała 89–90 lat, ale przerwała, kiedy zachorował mój tato. Potem już do tych pisanych wspomnień nie wróciła. Ale im bardziej zbliżała się do tej drugiej strony życia, tym więcej wspominała Połupanówkę, tym bardziej za nią tęskniła, tym więcej za nią płakała, a ja coraz bardziej czułam i rozumiałam, że były to najbliższe jej sercu czasy, strony, niezapomniane miejsca.

Pewnej kwietniowej nocy, w tym samym kwietniu, w którym odszedł nasz Papież, „bez uprzedzenia” odeszła moja mama. [...] W tym żalu, smutku, tęsknocie za mamą myślałam, co mogłabym dla niej jeszcze teraz zrobić, co było jej największym pragnieniem? Zobaczyć Połupanówkę, tym bardziej że w swoich wspomnieniach zaraz na wstępie napisała: „wiem, że nigdy jej nie odwiedzę”. [...] Pomyślałam, że nie mogę tam jechać z przypadkową wycieczką, tylko to powinni być ludzie, którzy są z Kresami sentymentalnie mocno związani. Powędrowałam zatem do Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Okazało się, że Koło Tarnopolan organizuje właśnie wycieczkę do Lwowa i na Podole i jest jeszcze kilka wolnych miejsc. Pomyślałam – Boże, przecież Tarnopol to ok. 30 km od Połupanówki. Jest więc taka możliwość (przyjmując, że mama jest cały czas przy mnie), że kiedy tam dotrę, mama będzie tam ze mną i zobaczy te swoje ukochane miejsca.

16 sierpnia 2006 roku rozpoczęła się moja niepowtarzalna pielgrzymka do Połupanówki, ale i wielu innych miejsc, o których słyszałam w wielu wspomnieniach moich rodziców, a także, a może szczególnie do

Lwowa, w którym to pięknym, polskim mieście urodził się mój tato, brat i ja (w 1943 roku). [...]

Nadszedł ten dzień, w którym miało spełnić się moje ogromne pragnienie [...]. To była niedziela. Początkowo planowałam, że pojadę do Połupanówki autobusem, ale pomogła mi Pani Roma [Żukowa, organizatorka wycieczki]. Po mszy św. poprosiła księdza o pomoc, tzn. o wskazanie kogoś, kto mógłby mnie tam zawieźć. A ksiądz od razu powiedział: to trzeba poprosić Wasyla [...] który okazał się wspaniałym człowiekiem. Dzięki niemu tam byłam, rozmawiałam z mieszkanką Połupanówki, która pamiętała mojego dziadka, a przede wszystkim dzięki temu, że ma doświadczenie w pomaganiu ludziom, którzy przyjeżdżają w takie bliższe strony, wie co jest najważniejsze.

Przyjechaliśmy pod kościółek na „świętej górze” około 11. Msza św. miała być odprawiana o 12. Wobec tego zaczęłam spacerować po śladach mojej mamy [...], dzięki mamy opowieściom czułam się tak, jakbym była tu wiele razy. Nie było dla mnie obcych miejsc.

Ale najgłębiej przeżyłam swój pobyt w kościele. Przed mszą przy jednym z bocznych ołtarzy zapaliłam znicz, który przywozłam z Krakowa. [...] przecież w tym kościółku moja mama i jej bracia byli chrzczeni, przecież tam przychodziła na msze św. niedzielne. Po mszy poprosiłam księdza, aby odprawił mszę św. w intencji mojej mamy, tam w tym kościele, do którego wydawało jej się, że nigdy nie wróci, a jednak wróciła. Inaczej. Czy to nie jest wspaniałe? [...]

Po mszy św. pojechaliśmy jeszcze do szkoły, która jest w tym samym miejscu, choć już inna. Ale to nic; jest sad, jest ogród, jest rów, są pola, są skałki i jest wszystko jak we wspomnieniach mojej Ukochanej Mamy.

Anna Stengl

Moi rodzice:

Wanda Stengl, z d. Hubert, ur. 10 I 1911 w Połupanówce, zm. 25 IV 2005

Henryk Stengl, ur. 11 XI 1911 we Lwowie, zm. 6 IX 2002 w Krakowie

Podaję jeszcze dane o rodzicach mojej mamy:
Józefa Hubert, z d. Świrska, ur. w 1888 r. we Lwowie
Maksymilian Hubert, ur. w 1887 r. w Krakowie

Adam Trojanowski

TAM, GDZIE ZEŁEMIANKA

Wspomnienie niespójne

Prawie 75 lat temu miałem po raz pierwszy spędzić wakacje letnie bez rodziców. Ustalono wspólnie, że tym razem pojedę do Zelemianki, gdzie wujostwo Lubczyńscy mieli swój domek wypoczynkowy, zbudowany bliźniaczko z posesją prof. Szklarczyka. Wuj był profesorem Seminarium Nauczycielskiego we Lwowie, a prof. Szklarczyk jego kolegą po fachu. Szklarczyk został zaarrestowany w 1940 r. przez bolszewików za udział w organizacji niepodległościowej, a następnie skazany na więzienie i deportację. W kwietniu 1941 r. spotkał się z nim w stepach Karabasu mój ojciec, także tam deportowany po wyroku.

Żona wuja była rodzoną siostrą mojego ojca, więc związki rodzinne były bliskie, a opieka zapewniona.

Wyjazd przyjąłem z pewnymi oporami, a nawet strachem, kusił mnie jednak pobyt w ładnej okolicy, w towarzystwie jednego z dzieci wujostwa, Janusza, mojego rówieśnika oraz kolegi w Ćwiczeniówce. Pewne obawy budziła świadomość, że rodzina Lubczyńskich była wybitnie mięsożerna, podczas gdy ja gustowałem w potrawach mącznych i słodyczach.

Na kilkudziesięciodniowy pobyt zostałem wyposażony z domu w niewielką wyprawkę, do której należał ulubiony i jakże potrzebny scyzoryk, a ponadto kilkukilogramowa paczka kryształowego cukru w kostce. Kilka kostek nosiłem stale w kieszonce moich wyprawowych, szczególnie mocnych spodenek, zapewniających mi swobodę działania w każdych warunkach polowych. Paczka była wykonana z mocnej, niebieskiej tektury z wizerunkiem cukrowni Lubomirskich w Chodorowie. Uderzający był na nim budynek fabryczny z kominami, z których przenikał w atmosferę czarny dym. Miał on podkreślać potęgę chodorowskiej cukrowni, dziś zaś jest to oczywisty dowód niskiego poziomu techniki cieplnej.

Jazdę do Zelemianki odbyłem pociągiem w towarzystwie moich aktualnych opiekunów. Jechaliśmy oczywiście 3. klasą, więc

na ławach drewnianych. Nie było to oczywiście żadną przeszkodą lub utrudnieniem dla malca, który tkwił bez przerwy przy oknie, oglądając mijane krajobrazy. Uczulano mnie na ochronę oczu przed iskrami unoszonymi z komina lokomotywy.

Pierwszą większą stacją był oznaczony podwójną nazwą Mikołajów-Drohowyże. Niedaleko przepływał Dniestr, największa w pobliżu Lwowa rzeka. Tam to uczestniczyłem o wiele później w kursie kajakowym, urządzonym przez lwowski AZS. W tamtejszych warunkach było możliwe praktyczne poznanie zasad korzystania z kajaka, przy nieoczekiwanych, zmiennych nurtach rzeki. [...]

Przez pofałdowane tereny zagospodarowane rolniczo zajechaliśmy do Stryja. Z tamtejszej stacji węzłowej odchodziły boczne linie kolejowe w kierunku Drohobycza oraz Stanisławowa. Było „szybowanie” pociągów i nowa uciecha dla ciekawskiego chłopaka. Za Stryjem, w okolicach Symowódzka, wjechaliśmy w dolinę rzeki Opór i po obu stronach zaczęły się pojawiać pokryte lasami góry, czyniąc okolicę coraz ciekawszą. A do tego jeszcze kilka mostów stalowych, na których pociąg dudnił, pobudzając dodatkowo moje fascynacje. Wreszcie pojawiła się stacja Skole, a w niej rozległy tartak należący, jak wynikało z napisu, do

Widok na Paraszkę. Fot. A. Trojanowski



tamtejszych potentatów leśnych, baronów, braci Groedłów. Potem był jeszcze Hrebaków i już znaleźliśmy się na mizernym przystanku Zelemianka.

Kilka lat później jechałem ze Lwowa w tym samym kierunku, jednak samochodem osobowym, a więc tzw. drogą bitą. Wtedy to zajechaliśmy do małej miejscowości Kamionka, na wschód od owej trasy, kilkanaście kilometrów za Synowódzkiem, nad małym dopływem rzeki Opór. Był to „świat zabity deskami”, ale przez to krajobrazowo wspaniały, wśród niekończących się lasów na tamtejszych, słabo zaludnionych górach. Miał miejsce oczywiście biwak, ognisko oraz wspaniała atmosfera rodzinnego pikniku, o którą wuj Klaudiusz Filasiewicz, organizator tej imprezy, zawsze umiał zadbać.

Trasa samochodowa przebiegała z grubszą tak jak linia kolejowa, przekraczając ją kilkakrotnie, a także ponad rzekami i potokami. Droga była utwardzona walcowanym kamieniem, który ulegał systematycznemu niszczeniu okutymi kołami zaprzęgów konskich, tworząc potężne dziury oraz wyboje. Podczas suszy ciągnęła się za samochodami olbrzymia biała chmura pyłu osiadającego na podróżnych.

O stan tych dróg dbali tzw. dróżnicy, czyli lokalni mieszkańcy, ubrani w mundury robocze, a co najważniejsze, wyposażeni w brązowe rogatywki z orzelkiem. Byli przecież członkami miejscowej służby państwowej o określonym zakresie obowiązków, ale i władzy. Byli lokalnie osobami znaczącymi. Ich budki dróżnicze znajdowały się przy drodze co kilka kilometrów i tam przechowywano sprzęt roboczy lub chroniono się w przypadku podłej pogody. Każdy dróżnik miał obowiązek przechodzić codziennie przydzielony mu odcinek drogi i reperować osobiście drobniejsze uszkodzenia lub czynić to wraz z przydzieloną mu doraźnie grupą robotników, gdy chodziło o większe uszkodzenia. Wzdłuż drogi znajdowały się charakterystyczne przyzmy tłuczni, kształtowane starannie celem umożliwienia obliczenia jego ilości. Tłuczeń był produkowany na miejscu z większych otoczków rzecznych, rozbijanych specjalnymi młotkami na długich, sprężystych trzonkach jałowcowych, przeważnie przez tutejszych Cyganów. Praca ta była szczególnie ciężka, ale poszukiwana – jako bieżąco potrzebna i zapewniająca zarobek w tej biednej krainie.

Tamtejsze, pozamiejskie tereny górskie – z grubsza biorąc od rzeki San na zachodzie po rzekę Łomnica na wschodzie – za-

mieszkiwali Bojkowie. Byli spokrewnieni z Łemkami, zamieszkującymi na zachód od Sanu, aż do okolic Żegiestowa, a nawet Szczawnicy. Z drugiej strony terenów bojkowskich zamieszkiwała inna grupa etniczna, a mianowicie Huculi, aż w okolice Czarnohory. Cała ta ludność, żyjąca na północ od łuku Karpat, posługiwała się w większości własnymi gwarami, należącymi do tak zwanego wtedy języka ruskiego. Charakteryzowała się ona zróżnicowaną obrzędowością oraz kulturą materialną, a łączył ją obrządek greckokatolicki, drażniony już wtedy usilnie działaniami cerkwi prawosławnej. Obrazem zróżnicowania były m.in. uroczyska cerkiewki łemkowskie, jakże inne stylowo od niemieckich pięknych, lecz w odmiennym stylu – cerkwi huculskich.

Jako ciekawostkę podaję, że w późnych latach 30. jeden z pułków piechoty został wyposażony częściowo w galowe mundury zawierające elementy huculskich strojów ludowych, w tym charakterystyczne kapelusze z szeroką, kolorową „krajką” oraz pęczkiem piór z ogona cietrzewia. Ten zabieg, podobnie jak budzenie świadomości przynależności do tzw. szlachty zagrodowej, był o wiele lat spóźniony i problematyczny.

Bojkowie zajmowali się na swoich ubogich terenach gospodarką hodowlaną, a szczególnie leśną. Ich specjalnością był także prowadzony w miastach handel owocami, w tym morelami, sprowadzanymi z terenów Słowacji. Owoce te udawały się na terenie ówczesnej Polski jedynie w okolicach Zaleszczyk, były więc w kraju towarem poszukiwanym. Na ulicach miejskich spotykało się ubogich Bojków, zajmujących się drutowaniem garnków glinianych, dzisiaj już zupełnie nieznanym. Wołaniami ze szczególnym zaśpiewem prezentowali swoje usługi na ulicach i podwórkach. Ubierali się ubogo, ale mężczyźni nosili charakterystyczne, filcowe, ciemnobrązowe kapelusze o podwyższonym denku i z małą kryzą.

Tereny zamieszkiwane przez Bojków były politycznie spokojniejsze niż te koło Sokala lub Rawy Ruskiej. Tam działalność parochów greckokatolickich podsyciała antypolskie nastroje ludności, kształtowane coraz mocniej przez Organizację Nacjonalistów Ukraińskich, nawet poprzez mordy polityczne.

A na przystanku Zelemianka było cicho, pusto i biednie. Mało kto wysiadł z pociągu,

bo ruchu turystycznego tutaj prawie jeszcze nie było, zaś ludność lokalna z kolei, z różnych powodów, nie korzystała. Jakże inna była sytuacja nagminnie spotykana wówczas na wszystkich stacjach kolejowych, począwszy gdzieś od Delatyna, poprzez Jaremcze, Miluliczyn, Tatarów, aż do Worochty. Tam było wręcz obowiązkiem towarzyskim gromadzenie się letników na stacjach kolejowych, „przy pociągu”. Znaczny tłum tworzyli w dużym stopniu Żydzi, nawet ci w chasydzkich strojach. Gdy kierownik pociągu dawał znać chorągiewką i gwizdkiem znak odjazdu, a lokomotywa sapnęła kilka razy parą i dmuchnęła kłębem czarnego dymu, zebrani na stacji zaczynali zgodnie wykrzykiwać jak wściekli: *Hules! Hules!* Był to tradycyjny gest pożegnania, wywodzący się rzekomo od pamiętnego przed laty rozpaczliwego wołania jakiejś Żydówki, której mąż podczas odjazdu gdzieś się zawieruszył. A nazywał się on właśnie Hules. Tyle tradycja, która minęła bezpowrotnie.

W Zelemiance po odejździe pociągu i uniesieniu szlabanu minęliśmy z lewej strony pawilonik intensywnie działającej na terenie Małopolski spółdzielni „Masłosojuz”, i kierując się na południe, boczną drogą doszliśmy szybko na miejsce wspólnego pobytu.

Domek wujostwa był położony blisko Zelemianki, która wkrótce już jako znaczny potok wpadała do rzeki Opór. Ona to stanowiła dla mnie i Janusza miejsce najczęstszych zabaw, jak spiętrzanie wody przez budowanie zapór z kamieni rzecznych, ustawianie młynków wodnych własnej, wystruganej z drewna konstrukcji, oraz uprawianie bezpiecznych kąpiel. Nad rzeką, w jej zakolach, budowaliśmy przy brzegu baseny, do których zapędzaliśmy małe rybki, by obserwować ich dramatyczne ruchy. Ponadto w naszym programie były jeszcze pijawki, żaby, traszki, salamandry, a nawet żmije. Tych ostatnich baliśmy się, a zwłaszcza miedzianek, byliśmy bowiem przekonani, że po



Zelemianka nad Oporem, między Hrebenowem a Tuchlą. Fragment mapy WIG, 1936

ich ukąszeniu musi nastąpić śmierć. W lesie, nad Oporem, obserwowaliśmy rzadko spotykane czarne bociany. Blisko godzin południowych, gdy termika była intensywna, pojawiały się zwykle samotne kanie, które charakterystycznie kwiląc, krążyły cudownie bez drgnienia skrzydłem. Oprócz tego rozpaliliśmy ogniska, przy których potrafiliśmy przebywać godzinami i zgłaszać się w domu dopiero w okolicy obiadu lub kolacji. Nikt się nami nie przejmował, było bezpiecznie, a więc hulaj dusza! Nieraz lubiałem jednak zasiąść samotnie nad brzegiem potoku, pomiędzy zaroślami, i tam obserwować zmienny jego nurt. Miejscami Zelemianka była spokojna, rozlana po kamieniach i tam obserwowałem pstrągi zmierzające za żerem. Miejscami była niespokojna, przeskakując przez porohy oraz głazy, przy znacznych zafalowaniach i szumie. Wokół rozchodził się szczególnie, pieprzowy zapach lepiężnika. W takich sytuacjach wracałem, mimo całego piękna, tęsknymi myślami do moich rodziców we Lwowie, czując

wokół siebie chwilową samotność i pustkę. Patrząc znad Żeleńki ku północy, tam gdzie Skole, jaśniała połoninami wyniosła Paraszka, na wschodzie natomiast czerniał zarośniętymi lasami, ponury Żelemin.

Po drugiej stronie Żeleńki znajdował się duży płaski teren trawiasty, na którym rokrocznie rozstawiali swoje namioty kolejne obozy Przystosowania Wojskowego ze Lwowa. Obserwowaliśmy zbiórki, raporty oraz ćwiczenia, a nawet sporadyczne ostre strzelania. Olbrzymią radość sprawiała nam jazda na platformach kolejki wąskotorowej, należącej do lokalnego leśnictwa w ramach własności wspomnianych już baronów Groeńców. Przez budowę odpowiednich dróg oraz kolejek wąskotorowych umożliwiony był racjonalny dostęp do tych coraz bardziej odległych obszarów. W ciągu dnia w określonych porach karłowata lokomotywka parowa ciągnęła w górę zestaw pustych platform i za jakiś czas wracała z nimi, załadowanymi olbrzymimi i długimi pniami.

Wiedząc, kiedy kolejka jest w górach, porywaliśmy cichcem jedną z pustych platform ze składowiska i toczyliśmy jak najdalej w górę. Potem, korzystając ze znacznego pochylenia trasy kolejki, jechaliśmy w dół. Jadąc we dwójkę w dół, osiągnęliśmy szybko dosyć duże szybkości w sposób naturalny, tak że chwilami należało hamować przez dociskanie wieszonemu ze sobą drąga do któregoś z kół. Ten nielegalny proceder uprawialiśmy długo, przez nikogo nie płoszeni.

Skole i Hrebenów stanowiły już w początkach XX wieku miejsca odwiedzane przez dosyć licznych letników, przybywających tam na tzw. „świeże powietrze”, a było ono faktycznie bardzo świeże i zdrowe. Zaskakiwać może fakt, że znaczny odsetek tamtejszych letnich przybyszy stanowili wtedy Żydzi, i to ci zachowawczy, z pejsami, brodami, ubrani bardzo swoiście. Oczywiście nie było ich tam tak wiele, jak było to możliwe zobaczyć w sezonie „u wód”, czyli w Krynicy lub Szczawnicy. Tak zachowawczo dostrzegający świat Izrealici potrafili robić nie tylko skomplikowane interesy finansowe, ale zadbać także o swoje zdrowie i wypoczynek.

Wspomniane miejscowości posiadały już wtedy stosowną infrastrukturę wypoczynkową, istniały więc wille oraz pensjonaty na

okresowy wynajem. Żeleńka była pod tym względem zacofana, niemniej istniał i tam zespół wiliowo-pensjonatowy „Szmańterówka” – od nazwiska właściciela.

Linia kolejowa przebiegała z Żeleńki dalej na południe, w stronę Tuchli, pomiędzy Oporem oraz drogą jezdnią, aż wreszcie pojawiał się tunel, do którego nigdy nie udało mi się dotrzeć, mimo że bardzo mnie interesował, jako coś dotychczas niewidzianego. Było tam poprostu za daleko na samotną wyprawę, nawet z Januszem.

Jeszcze dalej leżała miejscowość Sławsko, znana już wtedy, a nawet wcześniej i bardzo dobrze urządzonej jako baza wypoczynkowa dla narciarzy, korzystających z tamtejszych, niezwykle dogodnych stoków. W sezonie kursowała tu ze Lwowa „Lux-Torpeda”, czyli specjalny zestaw spalinowy. Był urządzonej wewnątrz jak kabina samolotu, a więc wyposażony w lotnicze fotele. Ponadto był zapewniony pełny komfort jazdy z dużą prędkością i małą ilością przystanków. Z zewnątrz był pomalowany w górnej części błękitnie, zaś z dołu jasnokremowo. Pierwszy taki zestaw pojawił się jeszcze wcześniej na linii z Krakowa do Zakopanego. Oprócz tego w zimie kursował także zestaw wagonów pulmanowskich pociągu parowego o nazwie „Dancing-Narty-Bridż”. Można było w nim potańczyć w wygodnym pomieszczeniu lub pościć towarzyskiego brydża, a także coś niecoś przegryźć i popić. W takich to warunkach można było szybko, wygodnie i przyjemnie dotrzeć na górskie szlaki narciarskie, a potem tak samo wrócić.

Sławsko było najszybciej osiągalną ze Lwowa miejscowością narciarską, gdyż znajdowało się o ok. 140 km, podczas gdy do Worochty było już ze Lwowa prawie 250 km.

Po kilku tygodniach pobytu w Żeleńce wróciłem do Lwowa zdrowy, wypoczęty i zahartowany, pełen wspaniałych wrażeń.

Niespójne jest to moje wspomnienie. Pod nawałą powrotu przeróżnych wrażeń z młodości naruszam w nim ciągłość czasu, a nawet miejsca. A Żeleńka toczy nadal swoje bujne wody przez mielizny, kamieńce, rozlewiska i spiętrzenia głazów. Szmerze, pluszcze, bulgoce i szumi, ale już nie dla mnie!

Kraków, styczeń 2006

Z tamtych lat, z tamtych dni (2)

dokończenie ze s. 16

w naukowej bibliotece naszej uczelni przy ul. Supińskiego. Gospodarz biblioteki p. Nowicki swoją uprzejmością zachęcał zawsze do częstych odwiedzin. Wielokrotnie nasze wiadomości kontrolował prof. Szczudłowski, rzucając nieoczekiwane pytania z zakresu mojej pracy doktorskiej, zwłaszcza wtedy, kiedy chwycił nas na gorącym uczynku gry w szachy z doc. Morawem z ukrytą szachownicą – w stole ambulatoryjnym. Namawiał nas wtedy zawsze o zwiększenie wysiłku dla zdobycia wiedzy, która procentuje najlepiej – niezależnie od panującego reżimu. Przyniekaliśmy wtedy solennie poprawę, ale cichaczem robiliśmy dalej to samo.

W maju lub czerwcu 1940 r., siedząc na ławeczce Ortopedii, zaskoczeni zostajemy nagle niecodziennym widokiem. W dwukonnej bryczce powożonej przez sowieckiego żołnierza na tylnym siedzeniu był cywil w otoczeniu trzech uzbrojonych w karabiny nadziane bagnetami NKWDzistów. Surowy wyraz ich twarzy i zapięte pod brodami paski świadczyły o bardzo urzędowym charakterze wizyty. Cywil trzymał większą laboratoryjną kolbę wypełnioną bladeżółtym płynem. Cywilem okazał się dr Brill, późniejszy profesor bakteriologii w SGGW, płyn zaś rozpuszczonym rivanolem. Przybywa na uczelnię szukając obrotu. Został bowiem podejrzany o sabotaż spowodowany użyciem płynu, po którym doszło do upadku leczonych cieląt. Oczekujemy długo na wynik ekspertyzy. Niepokój udziela się innym i grono się powiększa. Badania z wprowadzonym cielętom dożylnie rivanolem przeprowadzają: doc. Hamerski i Parnas. Długie wyczekiwanie zakończone zostają pomyślnym dla „sabotażyści” wynikiem ekspertyzy. Widocznym tego znakiem jest zdjęcie pasków z bród żołnierzy oraz bagnetów z karabinów. Także swobodniejszy wyraz ich twarzy oraz uśmiech dr. Brilla świadczą o pozbyciu się tego wspólnego koszmaru. Teraz żołnierze pozwalają zbliżyć się do „podejrzanego” i kontynuować rozmowę.

W dalszych tygodniach polepsza się nieco sytuacja żywnościowa, wybitnie wzmocniona zbiorami ziemniaków z działki oraz łagodniejszym przebiegiem zimy. Zbliży się także wcześniejsza wiosna. Prawdziwie i długo oczekiwana Wiosna Ludów 1941 r. Mnożą się wszystkie znaki na niebie i ziemi,

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

ANTONIÓWKA

Osada w pow. stryjskim, wojew. stanisławowskim, powstała na terenach folwarcznych w ruskiej wsi Jajkowce, wykupionych w 1903 r. przez ks. Antoniego Trzopińskiego, proboszcza z pobliskiej Kochawiny. Ks. Trzopiński sprowadził tam sto rodzin kolonistów z Podhala, z Sidziny (z której pochodził) oraz z Zawoi i uzyskał dla osady status oddzielnej wsi (liczyła ok. 800 mieszkańców). Zadał również o kościół dla osadników, adaptując do celów kulturowych jeden z gospodarczych budynków folwarku. Powstały w ten sposób kościół został poświęcony w 1904 r. i otrzymał wezwanie św. Antoniego Padewskiego. Był to prosty budynek ceglany na planie prostokąta z drewnianym gankiem od wschodu przed drzwiami wejściowymi i dobudowaną ośmioboczną wieżyczką na sygnaturkę. Jako plebania służyć miało obszerny dwór. W 1907 r. na plebanii zamieszkało dwóch świeżo przybyłych, pierwszych w Polsce pallotynów, przyjętych przez ks. Trzopińskiego na prośbę abpa Józefa Bilczewskiego. Ks. Trzopiński powierzył im obsługiwanie kościoła. Rychło stała się Antoniówka siedzibą pierwszego polskiego domu nowicjackiego zgromadzenia. Kształtowaniu powołań służyć miało utworzone już w 1908 r. niższe seminarium duchowne, mające status gimnazjum. Naukę rozpoczęło w nim 12 chłopców pochodzących ze wszystkich zaborów. W 1913 r., z powodu tarć z ks. Trzopińskim, pallotyni opuścili Antoniówkę, przenosząc nowicjat do Bochni, a niższe seminarium do Wadowic.

W 1923 r. Antoniówka stała się samodzielną parafią, niezależną od parafii kochawinińskiej, której filią była od 1912 r. Kościół parafialny w Antoniówce zamknięto w 1946 r., po wyjeździe miejscowej ludności polskiej. Budynek kościelny zamieniono na magazyn zboża, dzieląc wnętrze na dwie kondygnacje i wybijając

▶ że coś się dzieje. Moi współlokatorzy obarczają mnie coraz większą ilością ulotek, przygotowując do wspólnej zbrojnej akcji. Coraz częściej nie wracają na noc. Ulotki, zgodnie z obowiązującą zasadą, „w kioskach” dostarczam tylko bardzo zaufanym, nawet Rusinom – kolegom Zającowi i Sawczukowi. Byłem zdumiony, kiedy pewnego dnia zjawił się u mnie doc. Grzycki, a odciagnąwszy mnie na bok powiedział: – *Fredziu, włóż mi w prawą kieszeń mego fartucha swoją receptę.* Chodził zawsze w czarnym aksamitnym laboratoryjnym fartuchu. Zaryzykowałem, zwłaszcza że kontakty doc. Grzyckiego z dyr. Czinczenką były coraz częstsze i doc. Grzycki częściej odwiedzał go w rektoracie. Według „swego”, wizyty takie i przeprowadzane rozmowy odbywały się zawsze przy drzwiach zamkniętych od wewnątrz. Dyr. Czinczenko nie pozwalał wpuszczać w tym okresie nikogo. Po wyjściu doc. Grzyckiego czuć było zawsze wyraźnie spaleniżnę i papier w popielniczce. Obydwaj należeli do niepalących.

W mieście coraz bardziej wzrasta niepokój. Oblegane są sklepy spożywcze i monopolowe. Wódka, o którą wręcz staczane są bójkі w taśmowych kolejkach, staje się najchętniej poszukiwanym towarem, za który wszystko można dostać, zwłaszcza na wsi. Z okolicznych wsi i miasteczek do Lwowa uciekają Żydzi. U Polaków wzrasta dobre samopoczucie. Radio z Farmakologii zostaje wyniesione na stryszek kuźni. Słuchamy go z równoczesną własną obstawą. Po uczelni zaczynają się znowu waleśać żołnierze, a na Klinice Położniczej mamy pierwszego na uczelni pracownika naukowego. Jest nim z Charkowa doc. Kołyński. Jego narodowa ukraińska koszula upstrzona barwnymi zygzakami i krzyżakami z typowym opasającym szyję kołnierzem wskazuje na Ukraińca, ale przy rudych włosach i wymowie rzuca podejrzenie na rasowego Żyda. W kilka dni po przybyciu rozwiązujemy wspólnie poród u krowy.

Dalszy ciąg w następnym numerze

Jadwiga Wanda Kuczabińska (Czerniowce)

LWÓW I BUKOWINA

Życiorys i wspomnienia Polki

Dokończenie z CL 1/07

Gdy ojca zabierano z domu, prosił matkę, żeby starała się nauczyć mnie grać na fortepianie – to było jego marzeniem. Podczas arestowania skonfiskowano wszystkie instrumenty, więc ojciec martwił się realizacją swego marzenia. Ale matka uważała za święty obowiązek wykonać prośbę męża. Jeszcze nie wiedziała, jak to wykona, przeto zwróciła się o poradę do ks. Krajewskiego. Czemu właśnie do niego? Bo z przyjściem sowieców na Bukowinę Polacy, którym nie udało się wyjechać do Polski, skupili się już na stałe wokół kościoła i dwóch księży Polaków – ks. Franciszka Krajewskiego i ks. Józefa Jędrzejewskiego. Na plebanii stał mało używany fortepian, ofiarowany parafii przez zmarłą samotną parafiankę. Od czasu do czasu grała na nim siostra księdza proboszcza p. Olga Krajewska, która zgodziła się dawać mi lekcje gry na fortepianie. Uzgodniono, że ćwiczycę będę też na plebanii. Tak w piątym roku życia zaczęła się moja przyszła droga zawodowa. Uczyłam się grać i tak jakoś się stało, że od rana do wieczora przebywałam na plebanii lub w kościele (miało to z jednej strony dobry wpływ na wychowanie dziecka, lecz z drugiej strony pamięć dziecięca zachowała z tych czasów pewne sprawy po latach dopiero zrozumiałe). Przebywanie całymi dniami w kościele było rezultatem mojej ciekawości do gry na organach. Od pierwszego razu, gdy usłyszałam uroczysto-majestatyczne brzmienie, instrument ten stał się moją obsesją. Po zakończeniu rannych i wieczornych nabożeństw kręciłam się po zakrystii, czekając tylko chwili, żeby księża odeszli na plebanie, a kościelny miał jeszcze dość pracy, i wtedy biegłam na chór. Stopniowo dzień za dniem sama odkrywałam możliwości tego wspaniałego instrumentu na podstawie gry na fortepianie (bodźcem do drogi

Wspomnienie

na organy była nauka gry na fisharmonii, która stała na plebanii obok fortepianu). Widać że robiłam niezłe postępy w tej samouprawie, bo już wiosną 1948 r. proboszcz pozwolił mi zagrać na organach całe nabożeństwo (miałam zaledwie 7 lat!). Chyba jakieś przeznaczenie od dzieciństwa, bo było to 3 Maja! W rodzinie świętowano ten dzień bardzo tajemnie jako dzień Święta Polskiego, a potem i jako święto rodzinne w intencji spełnienia marzenia Ojca.

Od 3 maja 1948 r. przez 10 lat byłam uznawana przez parafian za organistkę naszego kościoła parafialnego. W ciągu tych lat objeżdżałam z księżmi tajemnie wszystkie wioski z fisharmonią na furach, docierając wszędzie, gdzie mieszkali Polacy, żeby na święta i odpusty słowo Boże było z Nimi. W tych ciężkich czasach nasi kapłani, odezwani od Polski, samotni, prześladowani, nieśli Polakom Słowo Boże. I choć na nabożeństwa przychodzili też wierni innych narodowości (Rumuni, Ukraińcy, Rosjanie – miewszane małżeństwa) – Słowo Boże brzmiało tylko w języku polskim. Dlatego oburza mnie fakt, że dziś w kościele parafialnym kazania, Ewangelia, modlitwy, pieśni (a w Storożycu nawet całe duszpasterstwo, które prowadzi ksiądz z Polski Stanisław Irisik) brzmią w języku ukraińskim.

Oprócz moralnego zadowolenia, że potrafię już wykonywać pracę dorosłej osoby, i zachwytu, jakie dawało granie na organach (przy tej muzyce, którą odtwarzałam, czułam się w innym świecie – w niebiosach), był to czasami skromny zarobek w postaci mleka, kilku jajek, kawałka masła, sera (nawet tortu za zagrany ślub – wtedy w domu był prawdziwy bal!). Zanosilaam je do domu i stawalo się to urozmaiceniem naszego staloego, zbyt skromnego menu. Czasem bardzo się poszczęściło i wpadło parę groszków. Te pieniążki były nietykalnym zasobem, bo zarobione przez małe dziecko. Czekaly więc na sposobny moment realizacji. W tym czasie w naszym domu była taka bieda, że najbardziej potrzebne rzeczy stawały się rozkoszą. Więc czulaam się naprawdę księżniczką, gdy za uciulane grosze mamie udało się kupić mi pierwsze ładne prawdziwie skórzane buciczki. Były one koloru czerwonego i choć nigdy nie cierpiałam jaskrawych kolorów, a do tego jeszcze taki kolor dla obuwia, wtenczas był to dla mnie ósmy cud

w elewacji dwa rzędy okien. Po jakimś czasie przekazano go na szkołę. Obecnie, po wybudowaniu nowej szkoły, budynek należy do jej obejścia.

Przerobiony na plebanię dwór został rozebrany na początku lat dwudziestych XX w. ze względu na zły stan techniczny (zawilgocenie). W 1925 r. zbudowano na jego miejscu nowy jednopiętrowy budynek.

DASZAWA

Wieś w pow. stryjskim, wojew. stanisławowski, położona w odległości 10 km na wsch. od Stryja, nad potokiem Bereznica. Znana dzięki złożom gazu ziemnego, który doprowadzany był do Lwowa.

W 1. połowie XIX w. właścicielami Daszawy byli Feliks i Stanisław Dobrzańscy, a w 2. połowie tego stulecia Felicja z Dobrzańskich Sozańska. Wieś należała początkowo do parafii rzym.kat. w Rudzie, a następnie do parafii w Kochawinie. Po śmierci F. Sozańskiej proboszcz kochawiński ks. Jan Trzopiński wykupił tereny dworskie przeznaczone do parcelacji i odsprzedawał je zubożałym rodzinom polskim, aby zapobiec ich emigracji. Część gruntów zachował zaś jako beneficjum dla przyszłej parafii. Status parafii w Kochawinie Daszawa otrzymała w 1903 r. Rok później ks. Trzopiński sprowadził do wsi salezjanów, którzy założyli tu swój drugi w Polsce zakład, wykorzystując w tym celu zabudowania podworskie. W 1906 r. ks. Trzopiński przy pomocy zakonników wybudował pierwszy prowizoryczny kościół. Była to kaplica w formie wydłużonego prostokąta, przybudowana do boku salezjańskiego zakładu.

Podczas I wojny światowej zakład zamieniono na szpital polowy. W latach 1919–20 niszczone był przez oddziały ukraińskie i bolszewickie. W 1921 r. Ukraińcy spalili tutejsze zabudowania gospodarcze. Po przywróceniu spokoju przez władze polskie salezjanie rychło podźwignęli swój zakład ze zniszczeń, a w latach 1928–29 powiększyli go o nowy budynek, przeznaczony na internat.

W 1923 r. Daszawa została uniezależniona od parafii kochawińskiej. Pierwszym proboszczem nowej parafii był salezjanin, kościołem parafialnym zaś przyzakładowa kaplica pw. św. Rodziny. W 1936 r. przystąpiono do budowy

świata. Zamiast je nosić, długi czas spałam z nimi, nie wypuszczając z rąk, jak z lalką, której nigdy nie miałam. A więc okres dzieciństwa: bez ojca, bez elementarnych warunków dla normalnego rozwoju, bez odczuwalnej miłości, jaka jest potrzebna dziecku w dzieciństwie (był zbyt surowy czas, który nie pozwalał na rozczulanie się), bez zabawek i towarzystwa dziecięcego (otoczenie było obce), lecz do dziś jestem szczerze wdzięczna matce właśnie za ten pruski rygor wychowania, który dał mi hart do borykania się z losem, gdy zostałam bardzo wcześniej całkiem sama.

1948–1958 – to lata nauki w szkole rosyjskiej. Znajdowała się ona akurat naprzeciw naszego kościoła parafialnego, tak że bardzo łatwo łączyłam codziennie grane msze poranne z lekcjami w szkole. Nauczyciele szkoły o tym wiedzieli, ale nigdy na ten temat nie było żadnych uwag. Równolegle uczyłam się w szkole muzycznej. W muzyce dużo zależy od tego, u jakiego nauczyciela zaczyna się pobierać naukę. W tych latach sławą w państwowej Szkole Muzycznej w Czerniowcach cieszyła się profesor Margaret Goldenberg (Żydówka), mająca dyplom Wiedeńskiej Akademii Muzycznej. Dodatkowym walorem dla przyszłych muzyków było to, że pani profesor pracowała równolegle w szkole i liceum muzycznym. Tak, że jeżeli ktoś zaczynał u niej naukę w szkole (a uczniami jej klas mogli być tylko najbardziej uzdolnieni – miała oficjalne prawo do wyboru), mógł być pewny, że po szkole dostanie się do liceum, po zakończeniu którego był zawód z dyplomem.

Dostać się do klasy pani profesor nie było prosto. Podając dokumenty do szkoły, w sekretariacie mama przypadkiem dowiedziała się, że pani profesor poszukuje gosposi do prowadzenia domu. Zgłaszając się do pracy, mama została przyjęta natychmiast – zdecydował o tym fakt, że pani mogła ze służącą rozmawiać po niemiecku. Warunki pracy u tej pani były po prostu niewolnicze. Do obowiązków gosposi należało: być w pracy od 8 rano do 10 wieczorem, od podawania śniadania do odejścia gospodarzy do snu, w tym: gotowanie, sprząatanie, pranie bez prawa zjedzenia w ciągu dnia resztek z pańskiego stołu. Po wielu latach opowiadali mi znajomi, że widzieli na ulicy, jak matka szła trzymając się ścian z głodu, tak była osłabiona. Lecz było to poświęcenie się matki dla przyszłości dziecka. W tym właśnie był przejaw wielkiej miłości do dziecka, o czym ja

dowiedziałam się po latach. Takie było realne życie kobiety bez męża, samotnie wychowującej dziecko.

Ojciec wrócił z Sybiru w marcu 1953 r. i był w domu tylko 3 dni. W określonym terminie musiał zameldować się w nowym, wyznaczonym przez władze miejscu zamieszkania (we wsi o 200 km od Czerniowiec), bez praw obywatelskich i zmiany adresu w ciągu 5 lat. Z tego powodu nasza rodzina nie mogła skorzystać z warunków i drugiej repatriacji do Polski w 1956 r. (pierwsza była w latach 1945–1946). W międzyczasie ciotka wyjechała w 1955 r. do córki do Polski, zostawiając dom pod opieką matki. Dopiero od marca 1958 r., po 13 latach rozłąki, byliśmy rodziną w pełni. Zaczynało układać się wspólne rodzinne życie. Ojca w mieście znali i pamiętali jako świetnego fachowca od strojenia fortepianów, dlatego od razu został zatrudniony jako stroiciel w Liceum Muzycznym i Filharmonii Czerniowieckiej. Od tej chwili w rodzinie był stały zarobek. Oprócz pracy oficjalnej było dużo zamówień od klientów prywatnych. Wśród nich ojciec trafił na samotną staruszkę, która miała stary wiedeński fortepian (z podpisem strojenia pradziadka i dziadka) i nie wiedziała, co z nim robić. Została przez ojca namówiona do sprzedaży i w ten sposób fortepian ten znalazł się w naszym domu (kupiono go za grosze, bo był w bardzo lichym stanie). Muszę tu zaznaczyć, że ucząc się w szkole muzycznej i już nawet rozpoczynając naukę w liceum muzycznym, jeszcze nie miałam w domu własnego instrumentu (pierwszy rok studiów ćwiczyło się w liceum od godz. 6 rano do 9, a wieczorem od 18 do 22). I właśnie ten na razie stary grat był pierwszym dla mnie od rodziców prezentem. Po pół roku, dzięki mistrzostwu ojca, stał się pięknym, doskonałym, salonowym fortepianem, który służy mi do dziś. Był relikwią dla ojca, a teraz jest nią dla mnie. Gdy już odczuję, że nie będę mogła z niego korzystać, zostanie przekazany dla Domu Polskiego.

Życie codziennie szło swoim trybem – praca, dom, nauka, ale niedziela od powrotu ojca była przeznaczona na spotkanie z rodziną moich rodziców chrzestnych, a bardzo wielkich przyjaciół moich rodziców. Te niedzielne spotkania (latem trwające cały

dzień, połowę dnia w rozkosznych sadzie) były jedyną atrakcją naszego monotonnego życia. Dla ojca były one szczególnie cenne i potrzebne, bo u nich było radio i dzięki temu wiedział, co się w świecie dzieje. To, że my nie mieliśmy radia w domu, nie świadczyło o braku pieniędzy na zakupienie lub o skąpstwie, lecz w ojcu trwał nieustanny strach przed donosami, a w tym wypadku o to, że mając radio w domu, może słuchać stacji zabronionych.

Tak jak kiedyś z rodzinnego domu cała rodzina wyruszała co niedziela po południu na spotkania do Domu Polskiego, tak dla nas w tym czasie Domem Polskim był dom rodziców chrześniwych. Mieszkali na przedmieściu i długi pieszy spacer dobrze nam służył po tygodniowej pracy. Po prawie godzinny marszu zjadaliśmy wszystko, co podawała gospodyni, a po rozmowach na różne tematy o określonej godzinie po południu następowała najważniejsza część spotkania – słuchanie radia „Wolna Europa”. Przed włączeniem radia gospodarze dokładnie kontrolowali szczelność pozamykanych drzwi, zasłoniętych okien, a w podwórzu spuszczano z łańcucha wielkiego i groźnego wilczura. W razie nadejścia nieproszonego gościa był czas na zmianę sytuacji – radio miało przygotowany schowek, a pośrodku pokoju zawsze stał przygotowany stół z talią kart i zakąskami, które pod koniec spotkania z apetytem zjadano. Podczas słuchania „Wolnej Europy” w pokoju panowała święta cisza, nie padało żadne słowo bo uwaga obecnych była skoncentrowana na tym, co mówi radio. Po zakończeniu konkretnej audycji następowała dyskusja i każdy dopełniał to, co usłyszał, a czego inni nie mogli zrozumieć z powodu silnych zakłóceń. Z uchem przy odbiorniku po raz pierwszy usłyszałam słowo „Katyń”, co ono znaczy dla Polaków, i całą prawdę o współczesnej tragicznej historii narodu polskiego. Bez ostrzeżeń rodziców rozumiałam, że to, o czym dowiaduję się z tych audycji, nie powinna wiedzieć oprócz mnie żadna żywa dusza. Nawet w domu nigdy nie dyskutowano na te tematy. Od tego czasu żyłam podwójnym życiem – z tą moją skrytą wewnątrz prawdą, o której nie miałam prawa mówić głośno, i tą wiedzą – antyprawdą, którą starano się mi wbić do głowy w szkole, a którą ja zewnątrz musiałam akcep-

nowego, odpowiadającego potrzebom kościoła, zaprojektowanego przez arch. Wawrzyńca Dayczaka. Na fundusz budowy składali się parafianie, w tym okoliczne ziemiaństwo, firmy „Gazolin” i „Polmin”, a także salezianie. Do chwili wybuchu II wojny światowej kościół (na planie prostokąta o dł. 51 m) był już prawie gotów (brakowało wieży). Dzisiaj po kościele tym nie ma – poza zachowanym projektem – żadnego śladu. Został on ok. 1956 r. całkowicie rozebrany. Kaplica przy zakładzie salezjańskim po opuszczeniu Daszawy przez zakonników zamieniona została na magazyn miejscowej szkoły. Obecnie użytkowana jest jako sala gimnastyczna.

Po II wojnie światowej władze sowieckie zwiększyły wydobycie gazu ziemnego, budując magistralne gazociągi z Daszawy do Kijowa, Mińska, Rygi i Moskwy, a także do Polski. Ostatnio wydobycie jest już niewielkie, gdyż złoża zostały wyeksploatowane.

JASIEŃ GÓRNY

Wieś w pow. kosowskim, wojew. stanisławowskim. Parafia rzym.kat. w Kosowie, odległym o 30 km, parafia gr.kat. w miejsc. u.

W XIX w. właścicielami wsi była rodzina Straszewów. W 1882 r. stanowiła już własność wiedeńskiego Towarzystwa dla Płodów Leśnych.

KOZICE

Wieś w pow. lwowskim, wojew. lwowskim, położona 12 km na płn.zach. od Lwowa, na wys. 334 m n.p.m. (w części środkowej wsi). Na krańcach płn. i pld. teren obniża się i przechodzi w podmokłe łąki, których wody zbiera potok Domażyń. Przez pld. część wsi przechodzi droga Lwów–Janów. Parafia rzym.kat. była w Janowie, gr.kat. w Domażyrze, ale wieś miała cerkiew filialną.

Za czasów I Rzeczypospolitej Kozice stanowiły dzierzawę królewską. W połowie XVIII w. należały do Szymona Szeptyckiego, cześnika królewskiego. W 1811 r. nabył je na licytacji dr Jan Manań. Dalszych informacji historycznych brak.

PASIECZNA (pow. stanisl.)

Wieś w pow. stanisławowskim, wojew. stanisławowskim, położona nad Bystrycą, w od-

tować. W duszy byłam dumna z tego, że posiadam tajemnicę i że jestem nie taka jak wszyscy wokół, bo jestem Polką.

W 1958 roku ukończyłam szkołę powszechną – 10 klas. Według wyników nauki i zdanej matury miałam otrzymać złoty medal, co ułatwiłoby (bez egzaminów wstępnych) dostanie się na studia wyższe. W siedemnastym roku życia już na własnej skórze odczułam skutki reżimu stalinowskiego. Przed otrzymaniem świadectwa maturalnego wezwano mnie do dyrektora szkoły. W gabinecie obok dyrektora siedział gość w mundurze wojskowym (a był to oficer wysokiej rangi z NKWD), który zadał mi pytanie, czy wiem gdzie był mój ojciec. Odpowiedziałam bez zaskoczenia, że wiem, bo wiem nigdy nie wstydziłam się tego, że ojciec był w więzieniu, wiedząc przecież, że nie był żadnym przestępcą, a tylko Polakiem. Padło następne pytanie, czy chcę dalej studiować? Odpowiedziałam pozytywnie, dodając wzmiankę o karierze naukowej (miałam uznane zdolności do nauk ścisłych). Na to padł werdykt wypowiedziany ostrym tonem: „dzieci wrogów narodu władza sowiecka kształcić nie pozwoli”.

Medalu za wyniki nauki nie otrzymałam – na świadectwie maturalnym pojawiła się trójka. Postawił ją nauczyciel, który tymczasowo wykładał kreślenie. On poddał się rozkazom NKWD i zrobił to, czego odmówili inni nauczyciele (zaniżenie ocen). Jak się okazuje na tak prostym przykładzie życiowym, i w tych czasach, oprócz wyjątków, byli ludzie porządni z poczuciem sprawiedliwości i nie bojący się konsekwencji.

Decyzją „pana w mundurze” droga na uniwersytet została dla mnie zamknięta. Tego „pana” pamiętam do dziś. A długie lata często spotykaliśmy się oko w oko na mieście. Ja widziałam go z daleka, bo był facetem bardzo wysokim i zawsze chodził w tym samym mundurze. Gdy zbliżaliśmy się do siebie, ja uporczywie patrzyłam mu w twarz z nachalnym półuśmiechem, a on szybko przechodził na drugą stronę ulicy. Widać, że też pamiętał. A mnie rozpieęła diabelska radość, bo uciekał przed moim spojrzeniem. Była to dla mnie ogromna satysfakcja!

W tym samym czasie co historia z maturą doszła nagonka na Kościół. Ks. Krajewskiemu zabroniono wykonywać obowiązki

kapłana, a do tej sprawy dołączono i mnie jako organistkę. Był to bardzo trudny okres dla duszpasterstwa. Podczas kazań księży obserwowali NKWDziści, uważnie słuchali każdego wypowiedzianego zdania. Mimo ostrożności, postawiono ks. Krajewskiemu zarzut negatywnego wpływu na młodzież, bo namawiał do niszczenia przyrody, skoro na procesji Bożego Ciała w kościele sypano na podłogę kwiaty i liście. Zarzucano, że Kościół źle wpływa ideologicznie na wychowanie młodzieży. Ks. Krajewski w 1958 r. otrzymał zakaz odprawiania nabożeństw oraz głoszenia kazań. Musiał podjąć pracę zarobkową (za bezrobocie groziło więzienie), bo „u nas kto nie rabotajet, tot nie kuszajet”. Parafianie znaleźli mu pracę w charakterze dozorca. Z funkcją stróża był związany 10 lat. W tym czasie obowiązki proboszcza parafii pełnił ks. Józef Jędrzejewski.

W stosunku do mnie zastosowano metodę zastraszenia: żadnych studiów ani pracy, jeżeli nie przestanę chodzić do kościoła. Gdy matka zwróciła się o poradę do ks. Jędrzejewskiego, odpowiedź była następująca: „Pan Bóg jest wszędzie, modlić się można w domu. Najważniejsze – mieć Boga w sercu. A żyć trzeba i na życie zarobić też”.

Równoległe ze szkołą powszechną miałam ukończoną szkołę muzyczną. W mieście było liceum muzyczne, w którym jako stroiciel fortepianów zaczął pracować ojciec. Dyrektor liceum (Rosjanin) bardzo cenił ojca jako świetnego fachowca i widząc mój dyplom szkoły muzycznej z wynikami celującymi, zaproponował przyjęcie mnie do liceum (nawet bez egzaminów), chociaż na pewno wiedział, że bardzo ryzykuje. Lecz i wśród Rosjan byli uczciwi ludzie. Nawiązując do tego, chcę podkreślić, że za sowietów, gdy szłam po ulicy z matką, a potem z ojcem i rozmawialiśmy po polsku lub po niemiecku, nikt nigdy nie pozwolił sobie – nikomu to do głowy nie przychodziło – zwrócić komuś uwagę, że rozmawia inaczej niż po rosyjsku. Dzisiaj dość często zdarzają się uwagi z podkreśleniem: „jecie ukraiński chleb i ukraińskie sardło, a rozmawiać po ukraińsku nie chcecie”, a w pracy jeden z pracowników (osoba z wyższym wykształceniem – inteligent) pozwolił sobie zauważyć: „szkoda, że my was, Lachiw, za mało wyriżały”.

W 1962 roku ukończyłam liceum muzyczne. W tym czasie była prowadzona na

szeroką skalę kampania wysyłania absolwentów wszystkich uczelni do pracy „na celinu” do Kazachstanu. Bojąc się tego zesłania, dzięki ojcu, który wykonywał prace stroicielskie także w teatrze, udało mi się, będąc jeszcze studentką liceum w 1960 r. rozpocząć pracę w teatrze jako pianista-koncertmistrz, gdzie pracuję do dziś, będąc już na emeryturze (44 lata pracy).

Matka zmarła 24 grudnia 1966 r., ojciec w 1968 r., też w dzień Bożego Narodzenia. Od chwili śmierci matki świat przestał istnieć dla ojca. Tak jak łabędź umiera z tęsknoty za ukochaną, tak mój ojciec odszedł do matki. Zostałam sama. Możliwości wyjazdu do Polski już nie było, a mogło być całkiem inaczej przy odrobinie dobrej woli ze strony najbliższych. Jesienią 1966 r. podczas pobytu z matką w Krakowie u ciotki (siostry matki – żony Antoniego Kuczabińskiego) zaręczyłam się z kolegą mego kuzyna. Ustalono zostało, że na Nowy Rok przyjedzie do Czerniowiec i pobierzemy się. Niestety, raptowna śmierć matki pokrzyżowała wszystkie plany. Odwołałam jego przyjazd. Po roku, gdy narzeczeństwo było nadal aktualne, do ślubu znowu nie doszło, bo nie mogłam zostawić ojca samego. Na moje prośby o możliwym teraz wyjeździe do Polski padała ze łzami odpowiedź: „Na Sybirze prosilem Boga, żeby moje kości leżały obok moich rodziców”.

Gdy zmarła matka, na pogrzeb przyjechała ciotka z Krakowa i mieszkała z nami na paszporcie konsularnym aż do śmierci ojca. Po śmierci ojca, gdy zostałam w tym kraju całkiem sama, z tym samym nazwiskiem co ciotki, jej decyzja mogła zmienić cały mój dalszy los. Trzeba było tylko złożyć podanie do konsulatu. Lecz, jak się okazało, zabrakło najbliższej osobie chęci pomocy i odwagi. Był to dla mnie po maturze kolejny cios życiowy. Żal do rodziny pozostał do dziś, ale niech im Bóg wybaczy i niech z Bogiem spoczywają. Choć zapomnieć ciężko, bo będąc w latach późniejszych w sprawach polonijnych w Polsce, usłyszałam z ust senatora zwrócone do mnie następujące słowa: „Gdyby miała Pani dziś lat dwadzieścia i była w Polsce, czekałaby Panią świetna kariera”. Cóż mi było na to odpowiedzieć? Że rada by dusza do raju, ale grzechy nie puszczaają, a serce do dziś rwie się i boli.

Po śmierci rodziców zostałam zupełnie sama. Zdaje mi się, że życiowym trudnościom mogłabym zawsze jakoś poddać, ale

ległości 4 km na płn. od Stanisławowa. Przechodzi tędy droga ze Stanisławowa do Katusza.

Należała do parafii rzym.kat. w Stanisławowie i była własnością jej proboszcza. Parafia gr.kat. miała swoją siedzibę na miejscu.

PASIECZNA (pow. nadwórn.)

Wieś w pow. nadwórniańskim, wojew. stanisławowskim, położona 13 km na pld.zach. od Nadwórnej, nad Bystrzycą Nadwórniańską. Należała do parafii rzym.kat. w Nadwórnej. Parafia gr.kat. była na miejscu.

Znajdowały się tutaj niewielkie złoża ropy naftowej, eksploatowanej już w XVIII w. W 2. połowie XIX w. łączono z nimi wielkie nadzieje jako z „przyszłym naszym Eldorado”. Pod koniec stulecia właścicielem Pasiciecznej był wiedeński Boden-Credit-Anstalt. Pasicieczna posiadała także pewne, wciąż eksploatowane, złoża gazu ziemnego.

W latach 30. XX w. we wsi nad brzegiem Bystrzycy odbywały się obozy dla hułców przy sposobienia wojskowego (PW), podległych dowództwu 48 pułku piechoty w Stanisławowie.

Na opuszczonym cmentarzu polskim zachował się w złym stanie, pozbawiony napisu, pomnik żołnierzy II Brygady Legionów. W r. 2000 pomnik zrekonstruowano staraniem Nadwórniańskiego Społecznego Klubu „Opieka”.

PEREHIŃSKO

Położenie. Wieś w pow. dolińskim, wojew. stanisławowskim, odległa 24 km od Doliny, ujęta od wsch. Łomnicą i jej dopływem, potokiem Lachów, a od zach. Mszaną i jej dopływami. Wieś bardzo rozległa – na przeł. XIX/XX w. mierzyła 50 km od krańca pld. (513 m npm.) do płn. (456). Parafia rzym.kat. znajdowała się w Roźniatowie, gr.kat. w miejscu. Były tam dwie cerkwieki, parafialna i filialna.

Historia. W dziejach Perehińska jest kilka niejasności. Około r. 1400 książę Fiodor Olgierdowicz założył tu klasztor bazylianów i zapisał im całość należących do wsi gruntów. Według późniejszych wiadomości stanowiła już własność katedralnej cerkwi halickiej. W niewiadomych dziś okolicznościach przeszła jako zastaw w ręce świeckie. Przed 1531 r. Maciej Gembicki z Kuropatnik pod Brzeżanami wyku-

samotności boję się panicznie. I dlatego w 1969 r. zdecydowałam się wyjść za mąż. Niestety nie za Polaka (w rodzinie męża tylko babka była Polką), bo chłopaki mego wieku, Polacy, w tym czasie już wszyscy byli żonaci, ale czemuś żaden z nich nie ożenił się z Polką. Z doświadczenia dziś przeżytego życia mogę stwierdzić, że mieszane małżeństwa na Wschodzie – to wynarodowienie się Polaków. Dotychczas nie spotkałam żadnego narodowościowo mieszanego małżeństwa mego pokolenia nie tylko na Bukowinie, lecz i w innych regionach tego państwa, gdzie by w domu panował na co dzień język polski. W domach panuje język ukraiński lub rosyjski, a na tym tracą dzieci, bo języka polskiego nie znają zupełnie lub słabo i nie ma mowy o tym, żeby czuli się Polakami. Przewidując taką sytuację, świadomie zrezygnowałam z dzieci. Gdyby żyli rodzice, byłoby komu wychować wnuków w duchu polskim. Ku pamięci swego rodu nie zmieniłam nazwiska panieńskiego.

1976–1981 – to lata studiów zaocznych na Akademii Muzycznej we Lwowie. Lwów dla mnie był i pozostaje miastem polskim. W dzisiejszych realiach to: Polska blisko, Polaków dużo, Łyczaków (gdzie jest grobowiec rodzinny), dwie polskie szkoły, konsul RP. Gdy powstało we Lwowie w 1988 r. Towarzystwo Kultury Polskiej, zaczęła mnie nurtować myśl o zorganizowaniu Polaków bukowskińskich.

Pierwsze rozmowy rozpoczęłam z siostrzeńcem ks. Krajewskiego p. Janem Drozdowiczem, który okazał się bardzo aktywnym pomocnikiem. Dalej przyłączyli się do nas: panie Olga i Elżbieta Fiffar, pp. Leopold Kałakajło, Antoni Pytko, Tadeusz Rogowski. Tak powstała grupa inicjatywna, która opracowała statut Towarzystwa i 24 grudnia 1989 r. o godzinie 14 odbyło się Zebranie Założycielskie. Zostałam obrana prezesem Towarzystwa. Prowadziłam Towarzystwo trzy kadencje (1989–1998). Byłam członkiem Zarządu Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie (dwie kadencje: 1992–1999).

Odpowiedzialną społeczną polonijną pracę podjęłam dla pamięci o moim ojcu, który przecierpiał 8 strasznych lat katongi tylko za to, że był Polakiem. Dzięki temu, że matka wychowała mnie w duchu polskości, dała mi język polski, znajomość literatury

i historii Polski, miałam zapas wiedzy o kulturze polskiej i mogłam rozpocząć pracę w Towarzystwie. Marzeniem było reaktywowanie chóru „Lutnia”, w którym do wojny śpiewał mój ojciec. Spełniło się!

Cieszyło każde osiągnięcie Towarzystwa: zorganizowanie nauki języka polskiego w sześciu oddziałach Towarzystwa, odzyskanie części Domu Polskiego, możliwość oglądania telewizji polskiej, powstanie zespołów polonijnych: chóru „Lutnia” i tanecznego młodzieżowego „Polonez” w Czerniowcach, folklorystycznego Górali Czadeckich „Wianeczek” we wsi Piotrowce Dolne, folklorystycznego Górali Czadeckich „Dolina Seretu” we wsi Tereblacz, dziecięcego folklorystycznego Górali Czadeckich „Dolinianka” we wsi Stara Huta, dziecięcego pieśni i tańca „Kwiaty Bukowiny” w Czerniowcach.

Od 14 grudnia 1998 r. jestem prezesem honorowym Towarzystwa. Jestem emerytką, lecz nadal pracuję.

Całe życie marzyłam i nadal czekam na cud, który pozwoli mi ostatnie lata przeżyć w Ojczyźnie mojej i moich przodków.

W 1993 r. Prezydent RP Lech Wałęsa wręczył mi we Lwowie Krzyż Kawalerski Orderu Polski Odrodzonej, a Minister Kultury RP w 1996 r., również we Lwowie, medal „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Czerniowce, 2000 r.

Poniższą informację przekazał krakowski „Czas” z 26 września 1906 r.

JUBILEUSZ KÓŁEK ROLNICZYCH

Ze Lwowa piszą nam: Towarzystwo kółek rolniczych obchodzić będzie w roku 1907 uroczyste dwudziestopięciolecie swego istnienia. Na upamiętnienie tego jubileuszu Zarząd główny przystąpił do budowy własnego domu we Lwowie. Pieniądzy na ten cel Zarząd główny może użyć tylko z funduszu żelaznego Towarzystwa, na który składają się jednorazowe wkładki (200 kor.) członków założycieli. Na ich listę wpisali się w ostatnim czasie: namiestnik Andrzej hr. Potocki, prezes Akademii Umiejętności w Krakowie Stanisław hr. Tarnowski, dr Jan Hupka z Niwisk i Leon Horodyski z Tłusteńskiego; namiestnik hr. Potocki zamiast 200 złożył 1000 kor. wkładki.

Z żałobnej karty

W połowie kwietnia odeszło dwóch wybitnych Lwowian, zasłużonych dla kultury polskiej drugiej połowy XX i początku obecnego wieku.



ANDRZEJ KURYLEWICZ, znakomity muzyk – zrazu jazzman, puzonista, później pianista, kompozytor, dyrygent. Urodził się w 1932 r. we Lwowie. Jego ojciec zginął w Starobielsku, matka umarła, gdy miał lat 8. Po ekspatriacji

znalazł się w Gliwicach, tam rozpoczął naukę muzyki; studia w PWSM w Krakowie.

Debiutował jako jazzman. Potem był dyrygentem orkiestry Polskiego Radia i Telewizji w Warszawie. Prowadził kolejne zespoły, koncertował w wielu krajach Europy i Ameryki. W 1967 r. wraz z żoną Wandą Warszawską otworzył Piwnicę Artystyczną na Rynku Starego Miasta w Warszawie.

Skomponował muzykę do wielu filmów i sztuk teatralnych, a w późniejszych latach tworzył muzykę poważną. Na koncert *Homagium Leopoli* w Krakowie w 1994 r. przygotował specjalnie utwór *Sonata Leopolda per Archi**.



JERZY JANICKI, znany dramaturg, scenarzysta, dziennikarz i pisarz, twórca kilkudziesięciu słuchowisk radiowych i programów telewizyjnych.

Urodził się w 1928 r. w Czortkowie, młodość spędził we Lwowie.

Napisał kilka książek o Lwowie i lwowiakach, w ostatnich latach prowadził w TV *Rozmowy lwowskie*. Czynny w środowisku ekspatrianckim w Warszawie, był pierwszym prezesem tamtejszego oddziału TMLiKPW.

Media szeroko omawiały i opisywały życie i twórczość Jerzego Janickiego bezpośrednio po jego śmierci (i nie tylko), jest to więc postać w całym środowisku dosko-

pił zastaw Perehińska od Zbożnego z Paniowa i trzymał tę wieś razem ze swym synem Janem. W 1548 r. król Zygmunt I zezwolił Makaremu, biskupowi halickiemu, na wykup wsi z rąk Gembickich. Sprawa wykupu ciągnęła się bardzo długo, a wieś w tym czasie uważana była za królewszczyznę. W każdym razie w 1571 r. Mikołaj, zapewne drugi syn Macieja Gembickiego, piszący się już Kuropatnicki, otrzymał zgodę na scedowanie Perehińska na swego syna Wojciecha. W 1593 r. Wojciech Kuropatnicki ugodził się ze Stanisławem Żółkiewskim i Gedeonem Bałabanem, prawosławnym biskupem lwowskim, halickim i kamienieckim, opiekunami Aleksandra Bałabana, bratanka biskupa, i przekazał mu Perehińsko. Po śmierci Aleksandra Bałabana w 1638 r. król Władysław IV nadał wieś królewską Perehińsko swemu dworzaninowi Janowi Stanisławowi Jabłonowskiemu. Opór stawili Jabłonowskiemu bazylianie, którzy rościli sobie prawa do wsi, oraz ich zarządca Jerzy Bałaban, starosta trembowelski. Jabłonowski zajął wieś siłą, ale Bałabanowi udało się przepędzić jego rządcę. Dopiero po drugim zajeździe Jabłonowski osadził się we wsi, a król odrzucił skargę Bałabana, potwierdzając prawa Jabłonowskiego. W 1656 r. Jerzy Bałaban na prośbę prawosławnego biskupa lwowskiego Arseniego Żeliborskiego złożył oświadczenie, że wieś od dawna należy do cerkwi halickiej. Wynikiem tego był znowu długo ciągnący się spór, rozstrzygnięty dopiero przez sejm w 1690 r. na korzyść cerkwi halickiej. Kilka dni później Stanisław Jan Jabłonowski zawarł ugodę z Józefem Szumlańskim i ustąpił Perehińsko cerkwi halickiej. W tym samym roku Jan III, na prośbę bpa Szumlańskiego, zezwolił na jarmark roczny w Perehińsku. Nie był to jednak koniec sporów o prawo własności do wsi. W XVIII w. wystąpili o nie bazylianie, czego wynikiem był długi proces z biskupem gr.kat. Lwem Szeptyckim. Werdykt sądu wydany w 1780 r. był korzystny dla biskupa. Od tego czasu właścicielem wsi było lwowskie arcybiskupstwo gr.kat.

Odkrycie pokładów rudy żelaznej skłoniło abpa Antoniego Angielowicza w 1810 r. do wybudowania 14 km na płd.zach. od zabudowań Perehińska wielkiego pieca i osady dla robotników, którzy mieli pracować przy wydobywaniu

SYLWETKI

ZAPOMNIANY BOHATER ZE LWOWA

W związku ze zbliżającą się 90. rocznicą wyzwolenia Krakowa po przeszło 100 latach niewoli i rocznicą napaści Ukraińców na Lwów w 1918 roku chcę przypomnieć mojego wuja podpułkownika artylerii WP, Ludwika Iwaszkę, który wtedy był porucznikiem w armii austriackiej.

Ludwik Antoni Iwaszko urodził się 24 marca 1894 we Lwowie, a zmarł 22 czerwca 1975 w Warszawie i tam został pochowany.

Szkolę średnią wraz z maturą ukończył w Stryju. Był słuchaczem Wydziału Prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie zaliczył 6 semestrów. Był też absolwentem Akademii Handlowej w Krakowie. W latach 1912–14 należał do organizacji niepodległościowej „Zarzewie” na terenie miasta Stryja.

W 1914 r. został wcielony do armii austriackiej i rozpoczął służbę w Szkole Oficerskiej Artylerii w Pradze czeskiej. W okresie walk 1914–18 był dwukrotnie ranny. 1 maja 1918 roku uzyskał stopień porucznika artylerii. Koniec wojny zastał go w Przeszowie.

Tam przyszła do niego delegacja czeska, pytając go, czy będzie przeszkadzał w wyzwoleniu miasta. Odpowiedział im, że jako Polak jest sercem z nimi i pomoże im. W podzięce dano mu do dyspozycji pociąg, którym przywiózł do Krakowa Polaków służących w tamtejszych oddziałach. Zatrzymali się w koszarach przy ul. Wielickiej, po których już dzisiaj nie ma śladu.

Jesienią 1918 r. imperium Habsburgów rozpadło się. Narody monarchii austro-węgierskiej zaczęły się starać się o odzyskanie niepodległości. W Galicji w październiku 1918 r. w salach magistratu krakowskiego trwały rozmowy między członkami Komisji Likwidacyjnej a przedstawicielami wojska austriackiego w mieście. Złączone siły polskie wynosiły 2 tysiące żołnierzy, gdy tymczasem Austriacy w Twierdzy Kraków dysponowali 12-tysięczną armią. Austriacy chcieli mieć czas na wywiezienie z miasta wszystkich zapasów żywności, broni i amunicji, dlatego obrady przeciągały się. Młodzi oficerowie armii austriackiej pochodzenia polskiego postanowili to przerwać i wziąć sprawę we własne ręce. W godzinach wieczornych w kawiarni Michalika zebrali się, aby opracować plan działania. Wybrali porucznika Iwaszkę na dowódcę „czynu zbrojnego”. Był on człowiekiem o niezwykłej charakterze, gorącym patriotą. Posiadał gruntowne wykształcenie wojskowe i przywózł z Czech bardzo dużą grupę żołnierzy. Skontaktował się też z dezertierami z Puszczy Niepołomickiej.

Panie przez całą noc szyły dla naszych wyzwolicieli biało-czerwone kokardy. Wiem, że wśród nich były córki profesora Bujwida.

Prawobrzeżny Kraków został opanowany przez Polaków. W późnych godzinach wieczornych 30 października 1918 r. mosty między Krakowem i Podgórzem zamknięto, a naza jutrz o 6 rano ruszyło nasze wojsko na Kraków. Na czele szedł por. Ludwik Iwaszko. Był ponury, dżdżysty dzień. Młodzi ludzie szli z radością i nadzieją.



► nale znana. Piękne o nim wspomnienie przedstawił w Polskim Radiu Jerzy Matuszkiewicz, muzyk, jego współpracownik i lwowski krajan. Znane są też jego liczne książki.

Obaj żyli i tworzyli przez lat kilkadziesiąt w Warszawie, tam zmarli.

* A. Kurylewicz nie był bezpośrednio zaangażowany w działalność naszego środowiska, ale zawsze swoją lwowskość podkreślał. Właśnie tego wyrazem było poświęcenie Lwowowi specjalnie skomponowanego utworu, wykonanego w Filharmonii Krakowskiej oraz w Katedrze Łacińskiej we Lwowie.

Wojsko to pobłogosławił ks. Meris. Żołnierze byli gotowi stoczyć bitwę i przelać krew za Polskę. Nikt nie przypuszczał, że wszystko się tak szczęśliwie skończy. Porucznik Ludwik Iwaszko wszedł z wojskiem do śródmieścia ulicą Starowiślną, a por. Stawarz szedł ul. Kalwaryjską i Krakowską. Współuczestniczyli w tym porucznicy Gawron, Stec, Zajączkowski i jeszcze inni. Tuż po przekroczeniu mostu na ulicę Starowiślną jacyś nieznani entuzjaści weszli na potężne ramiona mostu, zdjęli olbrzymiego dwugłowego orła i wrzucili do Wisły wśród oklasków tłumów. Po drodze przy Poczcie Głównej do oddziału przyłączyli się Polacy z Policji Wojskowej. Wszyscy ruzyli na plac Matejki, gdzie przy pomniku Grunwaldzkim por. Iwaszko przemówił do tłumów. Przejął także komendę wojsk austriackich i inne obiekty wojskowe. Uwolnił więźniów politycznych.

Następnie oddział ruszył w stronę Rynku, skąd było już słycać orkiestrę kolejarzy.

Por. Iwaszko ze swoim oddziałem udał się na Odwach. Nadszedł też specjalny pluton z Podgórza do objęcia pierwszej warty na Odwachu. Zjawił się też starszy mężczyzna ze stowarzyszenia rękodzielników. „Gwiazda” i ze łzami w oczach wręczył dowódcy plutonu por. Zajączkowskiemu polski sztandar. Komendę na Odwachu sprawował wówczas chorąży Alojzy Mosler z 33 pułku strzelców austriackich. Por. Iwaszko zażądał od warty austriackiej oficjalnego przekazania służby oddziałowi polskiemu. Austriacy oddali ostatni hołd swojemu sztandarowi i odeszli. Por. Iwaszko przemówił do tłumów – panował szalony entuzjazm. Zachowało się zdjęcie z tej chwili.

Orkiestra grała „Mazurka Dąbrowskiego” i dały się słyszeć potężne dźwięki dzwonu Zygmunta. Następnie wszyscy śpiewali „Boże coś Polskę”. Po godz. 14 przed Odwachem zajechał gen. Benigny. Wysiadł z powozu, stanął na baczność przed polskim sztandarem, oddał mu honory wojskowe, po czym uściśnął dłoń porucznika Iwaszki i por. Zajączkowskiego. W mieście władzę objął legionowy płk. Roja. Austriacy skapitulowali.

Por. Iwaszko niedługo pozostał w Krakowie. Pośpieszył na pomoc miastu, w którym się urodził. Już 2 listopada wyjechał jako dowódca pociągu pancernego na odsiecz

i wytopie żelaza. Plan arcybiskupa został zmarnowany przez zarządcę przedsiębiorstwa Józefa Hakera. Po śmierci abpa Angelowicza fabryka działała jeszcze do ok. 1818 r. Zamknięto ją, gdy przekonano się, że niskiej jakości tutejsza ruda nie nadaje się do wytopu.

W 2. połowie XIX w. w Perehińsku pracowało kilka tartaków postawionych nad Łomnicą, w których wyrabiano deski i gonty do krycia dachów. Drewno spławiano rzeką lub przewożono założoną tu leśną linią kolejki. W okolicy Perehińska znajdowały się również wielkie pokłady torfu.

ZIELONA (stanisł.)

Wieś w pow. nadworniańskim, wojew. stanisławowskim, położona 21 km na płd.zach. od Nadwórnej, u źródeł Bystrzycy Nadworniańskiej, na zach. od Dory. Od strony płd. znajdują się szczyty Czarnej Kliwy (1723 m n.p.m.) i Gropy (1763), od strony płd.-wsch. Doboszanka (1757), należące do pasma Gorganów.

Parafia rzym.kat. była w Nadwórnej, gr.kat. w miejscu, z cerkwią pw. św. Dymitra. W sąsiedztwie cerkwi znajdował się stary cmentarz polski (zachowany szczątkowo).

Wieś Zielona istniała już w 1. połowie XVIII w. W 1739 r. obozował tutaj legendarny rozbójnik huculski Oleksa Dowbusz (Dobosz). Pod koniec XIX w. pracował tu tartak parowy produkujący rocznie 16 000 m³ różnego rodzaju desek z drewna jodłowego i świerkowego.

Na cmentarzu polskim przetrwał pomnik z inskrypcją (w połowie odłamana): *Bohaterom II Żelaznej Brygady poległym w latach 1914–1915. Cześć ich pamięci.* W r. 2000 staraniem Nadworniańskiego Społecznego Klubu „Opieka” pomnik został poddany konserwacji, a brakującą część napisu zrekonstruowano.

ZIELONA (tarnop.)

Wieś w pow. skałackim, wojew. tarnopolskim, położona w dolinie potoku Przewrocie, dopływu Gnilej, w odległości 18 km na płd.wsch. od Skalatu. Parafia rzym.kat. znajdowała się w Toustem, gr.kat. w miejscu.

Z historii miejscowości znana jest tylko jedna data: 14 kwietnia 1611 r., kiedy to Adam Hieronim Sieniawski uzyskał potwierdzenie własności miasteczka Touste i wsi Zielona.

Po zajęciu Krakowa 31 X 1918 tłumy krakowian zebrały się na Rynku Głównym. Spod odwachu (przy wieży ratuszowej, rozebranego po II wojnie) przemówił por. L. Iwaszko.



ukochanego Lwowa, który bronił się przed Ukraińcami. Pozostał tam aż do czasu wyzwolenia miasta.

Na linii Kraków–Przemyśl stały dwa pociągi pancerne i na pewno to zdecydowało, że linia ta nigdy nie została opanowana przez Ukraińców. Za działalność tę wuj mój otrzymał Odznakę Orłąt i Krzyż Obrony Lwowa.

Zaraz potem, mimo że dostał przydział pułku w Częstochowie, zgłosił się na ochotnika do walk na Śląsku. Tam walczył we wszystkich trzech powstaniach. Ponadto służył w pułkach artylerii w Modlinie, w Siedlcach i Skierniewicach. Po I wojnie światowej był honorowany w Krakowie. Władze zapraszały go zawsze na uroczystości związane z rocznicą wyzwolenia. Miał wiele odznaczeń wojskowych. W latach 1938–39 został mianowany komendantem Poligonu OC.

15 sierpnia 1939 został mianowany dowódcą 14 dywizjonu artylerii ciężkiej w Biedrusku koło Poznania. Po upadku Polski w 1939 r. został internowany na Węgrzech,

gdzie wziął czynny udział w organizowaniu przerzutu żołnierzy polskich na zachód. Później został wzięty do niewoli niemieckiej. Jakis czas przebywał w Anglii, w końcu wrócił do rodziny w Warszawie.

Po II wojnie światowej pamięć o żołnierzach wyzwolających Kraków i o moim wuju zanikła. W ostatnich latach zainteresowanie tą historią ożyło. Co roku przy wieży ratuszowej w rocznicę wyzwolenia Krakowa odbywają się uroczystości. Niestety władze lewicowe wykreśliły pułkownika Iwaszkę z historii i wykreowały na jedyne go bo-

hatera kapitana Stawarza. Ma on swoją ulicę, zrobiono mu grobowiec, rozgrywany jest bieg o szablę Stawarza. Nawet w telewizji pokazywane jest zdjęcie tłumów zgromadzonych przy odwachu, a oficera, który przemawia, określają jako *n i e z n a n e g o*, a to przecież był mój wuj, który całą akcją kierował. Świadczą o tym zdjęcia z tamtego momentu.

Muszę tu złożyć podziękowanie panu Wojciechowi Kozdronkiewiczowi, przewodniczącemu Dzielnicy I Miasta Krakowa, który zapoznawszy się z dokumentami i zdjęciami, które posiadam, przedstawił z trybuny w czasie uroczystości wierny rys historyczny i zorganizował złożenie wieńca na grobie ppłk Ludwika Iwaszki w Warszawie na Bródnie.

Maria Mokrzcowa

MARIA MOKRZYCOWA, z domu Trolka, ur. we Lwowie, uczyła się w szkole ćwiczeń UJK we Lwowie, gimnazjum i liceum w Krakowie. Studia farmakologiczne na UJ. Prowadziła pracownię w Centrum Krwiodawstwa w Krakowie, obecnie na emeryturze.

PROFESOR ANTONI CIESZYŃSKI

„Gazeta Lekarska” 12/06 poświęciła wspomnienie wybitnemu stomatologowi polskiemu, profesorowi Antoniemu Cieszyńskiemu. Artykuł zaczyna się tak:

W Polsce okresu międzywojennego Lwów był stolicą polskiej dentystryki i sto-

matologii. Jeśli w innych specjalnościach medycznych trwała rywalizacja między równorzędnymi wydziałami lekarskimi uniwersytetów w Warszawie, Krakowie i Lwowie, to w stomatologii Lwów nie miał sobie równej katedry i kliniki w całej Polsce. Błyszczał nie tylko na Polskę, ale na całą Europę. Działo się tak za sprawą jednego człowieka – prof. dr. Antoniego Cieszyńskiego.

WANDA BOBER-MAJCHRZYCKA

Skrócony życiorys Wandy Bober zamieściliśmy po Jej śmierci w CL 3/06, jednak zawierał on kilka błędów. Obecnie otrzymaliśmy szerszą relację z życia Osoby, którą znaleźliśmy w Krakowie od lat, ale tak mało wiedzieliśmy o Jej dramatycznym życiu...

Irena Maria Wanda Bober, ur. 26 I 1918 we Lwowie, córka lwowian: Adama Wiktora Bobera, drukarza, autora *Historii drukarń i stowarzyszeń drukarskich we Lwowie* (Ossolineum 1926), i Marii ze Szmigielskich. Absolwentka Gimnazjum ss. Nazaretanek we Lwowie, harcerka.

Za przynależność do Związku Walki Zbrojnej (później przemianowanego na Armię Krajową) została aresztowana przez NKWD 8 lutego 1940 r. we Lwowie. W więzieniu śledczym (na Zamarstynowskiej) siedziała do rozprawy w dniach 11–12 kwietnia 1940, skąd została przeniesiona do Brygidek. W połowie września 1940 przetransportowana do więzienia w Kijowie (? – Połtawie?), po dwóch tygodniach wysłana na Sybir – łagier w pobliżu miejscowości Wierchnyje Czebuty, rejon Mariński, między Tomskiem a Krasnojarskiem, okręg Nowosybirsk.

Na podstawie amnestii w sierpniu 1941 (po układzie Sikorski–Majski), zwolniona

z łagru 1 września 1941, udała się do Kazachstanu, by 6 IX dołączyć do rodziny (ojciec, matka, ciotka i siostra), wywiezionej ze Lwowa 13 kwietnia 1940 do sowchozu Tas Bułak, rejon Urdżar, okręg Semipałatyńsk.

W marcu 1942 wyruszyła z siostrą do Uzbekistanu, aby wstąpić do Pomocniczej Służby Wojskowej w Guzarze. 10 maja 1942 złożyły przysięgę żołnierską. 15 sierpnia 1942 zostały ewakuowane wraz z Armią Andersa do Iranu przez Morzem Kaspijskie, gdzie lądowały 19 VIII 1942.

Mimo starań nie zdołały zabrać z ZSRR rodziców ani ciotki. Nie przeżyły.

Z wojska, gdzie stale pracowała (p.o. pielęgniarka, kreślarka, maszynistka) mimo ciężkich chorób i bardzo nadwątłego zdrowia, została w 1944 r. odkomenderowana do Bejrutu na stomatologię Uniwersytetu Francuskiego, gdzie zaliczyła trzy lata studiów. Ukończyła je po powrocie do kraju, w Poznaniu. Pracowała kolejno w Zabrze, Nowym Sączu i w Krakowie, w dentyście zachowawczej oraz jako protetyk (spec. II stopnia) – do wieku 72 lat.

Należała do Towarzystwa Lwowian, Kombatantów, Sybiraków i KIK – czynnie. Życie osobiste: małżeństwo z Mieczysławem Majchrzyckim (VI 1955). Urodziny córki VI 1956. Zgon męża VI 1999. Zostawiła Kochającą córkę, zięcia, dwie wnuczki. Zmarła 10 maja 2006 r. Cześć Jej pamięci.

Alicja Bober-Michałowska (siostra)

Był absolwentem dentystryki na uniwersytecie monachijskim w 1905 r. Pracę we Lwowie rozpoczął od asystentury w uniwersyteckim Instytucie Dentystycznym we Lwowie. Wyniki jego badań z dziedziny radiologii i chirurgii szczękowej uczyniły go znany w świecie. [...] Instytut w krótkim czasie przekształcił w Klinikę Stomatologiczną. Tworzył standard programowy studiów, które widział jako pełne studia lekarskie ze specjalizacją stomatologiczną. [...]

W 1923 r. powołał Związek Stomatologów Słowiańskich, obejmujący Polskę, Czechosłowację, Jugosławię i Bułgarię oraz zapoczątkował w jego ramach wymianę publikacji naukowych. Podszedł do tego zagadnienia z taką perfekcją, że z udziałem

językoznawcy prof. W. Taszyckiego opracował zasady transkrypcji tekstów z cyrylicy na zapis łańciski i w kierunku odwrotnym. [...] W tym samym roku utworzył i wydawał własnym sumptem miesięcznik „Polska Dentystryka” [od 1931 r. – „Polska Stomatologia”]. Pismo to – mimo silnej konkurencji pism redagowanych i wydawanych w Warszawie i Krakowie – zdobywa wiodącą rolę zarówno jeśli chodzi o ilość i jakość publikacji naukowych, jak i o problematykę publicystyczną i społeczną.

W 1930 r. we Lwowie obchodzono 30-lecie pracy zawodowej i naukowej prof. dr. A. Cieszyńskiego. Jego idee przypomniano i przypomina się przy okazji każdej dyskusji o dentyście i stomatologii.

Z TAMTEJ STRONY

KOŚCIÓŁ MARII MAGDALENY ZNOWU ATAKOWANY

W marcu wybuchła kolejna afera związana z kościołem św. Marii Magdaleny we Lwowie. Pamiętamy niedawne „zabierzcie swoje maneli” (patrz CL 3/06), teraz ten sam – usunięty podobno (o czym wątpiliśmy od pierwszego momentu) – dyrektor „sali koncertowej” Winnicki powtórzył swoje złośliwości wobec wiernych, czyli prawowitych właścicieli świątyni, i utrudnił im odbycie re-kolekcji. Kilka pań podjęło w proteście gło-

dówkę, a środowisko polskie wystąpiło z listem do prezydenta państwa Ukraina.

Media polskie – prasowe i elektroniczne – podjęły temat bardzo energicznie, w gazetach ukazały się zdjęcia głodujących, a telewizja w *najgorętszym* okresie dostarczała codziennie nowe wiadomości. Bardzo za to dziękujemy.

Można zauważyć, że ten nowy wyczyn nacjonalistów ukraińskich to wątpliwy krok w kierunku przyjęcia państwa Ukraina do Unii Europejskiej. Europa, wydalona stąd przed 68 laty, nie może jakoś tu powrócić. I chyba nawet trudno w pełni obciążać tym sowietów!



POLSCY NAUCZYCIELE OBRADOWALI W DROHOBYCZU

Od p. Adama Chłopka* z Drohobycza dostaliśmy ostatni ubiegłoroczny numer „Głosu Nauczyciela”*** (11–12/06, w numeracji ciągłej 51–52). Pismo ukazujące się od 1999 r., obecnie w Drohobyczu, było niegdyś kwartalnikiem, teraz w zasadzie miesięcznikiem, i obejmuje zarówno problematykę fachową, metodologiczno-językową i historyczną, jak i organizacyjną i społeczną. Omawialiśmy je w CL 4/02, ale od tego czasu wiele się zmieniło.

Najważniejszym, naszym zdaniem, tematem poruszonym w omawianym numerze jest relacja ze spotkania przedstawicieli 10 polskich placówek oświatowych z państwa Ukraina, zarówno szkół państwowych z polskim językiem nauczania, jak i polskich szkół sobotnio-niedzielných. W spotkaniu wzięli udział również konsul Marcin Zieniewicz oraz Emilia Chmielowa, prezeska Federacji Organizacji Polskich nU.

Oto fragment artykułu autorstwa Łucji Uszakowej z Czerniowiec:

[...] *W swoich wypowiedziach uczestnicy spotkania podzielili się na dwie grupy.*

*Pierwsza grupa, a do niej weszli dyrektorzy szkół z polskim językiem nauczania [dwóch ze Lwowa, z Mościsk i Gródka Podolskiego], byli zgodni w określeniu problemów, które przeżywają. Najważniejszym z nich jest brak podręczników wydanych na Ukrainie, zgodnych z nowymi programami nauczania. Najistotniejszy problem stanowi brak wykształconej w Polsce kadry dydaktycznej oraz duża jej płynność w związku z niskimi zarobkami, które powodują trudną sytuację finansową w rodzinach nauczycielskich. Pracę utrudnia niezauważanie problemów polskich szkół przez lokalne kuratoria, gdyż szkoły polskie nie mają statusu szkół mniejszości narodowej w systemie oświaty ukraińskiej. Tych oraz innych trudnych problemów nie jest w stanie rozwiązać Zjednoczenie Nauczycieli Polskich na Ukrainie, gdyż ma ono tylko status organizacji społecznej. Konsul Marcin Zieniewicz, obecny na posiedzeniu, zapewnił, że Konsulat Generalny [we Lwowie] chętnie udziela nauczycielom polskim na Ukrainie różnorodnej pomocy, ale poruszane tu kwestie nie leżą w jego kompetencjach i mogą być rozwiązane przy udziale Ministerstwa Oświaty i Nauki w Kijowie***. [...]*

Druą grupa występujących, a byli to dyrektorzy szkół sobotnio-niedzielných z Sam-

bora, Stryja, Połonnego, Borysławia i Czer-
niowiec [oraz oczywiście z Drohobycza],
również mówiła o zmianach na gorsze
w organizacji pracy. Nie mając tak zasn-
danych problemów, jakie mają szkoły z pol-
skim językiem nauczania, rozwiązują je
w miarę własnych możliwości. [...]

Na temat polskiej oświaty pisze również
Aleksandra Krajnik z Borysławia. Przepisu-
jemy także fragment z jej tekstu.

[...] Z niepokojem mówiono o przypad-
kach, gdy wybudowana z polskich środków
finansowych polska szkoła, staje się ukra-
ińską. [...] Ważną rolę w koordynowaniu dzia-
łań mogłoby odegrać funkcjonujące od daw-
na w Drohobyczu Centrum Metodyczne, kie-
rowane przez dyrektora Polskiej Sobotniej
Szkoły w Drohobyczu p. Adama Chłopka.
Niestety Centrum wciąż nie dysponuje odpo-
wiednimi pomieszczeniami. Ofiarowany
w 2001 r. stary dom, wybudowany w 1869 r.
i przeznaczony na Centrum Metodyczne, po-
trzebuję gruntownego remontu, a to pociąga
za sobą ogromne koszty. Remont prowadzo-
ny jest z datków osób prywatnych, w tym
emerytów, którzy rozumieją, jakie znaczenie
ma odradzanie się polskości na Wschodzie.
W ciągu trwającego od 5 lat remontu udało
się naprawić dach, fundamenty i dwa poko-
je, zaczęto robić zaplecze socjalne, ale na
dalsze prace zabrakło środków. Centrum
Metodyczne posiada komputery i sporą bi-
bliotekę z uniwersalnym księgozbiorem, za-
wierającą encyklopedie, słowniki, informato-
ry, a także dzieła klasyków polskich. Niestety
brak pieniędzy na wyremontowanie pomiesz-
czenia przeznaczonego na czytelnię, w któ-
rej można by na miejscu korzystać z księgo-
zbiorów. [...]

Na załączonym zdjęciu można zobaczyć
budynek, który otrzymali Polacy dla Zjedno-
czenia Nauczycieli Polskich nU. na Centrum
Metodyczne oraz na Dom Polski Ziemi Dro-

hobyckiej (ul. Truskawiecka 9 w Drohobyczu).
Roboty remontowe – jak przeczytaliśmy wy-
żej – ciągną się długo, bo brak funduszy. Jest
to natomiast doskonała okazja dla miejscowej
gazety ukraińskiej („Drohobyczczyzna” z 28 XII
’06 by rozdzierać szaty: *Starowinnoju archi-
tekturoju nichto nie opikujetsia.*

Porównajmy to, co widzimy na zdjęciu,
z obiektami, które otrzymują Ukraińcy w RP.
O Dom Polski we Lwowie stara się strona
polska bezskutecznie od lat, a przypomnij-
my sobie pałac, którzy dostali Ukraińcy
w Krakowie przy ul. Kanoniczej. Czy nikt
w Polsce nie potrafi postawić sprawy ostro?

* Adam Chłopek jest dyrektorem Polskiej Szko-
ły Sobotniej w Drohobyczu, wiceprezesem
Zjednoczenia Nauczycieli Polskich nU. oraz
redaktorem naczelnym omawianego czasopi-
sma.

** *Biuletyn Zjednoczenia Nauczycieli Polskich na
Ukrainie.* Do Zespołu Redakcyjnego należą
Maria Iwanowa, Teresa Kulikowicz-Dutkiewicz,
Adam Chłopek, Anna Znamierowska.

*** Tu ciśnie się pytanie, czy Konsulat Generalny
RP przedłożył tę sprawę Ministerstwu Oświa-
ty i Nauki w Kijowie i czy o nią zabiega?

Wydarzenia

◆ Ogólnie wiadomo, że nowym arcybisku-
pem-metropolitą warszawskim został ks. bp.
Kazimierz Nycz, który ostatnio prowadził
diecezję koszalińsko-kołobrzeską, a wcze-
śniej był biskupem pomocniczym w Krako-
wie. W tym to właśnie okresie krakowskim,
na prośbę zarządu OK TMLiKPW, w dniu
24 maja 2000 odprawił mszę św. w kościele
xx. Misjonarzy na Stradomiu w intencji be-
atyfikacji Sługi Bożego Józefa Bilczewskie-
go. Msze takie odbywały się corocznie przez
kilka lat – do chwili beatyfikacji Arcybiskupa
Bilczewskiego – w różnych kościołach kra-
kowskich, związanych w jakiś sposób
z Kościołem Lwowskim* (w naszym kwar-
talniku opisywaliśmy to dokładnie).

W CL 3/2000 zamieściliśmy informację
o mszy odprawionej przez bpa Nycza oraz
tekst wygłoszonej przezeń homilii.

* U Misjonarzy na Stradomiu jest sala im. Józefa
Bilczewskiego, ponieważ przyszyły Święty
studiował w seminarium archidiecezjalnym,
które się kiedyś w klasztorze misjonarskim
mieściło.



ANALOGIE

Z opisaną wyżej aferą wokół kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie koresponduje wileńska, i to... wcale nie litewska. Oto, jak dowiadujemy się z prasy, bazylianie u k r a - i ń s c y – władający dawnym budynkiem klasztoru, potem zamienionym na carskie więzienie – w którym był więziony Adam Mickiewicz i gdzie – w III części *Dziadów* – umieścił słynną scenę przemiany Gustawa w Konrada – przebudowują odzyskany zabytkowy obiekt w... hotel. Historyczna cela, która przetrwała nawet czasy sowieckie i pierwsze lata władzy litewskiej, przestaje więc istnieć. Tablicę pamiątkową, do której podążały wszystkie wycieczki z RP, zdjęto.

Nie wiadomo, gdzie leży prawda, ale istnieje i taka wersja, że bazylianie kontaktowali się z Warszawą i oczekiwali na obiecaną pomoc, która miała uratować miejsce dla Polski historyczne, jednak bez rezultatu (przypomnijmy, że działo się to w okresie niedawnych rządów SLD). Zaprzecza temu energicznie główny konserwator zabytków T. Merta. Ale czy i jemu można wierzyć?

Nieco później (30 marca) prasa polska doniosła, że jednak cela Konrada zostanie upamiętniona – zapewnił to ojciec Pawło z zakonu bazylianów w Wilnie. Obiekt jest podobno adaptowany na dom pielgrzymów. Tablica ma być ponownie zawieszona, ale czy sama cela będzie dalej istniała? Nie jest to jasne.

W Krakowie i dalej

UZNANIE DLA CRACOVIA-LEOPOLIS

19 grudnia '06 odbyła się w Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie szczególna dla nas uroczystość: dekoracja Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej 20 osób – wśród których znalazł się również, jako naczelny redaktor naszego kwartalnika – Andrzej Chlipalski.

Osoby w tym dniu dekorowane to na pierwszym miejscu p. Anna Walentynowicz z „Solidarności”, a dalej 10 redaktorów czasopism „kresowych” z całego kraju, i inni. Odznaczenia wręczał min. Władysław Bartoszewski, kolejnych dekorowanych przedstawiał zaś Sekretarz Generalny ROPWiM Andrzej Przewoźnik. Tu musimy się pochwalić: nasz kwartalnik został zarekomendowany w sposób specjalny, jako doskonałe piśmo, wielu obecnym zapewne znane.

Odznaczenie redaktora „Cracovia-Leopolis” powinno być traktowane oczywiście jako wyróżnienie całej Redakcji i Rady Redakcyjnej oraz Współpracowników, których

żmudna praca, kompetencje i inwencja są podstawą sukcesów tego kwartalnika.

Warto zaznaczyć, że w Oddziale Krakowskim TMLiKPW takie same medale otrzymali wcześniej: Krystyna Stafińska (srebrny i złoty) za starania na rzecz budowy cmentarza-pomnika zamordowanych w Czarnym Lesie koło Stanisławowa oraz Jerzy Żuk za opiekę nad ratowaniem zabytków Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie.

Pożegnaliśmy prof. Annę Krzysztofowicz

W listopadzie '06 zmarła w Krakowie, żegnana z żalem przez wszystkich, prof. Anna Krzysztofowicz. W nekrologu rodzina poinformowała, że była emerytowanym profesorem biologii na Uniwersytecie Jagiellońskim i człowiekiem wielkiej wiary, szlachetnym i dobrym. Urodziła się we Lwowie w 1925 r., jej cierpienia zakończone śmiercią trwały kilka długich lat.

Jednak w nekrologu pominięto kilka ważnych wątków życia i działalności Pani Anny. Szczęściem obszernie wspomnienie o Zmarłej zamieściła w krakowskim „Dzienniku Polskim” prof. Danuta Quirini-Popławska, która z nią współpracowała w „Solidarności” i na niwie pomocy charytatywnej i edukacyjnej dla Polaków za jałtańską granicą.



Anna Krzysztofowicz była polską Ormianką z rodziny ziemiańskiej, od paru wieków osiadłej na Podolu, Bukowinie i w Małopolsce Wschodniej. Rodowód był dla Niej zobowiązujący – w latach *po przełomie* działała aktywnie w Ormiańskim Towarzystwie Kulturalnym w Krakowie, była naczelnym redaktorem jego Biuletynu, zawsze ciekawego. W swym życiu naukowym poświęciła się zoologii – była profesorem zwyczajnym w Instytucie Zoologii UJ.

Niezwykle ważnym dokonaniem Pani Anny była organizacja studiów na krajowych uczelniach dla zdolnej młodzieży polskiej ze Wschodu, a także pomoc w nauce języka i kultury polskiej w miejscu zamieszkania. Była przewodniczącą Komisji Rektorskiej do spraw Kontaktów z Polakami z terenów b. ZSRR (o tych działaniach pisaliśmy już w CL. Opieką były otoczone w tamtych latach m.in. obie polskie szkoły we Lwowie.

Istniały jeszcze inne przejawy bogatej aktywności Anny Krzysztofowicz: przewodniczyła Archidiecezjalnemu Komitetowi Pomocy Osobom Represjonowanym; w latach 1980–82 była wiceprzewodniczącą Rady Zakładowej NSZZ „Solidarność” na UJ, a także oczywiście członkinią Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW, które uznając Jej wybitne zasługi, odznaczyło Ją swoją Złotą Odznaką. Cześć Jej pamięci.

Notatki

◆ Dominikańska komisja historyczna, która badała postawy zakonników w okresie PRL, stwierdziła – obok niewielkiej liczby współpracowników służb specjalnych – u większości nieugiętą postawę wobec funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. **Nigdy nie dali się złamać** m.in. o. Joachim Badeni, o. Adam Studziński, o. Reginald Wiśniowski. Nazwisk tych jest oczywiście o wiele więcej, wymieniliśmy jednak osoby rodem z Małopolski Wschodniej („Dziennik Polski” 49/07).

Antypody

Prasa doniosła, że w Wilnie zostanie otwarty – za zgodą tamtejszej administracji – **polski uniwersytet**, filia Uniwersytetu w Białymstoku.

Nasuwać się porównania: we Lwowie nie ma nawet polonistyki, poza lektorem

na wydziale slawistyki. A kandydatów tak wśród Polaków, jak i Ukraińców byłoby nie mało. Od lat nie może dojść do powstania Domu Polskiego we Lwowie – coraz to znajdują się następne przeszkody.

Litwa – Ukraina. Jakby nie było – Litwa została wychowana w duchu zachodnim...

INTERNET

➔ Pozwalamy sobie przedrukować list, napisany nie do nas, lecz do p. Stanisława Kosiedowskiego w Gdańsku, od p. Bogusława Kołcza, dyrektora Akademickiego Liceum i Gimnazjum w Nowym Sączu – a nam podany do wiadomości. Pisze dyr. Kołcz:

Może przyda się się Panu do aktualności informacja o otwarciu dość ambitnie zaplanowanej Izby Lwowskiej im. Dra Jerzego Masióra w Akademickim Liceum im. Króla Bolesława Chrobrego w Nowym Sączu. Jestem dyrektorem tej szkoły, a tematyka lwowska i kresowa jest głównym profilem naszej działalności wychowawczej. Dorobek w tym względzie mamy chyba wyjątkowy w skali ogólnopolskiej.. Zapraszam do zapoznania się z nim choćby na stronach: <http://akademickie.wsb-nlu.edu.pl/gal15.php> lub <http://akademickie.wsb-nlu.edu.pl>.

KULTURA NAUKA

KONFERENCJA W PRZEMYSŁU

W dniach 23–24 lutego odbyła się w Przemyśle Konferencja zatytułowana: *Akcja „Wisła” – przyczyny, przebieg, konsekwencje*, zorganizowana przez kilka instytucji z Przemyśla, przemyski oddział Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów oraz – co ważne – Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne. Prelegentami było kilku wybitnych znawców przedmiotu z całego kraju: prof. Czesław

Partacz (Koszalin), dr Lucyna Kulińska (Kraków), prof. Bogumił Grott (Kraków), prof. Ryszard Szawłowski (Kanada), mgr Ewa Siemaszko (Warszawa) i paru innych. Patronat objęli Prezydent Miasta, Marszałek Województwa, Kurator Oświaty i Starosta przemyski.

Po ewentualnym otrzymaniu bliższych relacji prześlemy je Czytelnikom.

Kronika

◆ Już parokrotnie (od lat) wspominaliśmy o aukcjach pocztówek, organizowanych przez antykwariat „Rara Avis” w Krakowie – w tym roku odbyła się już XXVI. Wystawiono 2721 pocztówek, zjechali się kolekcjonerzy z całej RP. Podobno wielkim wzięciem cieszyły się m.in. pocztówki antysowieckie z okresu okupacji niemieckiej (a więc wydawane chyba przez Niemców).

Zwracaliśmy wielokrotnie uwagę, że na każdej aukcji **widokówki lwowskie były najbardziej poszukiwane**, szły za najwyższe ceny. Tegorocznym przykładem jest pocztówka z pomnikiem Fredry we Lwowie z roku 1900, której użyto jako jedynej ilustracji artykułu w krakowskim „Dzienniku Polskim” (24/07).

◆ W styczniu br. odbyła się promocja wydanego przez Państwową Galerię Sztuki w Sopocie (2006) albumu **150 arcydzieł malarstwa polskiego ze zbiorów Lwowskiej Galerii Sztuki**, autorstwa **Igora Chomyńa** (XVIII–poł. XIX w.). Warto przypomnieć, że przed parunastu laty ukazał się podobny album – nieco obszerniejszy, o 208 reprodukcjach – pt. *Lwowska Galeria Obrazów – malarstwo polskie* (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1990), autorstwa Dymitra Szelesta.

Czy dzieła te – zamiast tkwić w większości w magazynach – nie powinny utworzyć osobnej galerii, np jako lwowska część Muzeum Lubomirskich, które jest obecnie tworzone przez Ossolineum we Wrocławiu?

◆ W Nowohuckim Centrum Kultury czynna była w lutym br. **wystawa fotografii Romana Wesołowskiego (1907–2000)** pt. *Lwów – Kraków – Nowa Huta*.

K. Wesołowski urodził się we Lwowie, a po ukończeniu gimnazjum rozpoczął pracę



zarobkową i równolegle podjął studia prawnicze na UJK, uzyskując magisterium w 1934 r. W 1945 r. jako ekspatriant osiadł z rodziną w Krakowie, pracował w przemyśle naftowym, potem w „Biprostalu”.

Fotografią zainteresował się w wieku 17 lat.

Już w roku 1930 brał udział w konkursach, zdobywał nagrody. Pierwszą jego wystawę urządziło Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie. Zdjęcia robił także w czasie okupacji.

W Krakowie podjął profesjonalne prace fotograficzne na terenie budującego się miasta Nowa Huta i Kombinatoru, a także na budowach innych wielkich zakładów przemysłowych w regionie krakowskim.

Równocześnie uprawiał fotografię artystyczną, czynny był w towarzystwach fotograficznych. Jako zapalony turysta dokumentował zabytki i krajobrazy w całym kraju. Jego zdjęcia znalazły się w licznych albumach, na widokówkach, wystawach.

Na omawianej tegorocznej wystawie – już pośmiertnej, z okazji 100-lecia jego urodzin – dominowała (także ilościowo) nastrojowa tematyka lwowska. Warto by tę część twórczości Wesołowskiego pokazać na wystawach w innych miastach. Proponujemy zwrócić się w tej sprawie do Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego.

◆ W prasie przeczytaliśmy, że w Przemysku pokazano fragmenty pociętej na części *Panoramy Siedmiogrodzkiej*, która została namalowana z końcem XIX wieku przez malarzy polskich i węgierskich w celu upamiętnienia Wiosny Ludów na Węgrzech (1848–49) – w jej 50. rocznicę. Zespołem malarzy kierował Jan Styka, a z Polaków pracowali również m.in. Tadeusz Popiel i Zygmunt Rozwadowski, wszyscy doświadczeni przy malowaniu *Panoramy Raclawickiej*. **Nowa panorama powstała również we Lwowie**, miała te same wymiary, co Raclawicka (120x15 m), a tworzone ją – jak przeczytaliśmy – w budynku rotundy w Parku Stryjskim we Lwowie. Tego nie rozumiemy, bo Panorama Raclawicka była już w tej rotundzie od kilku lat (od Wystawy Krajowej w 1894 r.). Kto nam to wyjaśni?

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Mamy już XIV tom *Materiałów do dziejów sztuki sakralnej na Ziemiach Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej* – Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego (tak nazywanego z uporem godnym lepszej sprawy, choć od ponad 4 wieków istnieje inna nazwa: Małopolska Wschodnia). Tom obejmuje obszar terytorialnie zwarty: Stanisławów i Pokucie, aż po tereny podgórskie nad Prutem i Czeremesem.

Warto przytoczyć ogólną ocenę stanu zachowania naszych obiektów sakralnych, zawartą we wstępie do tomu:

Stan zachowania rzymskokatolickich obiektów sakralnych Pokucia przedstawia się bardzo źle. Nie istnieją okazałe, murywane kościoły w Haliczu, Kołomyi-Mariówce, Kosowie, Niżniowie, Stanisławowie (Trynitarzy), Świętym Józefie, Tłumaczu i Tyśmienicy ani niemal dorównujące im skalą kaplice w Jaremczu i Żabiem. Wysokiej klasy XVIII-wieczny kościół parafialny w Kołomyi zachował się w stanie szczątkowym, choć ostatnio podjęto próbę jego rekonstrukcji. Spośród wyjątkowo licznych kościołów i kaplic drewnianych przepadły prawie wszystkie, w tym bardzo cenne świątynie w Jabłonowie i Pistyniu, a przetrwały jedynie skromne przykłady w Oknianach, Sołotwinie i Tamawicy Polnej. Niemal w całości uległo zniszczeniu wyposażenie ruchome wnętrz kościelnych. Większe uratowane zespoły pochodzą jedynie z kolegiaty w Stanisławowie (rozproszone) i z kościoła parafialnego w Otyni (przewiezione do kościoła w Ligocie Książęcej na Śląsku).



Tom XIV omawia prawie 50 obiektów i jest najobszerniejszym z dotychczas wydanych: obejmuje ok. 800 stron tekstu oraz 866 ilustracji. Do tomu dołączono plan Stanisławowa.

Redaktorem naukowym całości serii jest jak zawsze **prof. Jan Ostrowski**. Hasła zostały opracowane przez 16 osób, w tym – poza samym Profesorem – przez osoby dobrze nam znane: dra A. Betleja, prof. R. Brykowskiego, dra P. Krasnego, dra J. Petrusa, dra R. Quirini-Popławskiego. Wydawcą jest jak zwykle Międzynarodowe Centrum Kultury (Kraków 2006).

📖 Również nowy tom – VIII – z cyklu **Kra-ków-Lwów: książki-czasopisma-biblioteki** w XIX i XX w. ukazał się ostatnio (Wydawnictwo Akademii Pedagogicznej w Krakowie, 2006). Jest to pokłosie Konferencji o tym samym tytule, która odbyła się w jesieni 2005 r. Konferencję, organizowaną co 2 lata, opisaliśmy w CL 1/06, tam też wymieniliśmy kilka najciekawszych dla nas tematów referatów (o wydawcach i księgarzach Pillerach, Połonieckim, Zukerkandlach ze Złoczowa itd.) Tradycyjnie policzyliśmy referaty wedle odniesienia geograficznego: na 53 teksty (ujęte w czterech działach) 22 dotyczyły Lwowa i Małopolski Wschodniej, 15 Krakowa i Małopolski zachodniej, 12 obu ośrodków i regionów, zaś 4 – innych (w tym 3 ukraińskie). Redaktorem nac. tomu jest **prof. Halina Kosętka**.

Lwów więc bezprzecznie góruje. Na tematy lwowskie wypowiadają się naukowcy (młodzi) z Częstochowy, Katowic, Kielc, Krakowa, Lublina, Łodzi, Opola, Płocka, Suchej Besk., Rzeszowa, Torunia, Wrocławia, Zielonej Góry.

📖 Muzeum Niepodległości w Warszawie wydaje periodycznie kolejne tomy (numery) *Czasopisma Muzealno-Historycznego* pod wspólnym tytułem **Niepodległość i Pamięć**. Ostatnio ukazał się 3/2006, w numeracji ciągłej 24 (Warszawa 2006), poświęcony w całości historii Lwowa. Redaktorem nacelnym serii jest dyrektor MN, dr **Andrzej Stawarz**, redaktorem tomu **Helena Wiórkiewicz**. Tom jest obszerny, zawiera 21 artykułów.

Artykuły zawarte w numerze (o 424 stronach) uszeregowano w kilku grupach: historia Lwowa (opracowania i wspomnienia),



Lwów w sztuce i poezji, cmentarze Lwowa, recenzja 3-tomowego opracowania o wielokulturowym środowisku historycznym we Lwowie XIX i XX w. Opracowania o tematyce bezpośrednio historycznej uzupełniają dwie osobne grupy, związane ze współczesnością: omówienie aktualnego stanu „Kolek-

cji Leopoldis” w MN oraz omówienie działalności trzech jednostek organizacyjnych TMLiKPW (Zarząd Główny oraz oddziały w Warszawie i Krakowie).

Przeważająca większość artykułów nasycona jest ważnymi dla nas informacjami szczegółowymi, pomagającymi w zrozumieniu roli i znaczenia polskiego Lwowa, a także procesów i faktów historycznych. Warto więc nie tylko te artykuły przeczytać, ale sięgać do nich w razie potrzeby. Do opracowań tych należą przede wszystkim: W.A. Serczyka – *Semper Fidelis. Dzieje legendy*, M. Klimeckiego – *Lwów. W obronie miasta i południowo-wschodniej granicy 1918–1920 i 1939 r.*, A. Garlickiej – *Ex oriente lux. Kultura i nauka we Lwowie 1772–1939*. Szkic, A. Redzika – *Szkic z dziejów szkolnictwa wyższego we Lwowie*, M. Matwijowa – *Muzea lwowskie wczoraj i dziś*. W tym samym celu koniecznie trzeba się zapoznać z zestawieniem H. Wiórkiewicz – *Kolekcja Leopoldis Muzeum Niepodległości w Warszawie 1992–2006*, które orientuje nas w zasobach, niezbędnych dla wielu prac naukowo-badawczych.

Z aprobatą notujemy, że do sfery zainteresowania MN włączono problematykę współczesną, zaczynając od jednego z najważniejszych i najliczniejszych stowarzyszeń ekspatrianckich, Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW. Za tym pójdą zapewne inne organizacje z całego obszaru dawnych Kresów wschodnich i północnych, powstałe na terenie RP, na ziemiach utraconych dawniej i zabranych po II wojnie oraz za granicą (Anglia, Ameryka itd.). A także ich liczne czasopisma, rozpoczęte omówieniem naszego kwartalnika.

Właśnie o to wszystko nam chodzi. Bo historia Polski nie może się ograniczać do aktualnego (i niekoniecznie obiektywnego) przebiegu granic.

📖 Książka monumentalna: **Między tradycją a nowoczesnością. Architektura Lwowa lat 1893–1918**, napisana przez historyka architektury i konserwatora **Jakuba Lewickiego**, związanego ze środowiskiem warszawskim (wyd. Towarzystwo Opieki nad Zabytkami i Wydawnictwo „Neriton”, Warszawa 2005). Księga dużego formatu (A4) liczy prawie 600 stron i zawiera 425 ilustracji – rysunków i fotografii. W 9 rozdziałach omówiono rozwój Lwowa na przełomie XIX/XX w. i środowisko architektoniczne tamtego czasu, wystawy i konkursy architektoniczne, a następnie poszukiwanie stylu narodowego w architekturze lwowskiej, poczynając od secesji, poprzez modernizm, aż po prądy w urbanistyce i architekturze Lwowa, jakie ujawniły się w ostatnich latach przed I wojną światową i – co nie należy już do tematyki omawianej książki – wspaniale rozwinęły się w okresie międzywojennym.

Ciekawe są uwagi autora na temat środowiska architektonicznego we Lwowie w 2. połowie XIX w. i na początku XX. Cytujemy wstęp do rozdziału III:

Lwowskich architektów omawianego okresu można podzielić na kilka grup pokoleniowych. Pierwszą byli najstarsi twórcy, wykształceni jeszcze około połowy XIX wieku, tworzący w duchu dojrzałego historyzmu. Drugą grupę stanowili inżynierowie wykształceni na zagranicznych uczelniach politechnicznych, którzy doskonale znali współczesny warsztat architektoniczny. Było to pierwsze nowoczesne pokolenie twórców, które często właśnie we Lwowie zaczynało karierę zawodową. Działali oni intensywnie do przełomu wieków XIX i XX, a nawet i dłużej. Byli znakomitymi znawcami historyzmu, ale umieli też przyswajać nowe zdobycze techniki i sztuki. Wypierało ich następne pokolenie, które rozpoczęło edukację w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. Wielu z tych architektów zostało wykształconych we Lwowie i tutaj rozpoczęło działalność zawodową. Byli oni przedstawicielami wczesnego modernizmu i swobodnie operowali formami historyzującymi. Ostatnią grupę twórców stanowili wykształceni tuż

przed I wojną światową, którzy nie tylko znali modernizm, ale ich późniejsza twórczość operowała już formami funkcjonalizmu. Ich praktyczna znajomość historyzmu polegała na stosowaniu form narodowych. Tych kilka pokoleń lwowskich twórców o różnym programie edukacji i odmiennych doświadczeniach zawodowych kształtowało lwowską architekturę omawianego okresu, pracując w różnych instytucjach i środowiskach. [...]

Oto jak uzasadnia autor granice czasowe swojego opracowania. O ile kończąca data graniczna, rok 1918, jest zrozumiała – przyjmuje się wszak, że wiek XIX trwał niejako bez zmian do końca I wojny światowej – o tyle granicę początkową trzeba wyjaśnić.

Jak pamiętamy, Lwów (wraz z całą Małopolską-Galicją, jednak bez Krakowa) uległ I rozbiorowi Polski w 1772 r. Ciężki reżim zaborczy wraz z uciskiem i germanizacją trwały do lat 60. XIX wieku, kiedy to Wiedeń nadał Galicji autonomię. Od tego czasu odradza się polskie życie stolicy i innych miast naszego regionu. Przywrócony zostaje język polski w urzędach i szkolnictwie; wszystkie sfery życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego – mimo zależności politycznej – rozwijają się z coraz większym dystansem do narzucanych dotąd wzorców austriacko-wiedeńskich. Do rewitalizacji polskości włączają się stopniowo lwowscy architekci.

Podkreślenia wymaga znaczenie całej serii wystaw – nie tylko we Lwowie, także w Krakowie – w ostatnim okresie XIX w. W latach 1892–93 odbyła się we Lwowie pierwsza wystawa prezentująca ćwierćwiekowe osiągnięcia budowlano-architektoniczne w Galicji, a przede wszystkim Wystawa Krajowa w 1894 r.*, która silnie zaakcentowała, że Galicja-Małopolska jest krajem autonomicznym, polskim, a nie prowincją monarchii austro-węgierskiej**.

W kolejnych rozdziałach, związanych z pokoleniami projektantów i tworzonej przez nich architektury, pokazano wiele dziesiątków przykładów, charakteryzujących (rysunkowo, foto-

graficznie i opisowo) przemiany i postęp budowlano-artystyczny lwowskiego budownictwa miejskiego, a także nowatorskie rozwiązania urbanistyczne we Lwowie i poza Lwowem. Na końcu książki, wśród indeksów, znalazło się zestawienie wybranych przykładów budynków powstałych i przebudowanych w latach 1893–1918 z określeniem ich stylu, co niezwykłe ułatwia zrozumienie problematyki.

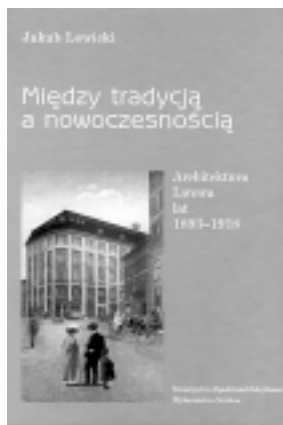
* O wystawie tej pisaliśmy w CL 2/95.

** Znaczenie Wystawy Krajowej 1894 r. zostało mocno zaakcentowane przez środowisko lwowskie w Krakowie, gdy w jej stulecie, w 1994 r., zorganizowano tu Rok Lwowski z całym szeregiem wystaw, imprez i koncertem *Hommage Leopoli*.

📖 To już dawniejsza pozycja, ale może dostępna w antykwariatach: **Jerzego Węgierskiego *Lwów pod okupacją sowiecką 1939–1941*** (wyd. Editions Spotkania, Warszawa 1991).

*Spośród wszystkich lat wojny i lat, które poprzedziły masowe, a wymuszone opuszczenie Małopolski Wschodniej przez większość Polaków, najbardziej tragicznymi i najtrudniejszymi do przeżycia były tam lata 1939–1941 – tak brzmi pierwsze zdanie przedmowy wymienionej książki. Autor zapoznał się z dokumentami: raportami, rozkazami, protokołami, meldunkami, wspomnieniami osób zaangażowanych w działalność konspiracyjną na tamtym terenie, głównie we Lwowie. Cytując obszernie fragmenty dokumentów powiązał je komentarzem, tak że w sumie daje to publikację historyczną informującą o dziejach Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) na terenie Obszaru nr 3, czyli Małopolski Wschodniej i Wołynia. Dzieje ZWZ pod okupacją sowiecką różnią się zasadniczo od analogicznych na tym samym terenie w okresie późniejszym pod okupacją niemiecką. Oto ostatnie zdanie z rozdziału kończącego: *Cała historia ZWZ w okupowanej przez Sowiety Małopolsce Wschodniej, tak ze wszech miar smutna, jest przyczynkiem pomagającym w poznaniu, co z sobą przynosił system sowiecki.**

Publikacja składa się z 10 rozdziałów, przedmowy i zakończenia oraz 7 aneksów, indeksu nazwisk, pseudonimów i kryptonimów, bibliografii, a także wkładki zdjęcio-



wej. Książka stanowi bardzo cenną pozycję dokumentacyjną dla badaczy dziejów Polski z okresu II wojny, a w szczególności dla badaczy dziejów narodu polskiego na Kresach Wschodnich. (DTS)

📖 Książka **Kresy, Kresy. Wspomnienia i szkice**, opracowana przez dwu autorów: **Witolda Jaworskiego i Piotra Zabornego** ukazała się w 2005 r. w Wydawnictwie „Sigma” w Skierniewicach. W tomiku zebrali autorzy szkice literackie własne i kilka innych autorów, grupując je w czterech rozdziałach.

- I. Wstęp P. Zabornego *Z dziejów Kresów. Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej – dobrodziejstwo czy nieszczęście?* Autor omawia dzieje tamtych ziem na przestrzeni wieków, kształtowanie się poszczególnych grup społecznych, zagrożenia i wpływy, którym ulegały, powstawanie świadomości narodowych jako wynik konkretnych procesów historycznych. Autor stara się obiektywnie przedstawić dzieje, ale w pewnych punktach można by z nim polemizować.
- II. Druga część zawiera dzieje kilku kresowych rodzin (na podstawie źródeł historycznych) oraz kilka informacji o ludziach z Kresów, którzy osiedlili się na Mazowszu, i odwrotnie – o ludziach z Mazowsza, którzy ulegli czarowi Kresów. Ma to potwierdzać prawdę o więzach Kresów z Polską centralną.
- III. Wynik wędrówek po Kresach Andrzeja Legiecia, którego zafascynowała tamtejsza przyroda i ludzie (zwłaszcza na Białorusi). Poszczególne podrozdziały dotyczą historyczno-geograficznych opisów miejscowości z okolicami, np. Wilna, Grodna, Brześćcia, Stanisławowa, Kamieńca Podolskiego i innych. Jest to swoisty współczesny przewodnik turystyczny.
- IV. Na końcu umieszczono artykuł Edwarda Prusa, w którym omówiona jest tragedia Wołynia i Małopolski Wschodniej w latach 40. XX wieku – na ziemiach, uznawanych przez wielu za największe cmentarzysko świata. Autor przedstawia w świetle faktów – czystkę etniczną, dokonaną przez nacjonalistów ukraińskich, której ofiarami padli Polacy i Żydzi. (DTS)

📖 Z Redakcji „Wołynia z Wołynia” (Ostróg–Biały Dunajec) wpłynęło do nas kolejne jej wydawnictwo: książka **Czesława Kuriaty** pt. **Galop do Wielkiego Lasu. Wołanie z Wołynia** (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2005).

Tomik składa się z dwóch zasadniczych części. Pierwsza (*Galop do Wielkiego Lasu*)

to opowieść autobiograficzna w formie scen i majaków kilkuletniego chłopca, mieszkającego na polskiej wsi wołyńskiej. Początkowo spokojne dzieciństwo, chłopięce zabawy i odkrywanie przez kilkulatka otaczającego świata, zamieniają się w przerażenie, trwogę, ucieczkę. Mały chłopiec uciekający na koniu, uczepiony końskiej grzywy, i drugi raz uratowany przez matkę z płonącej wsi, przy pogorzelsku domu dowiaduje się, co w nocy stało się z sąsiadami, koleżankami, krewnymi – jaką śmiercią zginęli (prawdopodobnie było to latem 1943 roku). Takie doznania musiały wyrzeźbić niezatarty ślad na psychice dziecka. Dalsze losy to ucieczka z matką do miasta i życie o głódzie i chłódzie do końca okupacji niemieckiej.

Druga część – poemat *Wołanie z Wołynia* wraz z trzema wierszami, wyrażają ból, który tkwi w duszy autora po przeżyciach wieku dziecięcego, połączony z tęsknotą do ziemi rodzinnej. Wiersze ściśle wiążą się z wydarzeniami opisanymi w pierwszej części książki. Wyrażają także miłość i podziw dla bohaterstwa matki. (DTS)

Książkę można nabyć w Wydawnictwie lub u autora.

📖 Wobec stałego i obfitego napływu książek o tematyce lwowskiej i wschodniomałopolskiej z jednej strony, a ograniczonych możliwości ich omawiania na naszych łamach – z drugiej strony, książki nie związane bezpośrednio z miastem i regionem schodzą jakby na drugi plan. A szkoda, bo umyka nam wiele relacji, dotyczących na przykład kontynuacji lwowskiej kultury na terenach, gdzie zatrzymali się ekspatrianci pojedynczo lub zbiorowo, ich aktywności



zawodowej i społecznej na rzecz nowych miejsc osiedlenia i pracy. Piszemy sporo o poszczególnych wybitnych ekspatriantach, osiadłych w różnych miejscach w kraju lub poza nim, brakowało jednak dotąd omówienia szerokiej problematyki „dalszego ciągu” polskiego Lwowa (i w ogóle Ziemi Wschodnich), widzianej z perspektywy różnych terenów Polski powojennej. Wyjątkiem są tu zapewne listy kadr naukowych z lwowskich uczelni, tworzących lub odbudowujących potencjał wyższych uczelni na terenie nowego kraju (nie wyłączając mało dotkniętego wojną Krakowa).

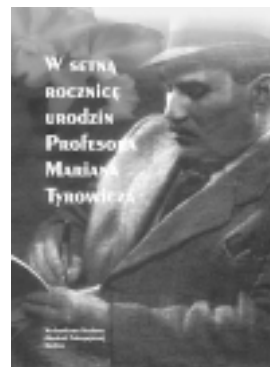
Częściowym wypełnieniem luki jest więc książka wydana przez Fundację Kresową „Semper Fidelis” (Wrocław 2002) pt. **Wrocław–Lwów, Lwów–Wrocław. Historia i współczesność**, zawierająca kilkanaście artykułów pod reakcją **Danuty Nespiak** i **Małgorzaty Orzeł**. Ważnego tematu dawnej historii – gdy budujący się zachodnio-europejski Lwów korzystał z doświadczeń starszego i bliżej Zachodu leżącego Wrocławia – dotyczą jedynie dwa teksty: dr Danuty Nespiak i Zdzisława J. Zielińskiego. O roli kultury Lwowa w tworzącym się powojennym Wrocławiu mówi 8 artykułów – o Politechnice i Uniwersytecie, o lwowskich panoramach, o Ossolineum, o obrazach sakralnych, o architektach i kapłanach, a wreszcie o bałaku lwowskim we Wrocławiu. I jeszcze trzy artykuły na tematy niejako równoległe: o Paderewskim, o targach oraz o mniejszościach narodowych we Lwowie.

Poruszono więc ważne problemy, choć mogłoby ich być o wiele więcej – na kilka książek. Przykładem – muzea, szkolnictwo, poszczególne zawody: lekarze, prawnicy, artyści...

Należałoby sobie życzyć, by wymieniona książka była zapoczątkowaniem całej serii leopolitanów, do której można by włączyć m.in. liczne niewydane dotąd, a wartościowe opracowania, których wrocławskie Ossolineum ma zapewne multum – dawnych i współczesnych. Byłoby to piękne zapoczątkowanie programu wydawniczego dla przyszłego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich i zarazem wzorzec dla innych regionów, objętych zainteresowaniem tego Instytutu. Życzymy powodzenia!

📖 Nie będzie to zapewne lektura dla każdego czytelnika, lecz dla takiego, który interesuje się historią, prasą itp.: **W setną rocznicę urodzin Profesora Mariana Tyrowicza**. Tomik zredagowany przez **Józefa Hampla** i **Henryka Żalińskiego** (Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 2004) zawiera kilkanaście wspomnień oraz rozmowę, spisane przez współpracowników nieżyjącego już Profesora.

Marian Tyrowicz (1901–1989) to oczywiście lwowianin, wywodzący się z rodziny kamieniarzy-rzeźbiarzy, związanych z Cmentarzem Łyczakowskim. Jednak w XX-wiecznym pokoleniu pojawiło się dwóch braci-bliźniaków, którzy odeszli od rodzinnego fachu: Ludwik, doskonały malarz i grafik, oraz omawiany tu Marian, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza, badacz dziejów Polski porzobiorowej i całego wieku XIX, w tym Wiosny Ludów, a także rodzinnego Lwowa. Osobnym tematem Tyrowicza była historia prasy. Napisał 19 książek, z których przedostatnia, wydana już po jego śmierci, to *Wspomnienia o życiu kulturalnym i obyczajowym Lwowa 1918–1939* (Wrocław 1991).




📖 W Bibliotece „Wołanie z Wołynia” (jako pozycja 51) wydany został tomik napisany przez **Michała Rudzkiego** pt. **Notatnik wołyński** (cz. I, *Schodzenie w dół*). Autor na podstawie zachowanych dokumentów jeszcze z XIX wieku, przekazów rodzinnych i własnej pamięci dotyczącej XX w. przedstawił dzieje jednej rodziny polskiej, mieszkającej od pokoleń na Wołyniu. Wszystkie przemiany historyczno-polityczne tego terenu odbijały się na losach kilku pokoleń. Burzliwe lata I wojny i rewolucji udało się przeżyć, ale po ustaleniu granicy państwowej rodzina znalazła się po sowieckiej stronie. Wkrótce stracili dach nad głową i skromny dobytek. W 1937 r. ojciec Hipolit został nagle aresztowany („za polskość”) i słuch o nim zaginął. Matka Antonina z uprawnieniami nauczycielskimi, pracując głównie fi-

zycznie, dzielnie wychowała dwóch synów własnych, a potem także chłopca żydowskiego. Przyszła II wojna światowa, zmiana władzy z sowieckiej na niemiecką, możliwość przeniesienia się na polski Wołyń do Łucka, i znów powrót władzy sowieckiej oraz ekspatriacja do Polski.

Losy rodziny i otoczenia widziane są oczyma kilkunastoletniego chłopca i relacjonowane w bardzo prosty sposób. Przez to oddają bardzo prawdziwie życie codzienne – jakże trudne – zwykłych ludzi.

Książeczka jest cennym przyczynkiem do poznania dziejów ludności polskiej, która po I wojnie została po stronie sowieckiej. W zamyśle autora miała powstać II część pamiętnika, obejmująca życie w powojennej Polsce, na Ziemiach Zachodnich. Niestety autor zmarł.

Poinformował o tym jego starszy brat Stanisław w liście do ks. Kowalowa, redaktora „Wołania z Wołynia”, podając zarazem najważniejsze fakty z życia rodziny Rudzkich. Zostały one wydrukowane w Biuletynie WzW nr 6/2006. Wiadomo z niego, że ojciec Hipolit został rozstrzelany w 1937 r., a w 1989 pośmiertnie zrehabilitowany. Matka w Polsce pracowała jako nauczycielka, a Michał po studiach jako inżynier.


 **Bogdan S. Kasprowicz** ma wiele talentów. Z zawodu jest prawnikiem i w Bytomiu prowadzi biuro prawnopodatkowe (to nie tajemnica, bo sam o tym pisze), ale także zespół kabaretowy i pisze dlań (i wykonuje!) teksty i piosenki, tworzy wiersze. A teraz okazał jeszcze jeden talent: wydał przewodnik po Lwowie, ułożony wcale nie trasami, lecz tematycznie. Książeczka nosi tytuł: **Lwów sentymalny. Historia miasta w obrazach** (wyd. „Bezdroża”, Kraków 2005)*.

B. Kasprowicz urodził się już poza opuszczonym z konieczności miastem rodzinnym, musiał się go więc uczyć z opowiadań i własnych lektur. Jest już jednak po pięćdziesiątce, więc miał sporo czasu, by temat zgłębić wszczepić i w głąb, a to zaowocowało chwalebnie.

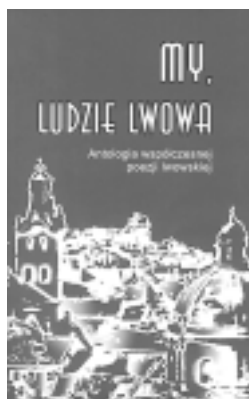
Na książeczkę złożyło się kilka tematów założonych przez autora. Pierwszy rozdział: *Wierne serce Rzeczypospolitej* wprowadza w podstawowe wiadomości o Lwowie: omawia stare obrazy, sztychy i fotografie, pokazuje uproszczony plan Lwowa i jego cen-

trum, z omówieniem najważniejszych obiektów. Drugi rozdział to *Historia* – i tu mamy pewną uwagę, ale o tym na końcu. Rozdział trzeci – *Zabytki*, zresztą nie tylko architektoniczne, bo pisze też o uczelniach Lwowa, dziejach teatru lwowskiego, o Radiu Lwów, o słynnych knajpach itd. Rozdział czwarty to *Ludzie*, wśród których autor uwzględnił dwie skrajne kategorie: oryginały, świrki, batiary i panny służące oraz wielkich ze Lwowa. Na samym końcu rozdział piąty: *Obrona Lwowa trwa nadal*. Zawarty w tym rozdziale tekst powinien stać się credo dla wszystkich, dla których utracone Ziemie Wschodnie są bliskie; i wcale nie tylko Lwów – także Wilno i Grodno, Stanisławów i Tarnopol, i Łuck. O to właśnie chodzi!

* To miło, że „Bezdroża” wydały tę książeczkę bez zbędnych komentarzy i fałszywych tytułów.

 We Lwowie ukazała się kolejna – najobszerniejsza dotąd – antologia poezji lwowskiej lat powojennych: **My, ludzie Lwowa**, skompletowana i opracowana przez **Teresę Kulikowicz-Dutkiewicz** (2006). W zbiorze znalazło się kilkadziesiąt utworów 44 autorów, nie tylko zresztą poetyckich, także kilka muzycznych, niekoniecznie ilustrujących wiersze. Autorami są twórcy zamieszkali we Lwowie i – od dawna lub od niedawna – w RP, starsi i młodszy (a kilkoro już zmarłych).

Wbrew (pozornie!) tytułowi zbioru – kluczem do doboru wierszy nie były wyłącznie odniesienia do Miasta, jego piękna i historii, nostalgia, choć takich jest niemało. Wydaje się to korzystnym rozwiązaniem, ponieważ świadczy, że bodźcem do wypowiedzi poetyckich – inaczej niż przed laty, gdy obserwowaliśmy pewne zasklepienie się w odcieptym od świata Mieście – pojawia się (a może tylko ujawnia się?) autentyczna i obiektywna potrzeba poetyckiego postrzegania *universum* w najszerszym rozu-



mieniu. Czytelnik, zwłaszcza lwowianin, może powiedzieć: szkoda, patrząc jednak od drugiej strony trudno nie cieszyć się, że wśród Ludzi Lwowa (tam i tu) jest sporo prawdziwych, nie okazjonalnych, poetów. Odkrywamy to nawet, gdy wyuczony zawód – medyczny czy fizyczny, i droga życia tych

ludzi nie musiałyby świadczyć o poetyckich inklinacjach. A jednak...

Ze zbioru wybraliśmy dwa wiersze spośród bardzo wielu, jakie zrobiły na nas wrażenie.

Danuta Trylska-Siekańska (DTS),
Kazimierz Selda

Jadwiga Jamrozówna *MAGELLAN*

*Żagle pełne nieba,
żagle pełne słońca, –
morze, morze lazurowe,
bez końca, bez końca.*

*Żagle pełne mroku,
żagle pełne ciszy, –
gwiazd śpiewania nikt nie słucha,
a ty przecie słyszysz.*

*Żagle pełne wiatru,
żagle pełne pieśni, –
trawo, trawo szmaragdowa,
pokaż mi się we śnie.*

*Żagle pełne słońca,
żagle pełne nieba, –
Matko, czekaj, matko, kochaj,
więcej mi nie trzeba.*

1972 r.

JADWIGA JAMROZÓWNA, ur. 1930 we Lwowie. Absolwentka szkoły nr 10, średnie wykształcenie medyczne. Mieszka we Lwowie. Laureatka ogólnopolskich konkursów literackich. Jej poezję drukowały liczne pisma, m.in. „Cracovia-Leopolis”.

Olga Sergijenko *LOS LUDZKI*

*Los ludzki
ciemny
jak habit zakonnika*

*Los ludzki
jasny
jak suknia ślubna*

*Los ludzki
pasiasty
jak ubranie więźnia*

*Pasy
różnej szerokości
nie obowiązują
nawet
skała logarytmiczna*

*A może
to tylko
błąd eksperymentu
kto wie*

*Los ludzki
dlaczego
nie da się
go
zdefiniować*

*Dlaczego
dlaczego
dużo pytań
zero odpowiedzi
już od wieków*

OLGA SERGIJENKO, ur. 1986 we Lwowie. Absolwentka szkoły nr 10, studentka fizyki na Uniwersytecie Lwowskim. Laureatka kilku konkursów literackich (polskich).

Z OSTATNIEJ CHWILI

We Lwowie zmarł nieoczekiwanie i przedwcześnie znakomity malarz i grafik

Walery Bortiakow

Rosjanin, po II wojnie światowej znalazł się we Lwowie, żył się z polskim środowiskiem, językiem i polską kulturą. Przez wiele lat był scenografem i aktorem Polskiego Teatru Ludowego, zyskując uznanie i prawdziwą sympatię.

W natępnym numerze będziemy się starali zamieścić szersze wspomnienie o Walerym, a także pokazać jego doskonałe rysunki.

Wertując wydawnictwa

➔ W „Rzeczypospolitej” z 31 III–1 IV '07 znalazła się **rozmowa z ks. kard. Marianem Jaworskim**, przeprowadzona przez E. Czaczkowską pt. *Wychodził naprzeciw człowiekowi*. Ks. Kardynał opowiada o swojej przyjaźni i relacjach z księdzem, biskupem, kardynałem Karolem Wojtyłą, wreszcie Ojcem św. Janem Pawłem II. Poniżej przedstawiamy kilka szczegółów biograficznych, pomijając – z konieczności – całe bogactwo treści zawartej w rozmowie.

Obaj duchowni poznali się w 1951 r. w parafii św. Floriana w Krakowie – ks. Wojtyła został tam umieszczony przez abp. Eugeniusza Baziaka, aby mógł na UJ napisać swą rozprawę habilitacyjną, ks. Jaworski przybył zaś tam z Baszni Dolnej k. Lubaczowa. Ich przyjaźń trwała ponad pół wieku. Współpracowali naukowo, razem jeździli na narty.

W 1967 r. ks. Jaworski jechał do Olsztyna, by zastąpić ówczesnego arcybiskupa Wojtyłę w poprowadzeniu tam rekolekcji (na prośbę tamtejszego biskupa). Po drodze wydarzyła się katastrofa kolejowa, w której ks. Jaworski utracił rękę. To w jakiś sposób jeszcze pogłębiło ich relacje.

Po wyborze kard. Wojtyły na papieża abp. Jaworski bywał często w Watykanie, stał się tam niejako domownikiem. Był też przy agonii Ojca św. i udzielił Mu sakramentu chorych.

Kard. Jaworski opowiada szczególną historię. *Jeszcze w dniu śmierci Ojca Świętego mogło się dokonać znamienne wydarzenie. Od dawna zabiegałem o to, ażeby ikona Matki Boskiej z Częstochowy, która jest w podziemiach Bazyliki św. Piotra, została ukoronowana. I wtedy Ojciec Święty pobłogosławił korony, a ja rano w sobotę 2 kwietnia odprawiłem mszę świętą w podziemiach bazyliki i nałożyłem korony na wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. To była dla mnie pewna mistyka. Przed pierwszą wojną światową zostały skradzione z Jasnej Góry korony z obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Istniało niebezpieczeństwo, że korony zechce ofiarować car Rosji. I wtedy arcybiskup Lwowa, Józef Bil-*

czewski, dzisiaj święty, postarał się o korony u [ówczesnego] Ojca Świętego. Cieszyłem się, że spotkało mnie tak wielkie miłosierdzie boże, że w dniu odejścia Ojca Świętego do domu Ojca mogłem w pewien sposób kontynuować misję świętego Józefa Bilczewskiego.

MARIAN JAWORSKI, kardynał. Pochodzi ze Lwowa, gdzie urodził się 81 lat temu. W 1945, gdy miasto znalazło się w granicach ZSRR, przyjechał do Polski. Wstąpił do seminarium duchownego archidiecezji lwowskiej, przeniesionego do Kalwarii Zebrzydowskiej. Był dziekanem Papieskiego Wydziału Teologicznego w Krakowie, a następnie pierwszym rektorem Papieskiej Akademii Teologicznej. W 1984 r. Jan Paweł II mianował go biskupem-administratorem apostolskim archidiecezji w Lubaczowie. W 1991 roku na Ukrainie został pierwszym po wojnie arcybiskupem metropolitą lwowskim obrządku łacińskiego. W 2001 r. otrzymał godność kardynalską.

(notka zamieszczona po omówionej wyżej rozmowie w „Rzeczypospolitej”)

➔ **Pismo „Przeszłość i Pamięć”**, wydawane przez Radę Ochrony Pamięci WiM, było omawiane w CL 4/99. Obecnie przysłano nam gruby (ponad 200 stron, format A4) numer 3–4/05 (36–37), gdzie ze wstępu dowiadujemy się, że być może – po 10 latach ukazywania się – będzie to numer ostatni. Byłaby to wielka strata, bo po pierwsze w piśmie tym dokumentowano nie tylko podstawową działalność tej ważnej instytucji, jaką jest ROPWiM, ale również publikowano wartościowe artykuły historyczne z zakresu martyrologii związanej z wojnami i walkami o niepodległość, ale także z wydarzeniami historyczno-politycznymi, z ludźmi, nawet sztuką. Dla nas ważną częścią PiP były relacje i materiały z terenu Małopolski Wschodniej i Wołynia.

W omawianym numerze znajdujemy takie szczególnie nas interesujące materiały: – uroczystość w Hucie Pieniackiej (pisaliśmy o tym w CL); – odsłonięcie i poświęcenie w Komarnie w październiku '05 zbiorowej mogiły około stu członków rodzin wojskowych 70 Pułku Piechoty z Pleszewa, ewakuowanych z Poznańskiego z początkiem września 1939 r. Transport został zbombardowany na stacji Buczały. Ofiary pochowano w pobliskim Komarnie;

- zbudowanie mogił zbiorczych 18 poległych we wrześniu '39 żołnierzy WP w Morawicach k. Jaworowa oraz kilkunastu w Dublanach k. Sambora;
- odsłonięcie w Katedrze Polowej WP w Warszawie tzw. *Ściany Ukraińskiej*, upamiętniającej 3435 obywateli polskich zamordowanych wiosną 1940 r. w więzieniach NKWD na Ziemiach Wschodnich; Ponadto informacje:

■ Nalot ukraińskich działaczy na otwarty już Cmentarz Obrońców Lwowa wchodzi w kolejną fazę zaostżenia. Chodzi o symboliczny miecz na Grobie Nieznanego Żołnierza, nazywany przez nich *Szczerbcem* i uznany za *imperialny symbol*;

■ Żołnierze 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK wystąpili do Sejmu i Rządu RP o podjęcie starań w sprawie budowy nekropolii, do której byłyby przeniesione ekshumowane prochy żołnierzy z różnych istniejących cmentarzy wojennych i mogił, rozsianych po całym Wołyniu. Dotąd opiekują się nimi weterani 27 WDP AK, jest to jednak dla nich coraz trudniejsze, tym bardziej że następuje nieuchronne naturalne niszczenie się miejsc pochówków. Na scaloną nekropolię zaproponowano Kowel lub Włodzimierz Wołyński.

W numerze znajduje się ponadto historyczno-artystyczny opis kościoła i klasztoru Kapucynów w Olesku (autorstwa T. Zachary) oraz wspomnienie o ks. ppłk. Józefie Panasiu, żołnierzu Legionu Wschodniego oraz kapelanie II Brygady Legionów, uczestniku walk pod Rafajłową, Nadworną i Mołotkowem, zamordowanym przez bolszewików we Lwowie w 1940 r.

W tym numerze, jak i we wszystkich, które się dotąd ukazały, znajduje się ponadto wiele innych materiałów i informacji o miejscach, gdzie kiedykolwiek walczyli i zginęli Polacy – na ziemiach całej Polski, wraz z Ziemią Wschodnią, i na całym świecie – gdzie dziś upamiętnia się tamte wydarzenia i tamtych ludzi.

➔ W poprzednim numerze (CL 1/07) omawialiśmy **pismo „Palestra”**, w którego numerze z X–XI '06 znalazło się sporo materiałów na tematy lwowskie. I oto dr Adam Redzik, jeden z redaktorów i autorów, nadesłał nam trzy kolejne numery z dalszymi materiałami lwowskimi:

- nr 11–12/05: *Mieczysław Honzatko – profesor, kodyfikator, adwokat* (rodem ze

Stanisławowa, 1903, profesor UJK, data i miejsce śmierci nieznane);

- nr 11–12/06: *Z historii Izby Adwokackiej we Lwowie* (autor Iwan Głowackij); *Adwokaci lwowscy przełomu XIX i XX wieku: przynależność narodowa a praktyka zawodowa* (Natalia Mysek);
- nr 1–2/07: *Byłem lwowskim kadetem. Pokłosie lwowskiego numeru „Palestry”* (autor adw. Lesław Myczkowski).

Bardzo dziękujemy za te materiały. Podobne materiały ułatwią ogarnięcie całości problematyki prawnej (i nie tylko) w polskim Lwowie aż do końca II wojny światowej.

➔ W „Dzienniku” z 29 I '07 ukazała się rozmowa z archeologiem prof. Władysławem Duczką*, zatytułowana ***Wikingowie byli ruskimi książętami***, z nadtytułem: *Polski uczony odkrywa sekret powstania państwa kijowskiego*. Otóż nie jest to żaden sekret, bo wiadomo o tym od dawna, jak też i to, że nazwy *Rus*, *Ruś* (i w konsekwencji *Rosja*) pochodzą z języka szwedzkiego, przyniesione przez Wikingów. Wielkie Księstwo Kijowskie było pierwszą formą państwowości ruskiej, dużo później przejętą przez Księstwo Moskiewskie, więc Rosjanie nie chcą tego wszystkiego przyjąć do wiadomości, bo to godzi w ich wielkoruską ambicję.

Obecność skandynawskich Wikingów-Rusów w północnej Rosji (okolice jez. Ładoga i późniejszego Nowogrodu) datuje się od epoki brązu, tzn. ok. 1000 lat p.n.e., i wynikała z handlu futrami zwierzęcymi. Natomiast twórca pierwszej organizacji na tamym terenie, Ruryk, przybył tam dopiero w połowie IX wieku, i to w celu urzędzenia wyprawy na Konstantynopol.

Można więc uznać, że państwowość Rusi powstała niejako przy okazji większych planów Wikingów. Natomiast pierwszymi władcami Kijowa (korzystnie położonego na drodze z północy nurtem Dniepru ku Morzu Czarnemu) stali się książęta z klanu Ruryka: Oleg (zruszczone imię skandynawskie *Helge*) i Igor (*Ingvar*). Pierwszym ze słowiańskim imieniem z klanu Ruryka był Świętosław, który z kolei planował przeniesienie siedziby swego klanu do Bułgarii, w pobliże Konstantynopola-Bizancjum, jednak do tego nie doszło.

Synem Świętosława był książę kijowski Włodzimierz Wielki, już nam dobrze znany,

bo w 981 r. najechał i zajął na kilkaset lat ziemię naszych Lachów-Lędzian. O tym jednak Duczko nic nie mówi. Ale my o tym wiemy skądinąd.

* Przez 20 lat wykładał na uniwersytecie w Upsali w Szwecji, a obecnie na Akademii Humanistycznej w Pułtusku (!).

➔ **Pani Anna Furgalska-Gołasiowa**, która wydała przed kilku laty swoje lwowskie wspomnienia (*Dzieje jednej rodziny. Lwów 1939–1945*, omawialiśmy je w CL 1/99), obecnie ofiarowała pokoleniu swoich wnuków (tak pisze w przedmowie) część drugą, pt. *Kolce życia w PRL-u 1945–1989* (Kraków 2006). Są to czasy powojenne spędzone w Krakowie.

Autorka opisuje na początku swoje studia prawnicze, małżeństwo i pierwszą pracę w słynnym Teatrze Rapsodycznym Kotłarczyka. Po tym 3-letnim epizodzie nastąpiła kilkudziesięcioletnia praca jako radca prawny w różnych instytucjach. Dalszą, większą część niedużej książeczki obejmuje skrótowo potraktowany zarys kolejnych okresów historii PRL oraz różnorodnych problemów charakterystycznych dla tamtej epoki, takich jak cenzura, donosy i represje, kolejne protesty społeczne, aż do „Solidarności”.

Niestety przyjęte przez Autorkę ramy czasowe nie dały już szansy na okres powstania Towarzystwa Miłośników Lwowa, co w Krakowie nastąpiło w 1989 roku. A może przeczytamy o tym w trzecim tomie? Czekamy!

➔ Akcja książki, którą tu przedstawiam, nie ma w istocie zasadniczego związku z Małopolską Wschodnią, choć pewne jej

epizody wydarzyły się we Lwowie i na Tarnopolszczyźnie. Główny wątek wiąże się z innymi miejscami w Polsce zachodniej i centralnej, a przede wszystkim z Francją i Niemcami w okresie II wojny światowej. Dla nas jednak ważne jest wschodniomałopolskie pochodzenie autorki oraz miejsce jej urodzenia

i wychowania. Książka ta, to **wspomnienia pięknej ziemianki Klementyny Mańkowskiej** *Moja misja wojenna* (Wydawnictwo „Kopia”, Warszawa 2003). Autorka, z domu Czarkowska-Golejewska, córka Cyryla, pochodzi z zamku w Wysuczce k. Borszczowa (patrz *Słownik*, CL 1/04). W 1933 r. wyszła za mąż do Wielkopolski (Winnogóra rodziny Mańkowskich, po córce gen. Jana Henryka Dąbrowskiego).

Kiedy wybuchła wojna i rozpoczęła się okupacja niemiecka, Klementyna związała się z konspiracją, a na skutek niezwykłego splotu wydarzeń została wciągnięta do wywiadu. Wykorzystując swoją pozycję, możliwości i umiejętności, nawiązała znajomości z niemieckimi generałami arystokratycznie utytułowanymi, zyskując ważne informacje dla polskich władz wojskowych na Zachodzie.

Równocześnie stworzyła pozory współpracy ze stroną niemiecką, jednak czystość jej postępowania została po wojnie potwierdzona oficjalnie przez generałów Bora-Komorowskiego, Kopańskiego i Rudnickiego (kopie dokumentów zawarte w książce). Otrzymała też wysokie odznaczenia od rządu polskiego w Londynie, rządu francuskiego, a po wojnie również z RFN.

Po zajęciu przez Niemców Małopolski Wschodniej w 1941 r. Klementyna Mańkowska pojechała do Lwowa i Wysuczki, skąd (z pobliskiej wsi Piszczatyńce) zabrała pozostałą tam jeszcze swoją matkę. Ojciec został zamordowany w Katyniu.

Do końca wojny Klementyna była aktywna na Zachodzie. Potem rodzina osiadła na kilkanaście lat w Kongu, tam zmarła jej matka. Ostatni etap bogatej drogi życia – parędziesiąt lat – to Francja.

➔ „Dziennik” (określany jako *niebieski*) 72/07 pokazał trzy możliwe wersje przemian geopolitycznych w Europie w ciągu najbliższych 50 lat. Wersja oznaczona cyfrą 3 jest dla nas interesująca, o tym jednak na końcu.

Nie wiemy, czy kolejne cyfry mogą oznaczać stopień prawdopodobieństwa takich, a nie innych kierunków rozwoju sytuacji. Wersje te zostały opracowane i przedstawione przez trzech ekonomistów różnych narodowości: 1. Jacques Attali, Francuz, 2. Mario Monti, Włoch, 3. Philip Longman, Amerykanin. Zaprezentowano mapki oraz komentarze autorów.





Wersja 1: W Europie dojdzie do podziału na „twarde jądro” i stowarzyszonych z nim członków. „Twarde jądro” to Zjednoczone Państwo Europejskie – oczywiście Francja i Niemcy, Włochy oraz kraje Beneluksu, stolica w Brukseli. Pozostałe – to kilkadziesiąt większych i mniejszych, ważniejszych i mniej ważnych państw: Wielka Brytania, Hiszpania, Polska, Szwecja i cała reszta, wraz z Ukrainą, Turcją, a może i Rosją (!), Białorusią, Armenią, Gruzją – to już tamtych może nie obchodzić. Można więc powiedzieć: wracamy do punktu zero, nie ma *de facto* żadnej Unii Europejskiej.

Wersja 2: Rozwój idzie tak jak dziś, a więc dojdą państwa bałkańskie, a Ukraina i Turcja zostaną poza UE. O Rosji i Białorusi i dalszych w ogóle nie ma mowy.

Która więc z tych obu wersji jest bardziej prawdopodobna?

Wreszcie **wersja 3:** *Europa rozleci się na kawałki.* Wielka Brytania rozpadnie się na Anglię, Szkocję i Walię, a Belgia na Walonię i Flandrię. Z Francji odpadnie Bretania i... Islamska Republika Marsylii, z Hiszpanii Katalonia, Andaluzja, Galicja i Baskonia. Italia podzieli się na dwie części: Padania z Mediolanem i Włochy z Rzymem. Z Niemiec odpadnie Bawaria. Całkowite zamieszanie oczywiście na Bałkanach. Od Polski miałby odejść Śląsk ze stolicą w Katowicach oraz Kaszuby ze stolicą w Kartuzach! Co ciekawe: Wrocław i Szczecin niezagrożone, bo całkiem spolonizowane, bez dawnych autochtonów. Na koniec to, co dla nas interesujące: od Ukrainy odpada „Galicja” ze Lwowem jako stolicą.

Zawsze powtarzamy: historia wcale się nie skończyła. Rzecz tylko w tym, w którą stronę się obróci...

Listy do redakcji



List ze Szczecina, od Pana Profesora Remigiusza Węgrzynowicza:

Z przyjemnością i dreszczykiem emocji biorę do ręki każdy nowy zeszyt CL, który pozwala wracać do „kraju lat dzieciennych... młodości radosnej, a czasem chmurnej...” Stąpać po tak dobrze znanych ulicach, spotykać znajomych, przyjaciół.

Wzruszający list Pani Anny Obfidowicz z Kazachstanu, [...] z Georgiewki, przypomniał mi, że w tej miejscowości również przebywał na zesłaniu z rodziną (matką i siostrami) mój kolega z gimnazjum i drużyny harcerskiej – Janek Stolarczyk. Organizował on w tych trudnych warunkach (u popa) podsłuch radiowy. Uzyskane wiadomości ze świata wraz z artykułami podtrzymującymi „ducha narodowego” wydawał w miejscowej gazecie (oczywiście tajnej) ręcznie pisanej! Rękopisy niektóre zachowały się na Jasnej Górze u oo. Paulinów. Ten dzielny harcerz wrócił do Lwowa (nielegalnie). Pracowaliśmy razem w szpitalu psychiatrycznym na Kulparkowie. Mimo zmiany nazwiska NKWD wykryło go i aresztowało. Bestialsko zamordowany w więzieniu przed ucieczką sowieców ze Lwowa.

Zdjęcie autorki listu z p. Aliną Łukowską, która pozostała we wdzięcznej pamięci wielu „karmicieli wszy”. Ta wspaniała dzielna dziewczyna pracowała ze mną w instytucie Beringa. Sortowała („pielęgnowała”) karmione przez nas wszy. Często, chcąc ulżyć naszym ogryzonym nogom, skracaliśmy obowiązkowy czas przeznaczonego na karmienie... Efektem było „niewyrobieenie normy”. Wszy po prostu nie dokarmione ginęły. Groziło to wyrzuceniem z pracy i pozbawieniem bezpiecznej przed łapankami legitymacji. Świadoma tego pani Alina w wiadomy jej sposób „rozmnażała” w naszych kłatkach brakujące. Była jedną z wielu dzielnych, cichych bohaterek, które narażały życie dla bliźnich bez rozgłosu. Pozostała we wdzięcznej pamięci mojej i wielu, którym ratowała egzystencję w tym trudnym okresie.

W Słowniku geograficzno-historycznym pani dr Danuta Nespiać pisze o licznych zmianach personalnych wśród wykładowców Akademii Medycyny Weterynaryjnej w okresie okupacji. Pozwolę sobie dodać, że zmiany te nie wpłynęły na poziom i „atmosferę polską” tej uczelni. Zgodnie z ówczesnym stanem faktycznym zmiany kadry profesorskiej były wieloprzyczynowe. Przedwojenna kadra profesorska w zdecydowanej większości zarówno w okresie pierwszej i drugiej oku-

pacji sowieckiej, jak i niemieckiej prowadziła wykłady (oczywiście w języku polskim). Śmiercią naturalną zmarli: prof. Gajewski, Niemczycki i doc. Moraw. Zamordowani zostali prof. Hamerski i prof. Gizelt. Poza granicami kraju znaleźli się: prof. Aleksandrowicz, prof. Olbrycht oraz doc. Mglej. W czasie okupacji niemieckiej prof. Markowski-go zastępował prof. Łopatynski (narodowości ukraińskiej), a prof. Mikutaszka – prof. Andrijewski (narodowości białoruskiej). Obydwaj profesorowie – znakomici uczeni z Wydz. Weterynarii Uniw. Warszawskiego. Prof. Olbrychta (przebywającego w Anglii) zastąpił prof. Herman (szef AK Okr. Stanisławowskiego). Fizykę wykładał prof. gim. Kuczer (narodowości ukraińskiej). Wykładowcami narodowości niemieckiej byli: doc Sedlmeier, dr Engler, dr Magler oraz kolejni dyrektorzy uczelni: dr Habesang i dr Witte. Lektorem języka niemieckiego był prof. gim. Dąbrowski. Dyrektorem w czasie pierwszej okupacji sowieckiej był doc. Czinczenko (Ukrainiec). W czasie drugiej okupacji – prof. Czebotarew (Rosjanin).

W Akademii Medycyny Weterynaryjnej pomimo zmian nazwy (Lwowski Instytut Weterynaryjny, Tierärztliche Institute, Tierärztliche Fachkurse) program nauczania nie uległ zasadniczym zmianom. Profesorowie, asystenci, pracownicy obsługi starali się sprostać zadaniom dydaktycznym i naukowym, stwarzając klimat normalności – enklawy. Przekraczając bramy uczelni w salach wykładowych, klinikach, znajdowaliśmy inny świat, który poza murami uczelni już nie istniał... Wspinali Nauczyciele, świadomi, jaką rolę spełnia polska uczelnia o bogatej tradycji akademickiej, starali się rangę tę zachować mimo niesprzyjających warunków.

Dziękując za niezwykle ciekawe wspomnienia, nie możemy nie złożyć specjalnego podziękowania za ogromnie dla nas pochlebne i miłe słowa w pierwszym zdaniu listu.

Nasz miły Czytelnik i Korespondent, zamieszkały we Wrocławiu p. Wiesław Wertyporoch, zwrócił uwagę na błąd w nazwie szczytu wschodniobieszczadzkiego (a nie w Czarnohorze czy Gorganach), jaki znalazł się w CL 4/06 (patrz errata w tym numerze), w tekście przepisany z innej publikacji. Chodzi o P a r a s k ę, którą mylnie napisano jako Fraszka. Nasza wina polega na niezauważeniu tego błędu, wynikłego zapewne przy skanowaniu komputerowym pierwotnego tekstu, na pewno bezbłędnego (nie możemy sprawdzić, bo nie mamy obecnie dostępu do jednośnej książki).

Pan Wiesław przysłał nam mapkę okolic Skolego z zaznaczeniem Paraszki, a na zakończenie swego listu pisze m.in.:

... zabrakło mi oprócz korekty w ostatnim numerze „CV” [? – raczej CL] jakiegś logiki: wyśmiewacie się z kogoś, kiedy wcześniej popełniacie takie same błędy, zdecydowałem się na skreślenie tych kilku słów, ponieważ nie jest mi obojętne jak wygląda i jaka jest treść „CV”, który to kwartalnik wszystkim i zawsze polecam.

Bardzo dziękujemy za te dobre słowa, a także za zwrócenie nam uwagi. Ale – porównując zarazem nasz błąd z notatką „wyśmianą” przez nas w tym samym numerze CL (na s. 76) na temat nazwy „Jaremcha”, nie utrafił Pan i wytoczył zbyt ciężką armatę. U nas jest błąd literowy, natomiast tam niewiedza: „Jaremcha” to po pierwsze użycie rosyjskiej (nawet nie ukraińskiej) nazwy, po drugie „modne” stosowanie angielskiej pisowni do naszych nazw (słowińskich, dość łatwych do transliteracji, mimo innego alfabetu). Spotykamy się z tym nonsensem coraz częściej i staramy się go wytykać. A wszystko razem: ignoracja, nie błąd.

Zaś co do znajomości gór i ich nazw, to zapewniamy Pana, że jedne i drugie znamy, bywamy tam i często o nich piszemy w CL. Nie zauważył Pan?

Łączymy pozdrowienia.

Pisze p. Piotr Marek Stański:

W pierwszym tegorocznym numerze „Cracovia–Leopolis” w zamieszczonym spisie lwowskich tablic pamiątkowych zapomnieliście o zasłużonym lwowskim lekarzu i filantropie Tadeuszu Żulińskim (1839–1885), uczestniku Powstania Styczniowego i paryskim emigrancie, osiadłym po powrocie do kraju we Lwowie, gdzie był chemikiem patologicznym w Szpitalu Powszechnym i radnym miejskim, inicjatorem powołania wydziału lekarskiego na miejscowym Uniwersytecie, udzielającym bezpłatnych porad medycznych potrzebującym (z tego powodu w Paryżu chodził do pacjentów pieszo, gdyż nie stać go było na dojazd omnibusem). Na dawnej ulicy Gliniańskiej 10, noszącej potem jego imię [...], na odnowionej kamienicy, będącej miejscem jego ostatniego zamieszkania, gdzie zmarł, znajduje się stosowna tablica. Inna tablica poświęcona jego pamięci znajduje się w kościele dominikanów, w drugiej kaplicy na prawo od głównego ołtarza, umieszczona decyzją lwowskiej Rady Miejskiej.

Również bracia T. Żulińskiego zasłużyli się dla narodowej historii jako powstańcy styczniowi, przy czym matematyk Roman, jako członek powstańczego rządu, stracony został na stokach warszawskiej Cytadeli wraz z Romualdem Traugutttem. Pozostali byli zesłani, jak Edward, lub udali się na wychodźstwo do Paryża. Następnie powrócili do autonomicznej Galicji i zamieszkali we Lwowie, przy czym Józef był działaczem oświatowym oraz pionierem organizowania kolonii dla dzieci (w Rymanowie), a ksiądz Kazimierz represjonowany przez Kościół pod wpływem władz austriackich za wygłoszenie płomiennego kazania podczas pogrzebu Agatona Gillera w Stanisławowie.

Bardzo dziękujemy za te informacje. Wyjaśniamy, że lwowskie tablice pamiątkowe zostały przez nas podane w CL 1/07 w oparciu o przysłany nam materiał, jednak bez wyjaśnienia, które istnieją, a które nie. Kto nam pomoże to ustalić?

List z Pruszkowa od p. Jacka Marczyńskiego:

W numerze CL 1/07 ukazał się list Pana Andrzeja Pawłowskiego zawierający uzupełnienia informacji o jednostkach WP stacjonujących we Lwowie, podane przez Pana Adama Trojanowskiego w artykule opublikowanym w numerze CL 4/06. Mimo tych cennych uzupełnień temat garnizonu lwowskiego nie został do końca wyczerpany.

Spróbujmy więc usystematyzować i uzupełnić wiadomości. Lwów w Polsce Niepodległej był największym garnizonem w Małopolsce Wschodniej. Miały tu siedziby: Dowództwo Okręgu Korpusu (DOK) nr VI, Inspektorat Armii, Dowództwo 5 DP, sztab Lwowskiej brygady Obrony Narodowej, dowództwo Grupy Artylerii nr 6 oraz organy służb: intendentury, uzbrojenia, uzupełnień, taborów i remontu, zdrowia, weterynaryjnej, sprawiedliwości, geograficznej, duszpasterstwa i budownictwa wojskowego¹.

W mieście stacjonowały dwa pułki piechoty 5 DP: 19 i 40, 3 batalion 26 pułku piechoty, dwa pułki artylerii: 5 pułk artylerii lekkiej (pal) i 6 pułk artylerii ciężkiej (pac), 6 batalion pancerny (bpanc) 6 pułk lotniczy (Sknitów), 6 dywizjon artylerii przeciwlotniczej (daplot) batalion ON „Lwów I” oraz 6 dywizjon taborów. W mieście siedzibę miały też Wojskowy Sąd Okręgowy nr 6, Prokuratura Wojskowa nr 6, Wojskowe Więzienie Śledcze nr 6 oraz Szpital Okręgowy nr 6 na 700 łóżek².

Autorzy artykułu i listu prawidłowo zlokalizowali już koszary 19 pp, 5 pal, 6 pac, 6 bpanc oraz siedzibę DOK nr 6.

W tym miejscu warto wyjaśnić różnicę pomiędzy DOK a Inspektoratem Armii. Dowództwa Okręgów Korpusów po 1926 r. były jedynie organami administracyjno-gospodarczymi i nie miały żadnych uprawnień dowódczych w stosunku do jednostek wojskowych stacjonujących na obszarze DOK.

Natomiast Inspektoraty Armii były tworzone poczynając od 9 maja 1921 r. na miejsce rozwiązanych dowództw armii. Były one załączkami przyszłych sztabów armii. Powstały one w różnym czasie. Najpóźniej, bo dopiero 15 października 1922 r., zorganizowano Inspektorat Armii nr 1 z siedzibą w Wilnie.

Na czele Inspektoratów stali generałowie będący równocześnie członkami Ścisłej Rady Wojennej, a po jej likwidacji zostali członkami Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych (GISZ). Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych był marszałek J. Piłsudski, a po jego śmierci marszałek E. Śmigły-Rydz. W 1939 r. było 10 inspektorów armii, przy czym tylko 5 inspektorów miało siedzibę poza Warszawą. We Lwowie przy ul. Romanowicza 13 była siedziba inspektoratu nr V. Inspektorami Armii we Lwowie byli generałowie:

1921–1923 Stanisław Haller,
1926–1929(?) Mieczysław Norwid-Neugebauer,
1929–1934(?) Juliusz Rómmel,
1934–1939 Kazimierz Fabrycy.

Ostatni Inspektor gen. K. Fabrycy w tragicznym Wrześniu 1939 r. dowodził Armią Karpaty. Warto jeszcze dodać, że siedziba DOK przy Placu Bernardyńskim nr 6 miała już bogate tradycje wojskowe, bowiem w tym budynku do 1918 r. mieściło się austriackie KuK Armeekorps Kommando.

Uzupełnienia zaś wymagają informacje o koszarach 14 puł. i 40 pp. Otóż oprócz koszar na Jałowcu 14 pułk ułanów posiadał również kosza-

ry na ul. Łyczakowskiej (naprzeciwko wylotu ul. Paulinów). Stacjonował w nich szwadron zapasowy pułku. Natomiast 40 pp oprócz koszar przy ul. św. Piotra stacjonował też w koszarach przy ul. Łyczakowskiej nr 76–80. Najprawdopodobniej w tych koszarach stacjonował też baon ON „Lwów I”. Z kolei 6 daplót stacjonował w koszarach przy ul. Teatyńskiej 6 (czerwone koszary) wraz z I dyonem 6 pac. W 1939 r. dowódca dyonu był ppłk Ireneusz Kobielski³. Dywizjon ten należał do najlepiej wyposażonych. Posiadał nowoczesny, całkowicie zmotoryzowany sprzęt. Składał się z 5 baterii. Trzy baterie wyposażone były w 40 mm armaty przeciwlotnicze „Bofors” wz. 36, produkowane w Polsce na szwedzkiej licencji. Dwie pozostałe posiadały polskie 75 mm półstałe armaty wz. 38⁴. Może ktoś z czytelników pamięta, czy kiedykolwiek te armaty były pokazane na defiladzie? Do ustalenia pozostaje jeszcze miejsce stacjonowania 6 dywizjonu taborów oraz 3 baonu 26 pp.

Warto jeszcze dodać, że w 1939 r. na ukończeniu była budowa Domu Żołnierza przy Placu gen. Orlicz-Dreszera. Uroczyste otwarcie było zaplanowane na dzień 1 września 1939 r⁵.

Na zakończenie przypomnę jeszcze, że we wrześniu 1939 r. Dowództwo Obrony Lwowa mieściło się w przy ul. Zielonej 12.

Jacek Marczyński

¹ W. Włodarkiewicz, *Lwów 1939*, Warszawa 2003, s. 21

² Tamże

³ M. Kopczewski, Z. Moszumański, *Polska obrona przeciwlotnicza 1920–1939*, Pruszków 1996 s. 60

⁴ A. Stachula, *Obrona powietrzna II Rzeczypospolitej*, Słupsk 2001, s. 110.

⁵ St. Piekarski, *Domy Żołnierza Polskiego*, Warszawa 1997, s. 127.

Bardzo dziękujemy! Teraz wiemy już wszystko (a nie prawie wszystko?)!

dokończenie z II s. okładki

- 1 Zawsze dotyczyły problematyki obrony naszych ziem południowo-wschodnich oraz ich bohaterów.
- 2 Tej części, która chce szybko pisać książki (temat na rynku poszukiwany), ale wykorzystuje do tego literaturę dawną i obcą (zwłaszcza pisaną cyrylicą...). O korzystaniu z najnowszych badań nie ma mowy.
- 3 Wiemy, o co im chodzi, jednak pewnych granic – nie tylko narodowej godności, ale i braku politycznej wyobraźni przekraczać nie wolno. „Druga strona” umiejętniej rozgrywa swoje interesy państwowe i wcale nie obawia się przekroczenia *poprawności politycznej* oraz relacji z RP.
- 4 Chodzi nam o te czasy, gdy niezaludnione ziemie między górnym Bugiem, górnym Sanem i górnym Dniestrem zaczęły się – już na stałe – zaludniać napływającymi tu plemionami.
- 5 Miejsy na uwadze, że pokolenie tego świadome – odchodzi.



Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czalczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzińskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Nakład 800 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania srodtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od Redakcji
50

Felieton
Barbara Czałczyńska
FELIETON JUBILEUSZOWY

70 LAT KAPŁAŃSTWA

Jerzy M. Pilecki
OSTATNI EMISARIUSZ

Helena Żołnierzowa
KAMIONKA STRUMIŁOWA 1941

Wacław Fastnacht
FELIKS WEST

Elżbieta Mokrzycka
CO DALEJ Z ZABYTKAMI
POLSKIEJ KULTURY?

Alfred Senze
Z TAMTYCH LAT, Z TAMTYCH DNI (2)

Rozmowy
Janusz M. Paluch
ROZMOWA Z ADAMEM MACEDOŃSKIM

Leszek Wajda
O HANCE I JEJ RODZINIE...

Józef Juzwa
JANKO POKUTNIK Z ZALESZCZYK

Wiersze
Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski
TRANSPORT NA ZACHÓD
SONET WYSIEDLEŃCÓW
DZIEDZICTWO

Proza
Franciszek Jaworski
KORTUMÓWKA

Anna Piwowarska
DO PARKU LUB NA PIWO

Wspomnienie

Wanda Stengl
MOJE UKOCHANE PODOLE 36

II Adam Trojanowski
TAM, GDZIE ZEŁEMIANKA 41

Jadwiga Wanda Kuczabińska
LWÓW I BUKOWINA 46

I Słownik geograficzno-
-historyczny
2 ANTONIÓWKA ♦ DASZAWA ♦ JASIENIÓW
GÓRNY ♦ KOZICE ♦ PASIECZNA (pow.
stanisł.) ♦ PASIECZNA (pow. nadwórn.)
3 ♦ PEREHIŃSKO ♦ ZIELONA (stanisł.)
♦ ZIELONA tarnop.) 45

6 Archiwum
JUBILEUSZ KÓŁEK ROLNICZYCH 52

7 Z żałobnej karty
ANDRZEJ KURYLEWICZ
JERZY JANICKI 53

11 Sylwetki
Maria Mokrzykowa
ZAPOMNIANY BOHATER ZE LWOWA 54
12 PROFESOR ANTONI CIESZYŃSKI 56

Alicja Bober-Michałowska
WANDA BOBER-MAJCHRZYCKA 57

Z tamtej strony
KOŚCIÓŁ MARII MAGDALENY... 58
POLSCY NAUCZYCIELE... 58
WYDARZENIA 59

29 W Krakowie i dalej
UZNIANIE DLA „CRACOVIA-LEOPOLIS” 60
POŻEGNALIŚMY ANNĘ KRZYSZTOFOWICZ 60
NOTATKI 61
INTERNET 61

30 Kultura ♦ Nauka
KONFERENCJA W PRZEMYSŁU 61
KRONIKA 62

31 Książki ♦ Czasopisma
NOWE KSIĄŻKI 63
WERTUJĄC WYDAWNICTWA 70

33 LISTY 74